

ZYGMUNT SARNECKI.

ZŁOTE SERCE

POWIEŚĆ

III.

WIEK DOJRZAŁY.

WE LWOWIE.

KAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

Z drukarni Władysława Łozińskiego.

Zarządca W. J. Weber.

1885.

CZĘŚĆ TRZECIA.

WIEK DOJRZAŁY



XXI.

W trzy lata potem.

Pewnego wieczora zapukał ktoś z lekka do drzwi kancelaryi Franciszka. Adwokat siedział przy biurku i pisał coś niezmiernie żywo, jakby się spieszył z ukończeniem pracy. Lampa oświecała twarz jego młodą jeszcze, piękną i czerstwą, chociaż tu i owdzie pooraną zmarszczkami znużenia fizycznego i zawodów **moralnych**. Na odgłos pukania, nie poruszając się z miejsca, zawołał:

— Proszę wejść.

— Czy nie przeszkadzam? -- spytał Staś, uchylając drzwi i wsuwając się do pokoju.

— Nie... właśnie skończyłem.

Złożył papiery, zamknął je do szuflady i powstał.

— Jak się masz — rzekł, podając przybyłemu rękę.

— Żle.

— Cóż znowu?.. żartujesz!... Wyglądasz jak rak na półmisku.

— Ba! wyglądam dobrze, ale stan moich interesów — szepnął Staś z westchnieniem.

— Opłakany. Wiem, wiem... rujnujesz się powoli.

— Jestem już zupełnie zrujnowany.

To mówiąc, westchnął znowu i smutnie zwiesił głowę na piersi. Franciszek spojrzał nań ze zdziwieniem. Widoczne niezadowolenie malowało się wyraźnie na jego obliczu.

— Zupełnie?!

— Nie mam nic prawie.

— Przecież po sprzedaży majątku ziemskiego w Galicyi, który, Bóg wie na co, trzy lata temu nabyłeś, pozostał ci dom w Warszawie.

— I kamienicę... dziś sprzedać musiałem.

— Na co?

— Ułożyłem się z przyrodnimi braćmi mego ojca... z ciotką Weroniką...

— Którym nic się nie należało... ale kiedy już koniecznie chciałeś być wspaniałomyślnym, mogłeś za hipotekować na domu, płacić procent rozsądny...

— I narazić się na proces skandaliczny.. Zreszta miałem jeszcze trochę własnych długów...

— Lekkomysłny, kiedyż się ich pozbędziesz?

— Zdaje mi się, że nigdy.

— Nie wierzę, żebyś sprzedał dla drobnych dłużków, wiem że grubsze spłaciłeś... Powiedz szczerze.

— Nie mówmy o tem... Dość że sprzedać musiałem.

— Musiałeś! musiałeś! powiedz chciałeś — mówił adwokat, przechadzając się szerokimi krokami po pokoju. — Pilno ci było pozbyć się mienia, które ci twój poczciwy dziadek pozostawił.

Dla Franciszka, każdy co pozostawił grubą sukcesję, był z natury rzeczy poczciwym.

Zatrzymał się przed Stanisławem i spytał:

— Cóż teraz zrobisz?

— Będę pracować.

— W jaki sposób?

— Sam jeszcze nie wiem.... Wezmę się znowu do malarstwa.

— Więc nic... na seryo nic ci nie pozostało?

— Parę sum na wątpliwych hipotekach.... kilkanaście tysięcy, które trudno będzie odebrać.

— Zkądże się wzięły?

— Przy sprzedaży domu, musiałem je przyjąć za gotówkę.

— Marnotrawco! znowu cię oszukali i wyzyskali.

— Może.

— Nie może, tylko tak niezawodnie... Cóż to, czy ja nie znam sposobu, w jaki robisz interesa?! Dość przypomnieć sobie zapis dla pani Lepelletier, sporządzony przed wyjazdem z Paryża. Po śmierci twojej babki rodzonej, skorzystali zeń dalecy krewni, Francuzi; tobie zaś, prawdziwemu ofiarodawcy i sukcesorowi, nie zwrócono i franka... A testament po poczciwej Bolewskiej!... Zrzekłeś się go dla jakiegoś oszusta, dlatego tylko, że groził ci procesem.... a wszystkie twoje dobrodziejstwa, świadczone łotrom z pod ciemnej gwiazdy... to oszaleć można, myśląc o tem wszystkim.

Wymawiając powyższe wyrazy, Franciszek prawie biegał po swoim gabinecie, zaczerwieniony i zdyszany.

— Pojmujesz, że chcę panować nad mojem oburzeniem, nad gniewem.... Wybuchnąłbym, gdyby nie to....

— Gdyby nie to, że pozwoliłeś mi się starać o rękę panny Janiny.

— A nie inaczej — rzekł adwokat, zatrzymując się w miejscu.

— Co?... może cofasz swoje pozwolenie? — zawołał przerażony.

— Zasługiwałbyś na to.... ale nie... nie cofam niestety!

Stanisław rzucił mu się na szyję i zaczął go całować serdecznie.

— Jesteś pocziwy człowiek!

— Dziękuję za komplement. Powiedz raczej żem głupi, a będziesz mieć słuszność... Ulegam przesądowi. Nie chcę, żeby mnie uważano za samoluba, za ceniącego więcej pieniądze od serca... bo się podobno szczerze kochacie. Co do ciebie i za to nie ręczę... ale Jania... no! — Machnął ręką i znowu zaczął chodzić szerokimi krokami. Nagle, stanął przed Stanisławem i chwycił go za guzik od surduta. Czy ty wiesz, jakie pieniądze ma znaczenie? ile szczęścia zapewnić może? jak ciężko przychodzi go nabyć?... Gdybyś musiał jak ja pracować...

— Ależ będę pracować... muszę pracować.

— Lekkomysłny! szalony!... Marnotrawiłeś, przez okna wyrzucałeś, pozwalałeś się okradać, oszukiwać!

— Czy to moja wina, że nadużywano mego zaufania?

— Twoja! tylko twoja!

— Rozirytowany, ale panujący nad sobą, przechadzał się dalej.

— Przyrzekłszy ci rękę siostry, nie mogłem pilnować twoich interesów... Gdzie mam czas na to!... a gdybym się ośmielił, pierwszy wykrzykiwałbyś, że rozciągam kontrolę nad twojem mieniem...

— Ja?... zlituj się Franciszku... ja?!

— Jeśli nie ty, to inni... wszyscy, cała Warszawa...

— Zwłaszcza, że nie na wieleby się to przydało.

Widzisz, ile razy pomyślę, że dla dobra...

— Oszustów.

— Nie... bliźnich... należy coś poświęcić, to żebym wiedział, że jutro obiadu jeść nie będę... poświęcę.

— Tak, jedną ręką sypniesz wsparci temu co cię wyzyskać potrafi, drugą wydasz na jakąś fantazyę arty-

styczną i „w kieszeni zawsze figa“, jak mówi stara piosenka.

Zatrzymał się znowu przed Stasiem.

— No waryacie! pozwól mi wywindykować owe pozostałe sumki.... Złożę je w banku....

— Nie chcę cię tem zajmować. Hipoteki niepewne, trudności niezliczone.... Straciłbyś zbyt wiele drogiego czasu.

W tej chwili wbiegła Jania do pokoju z bukietem świeżych fiołków w ręku. Dzieweczka wyglądała prześlicznie; ślady ospy z lic jej znikły niemal zupełnie. Z oczu błękitnych tryskała pogoda ducha. Wydawała się odmłodzona, jak ptaszek swobodna. Niewinność prawdziwa czyniła ją prawie dzieckiem.

— Patrz Franku, co za prześliczny bukiet! — zawołała wesoło i zwracając się do Stasia, rzekła: — Dziękuję, bardzo dziękuję.... o! ja tak lubię fiołki!

— Ciesz się fiołkami — mruczał Franciszek. — Przysyła ci codziennie bukiet.... w zimie.... szalony!... a stracił wszystko, cały majątek.... Już i dom sprzedał.

Jania uścisnęła Stanisława za rękę.

— Tem lepiej, jesteśmy teraz sobie równi. Ja nie mam nic i pan także.

— Dobrzeście się dobrali — rzekł z ironicznym naciskiem adwokat.

— O! wierzaj mi, że dobrze! — szepnął Staś z uczuciem.

— Wszakże i ty nic nie miałeś, żeniąc się z Lutką — dorzuciła Jania, pewna już dzisiaj przywiązania Stanisława i przywiązaniem tem szczęśliwa.

— Ale ja pracowałem.... umiałem pracować.

— I my potrafimy.

— Mówiłem mu to przed chwilą.

— Nie byłem jak on marnotrawcą.

— Nie mam już co marnotrawić.

— Tak. Nie mamy już co marnotrawić! — wołała Jania, klaszcząc w dłonie.

— Pozwoli sobie pani — (Wobec ludzi zwał ją teraz „panią“) — rączki ucałować za jej dobrą interwencję.

— Proszę, proszę — to mówiąc, położyła bukiet na biurku i podała mu rączki. — Masz pan, obie.

— Do licha! — mruknął Franciszek, patrząc na nich z politowaniem — z was istna para waryatów!

— No, no, Franku... nie gniewaj się, nie gderaj...

Przymilała się bratu, głaszcząc go po twarzy.

— Złego nie naprawisz — rzekł Staś — już się stało.

— Czekałem na to... Dziwiło mnie nawet, żeś tego mądrego zdania dotąd nie wygłosił.

— No, no... Franeczku... jakoś to będzie — dorzuciła Jania z drugiej strony.

Franciszek wybuchnął.

— A i na to czekałem... Wstydz się... jedno lepsze od drugiego!

Gderanie adwokata przerwało wejście służącego, który wprowadził z sobą do gabinetu listonosza.

— List rekomendowany do pani. Prosiłbym o pokwitowanie w książce — rzekł oficyalista pocztowy.

Franciszek wziął podane sobie pismo.

— Do mojej żony ... To żona moja pokwitować musi?

— Tak proszę pana.

— Jańciu poproś Lutkę.

Jania wybiegła. Brat jej zwrócił się do Stanisława.

— List w żałobnej kopercie, z dużą czarną pieczęcią... Od kogo to być może?

Jeszcze nie otrzymał odpowiedzi, kiedy w kancelaryi męża ukazała się pani Ludwika, a za nią Janina.

— List do mnie! — wymówiła głosem dzwicznym — proszę o niego. — I równocześnie uściśniła życzliwie rękę witającego ją Stasia.

Po załatwieniu formalności podpisu w księżce pocztowej i odprawieniu listonosza, pani Franciszkowa usiadła w fotelu, otworzyła list sobie podany i utonęła w interesującej, ją widocznie lekturze. Korespondencya składała się z paru arkuszków papieru drobno zapisanych.

Zakochani usunęli się na bok. Adwokat, stojący w pośrodku pokoju, wpatrywał się w czytającą z ciekawością połączoną z zachwytem.

O! bo Ludwika była istotnie zachwycającą. Cerę przejrzystej białości barwił lekko na jagodach blady rumieniec koloru róży cieplarnianej. Jasne, złotawe włosy w puklach umiejętnie ułożonych, okalały regularny owal lica, o rysach drobnych delikatnych, ale klasycznie pięknych. Oczy jej czarne, obramowane frędzlą rzęsy także czarnej, o spojrzeniu melancholicznem powłóczyłem — niekiedy tylko błyskające ogniem — stanowiły wdzięczny kontrast, z jasnością ogólną, będącą główną charakterystyczną cechą jej uroczej twarzy. Postawa wyniosła, ręka mała, o długich arystokratycznych paluszkach, kibić kształtna i wiotka, zgrabna nóżka, obuta w pantofelki aksamitowe, błękitne, strój modny, pełen wytwornej elegancji, dopełniały całości tego typu prawdziwie polskiego, o którym marzą poeci; — malarze zaś, na widok tych marzeń wcielonnych, tych niebianek anielskich, łamają pędzle ze złością i rozpaczą. Aby odtworzyć wiernie, tę niesłychanie trudną do odmalowania gamę tonów jasnych uroczego zjawiska, potrzeba geniuszu ... a w czasach realizmu, lubującego się w brzydkim i pospolitem, w czasach

jak nasze dzisiejsze, nawet między malarzami genialnych nie wielu.

— Taka jestem dziś szczęśliwa — szeptała Janina do Stanisława — że paplałabym, śmiałabym się, a czarna pieczęć tego listu do Lutki, zamyka mi usta... Ale patrz pan.. patrz... i Ludwinia jakoś nie kwili... uśmiecha się... Czy pan to widzi?

— Widzę.

Pani Ludwika podała list mężowi.

— Jesteśmy bogaci — rzekła.

— Jakto? — zapytał Franciszek. Chwycił żywo pismo i zaczął je przeglądać.

— Ciotka moja, której nie znałam, umarła na Wołyniu. Donosi mi o tem jej adwokat i plenipotent zarazem. Mnie zapisała kapitały... podobno znaczne... swemu zaś siostrzeńcowi, hrabiemu Jerzemu, rozległe dobra ziemskie... Janiu! panie Stanisławie! nie żenujcie się, śmieJCie się głośno... Nie myślę odgrywać fałszywej komedyi żalu... Nigdy w życiu nie widziałam ś. p. nieboszczki, nie mogę zatem oplakiwać jej żałośnie.

Janina klasnęła w dłonie.

— Ach! jak to dobrze! jak to dobrze!

Ale po chwili, cień jakiś — niby wyrzut sumienia — prześliznął się po jej czole. Pociągnęła Stasia za rękę w głąb pokoju i szepnęła doń ze wzruszeniem:

— Jakaż ja egoistka!... Panie Stanisławie, zmówmy za umarłą „Wieczny odpoczynek“.

Rączka jej nakreśliła w powietrzu, nad łonem, znak krzyża świętego, a usta zaczęły się poruszać, wymawiając po cichu wyrazy modlitwy żałobnej.

Franciszek, skończywszy nareszcie czytać list z Wołynia, zbliżył się do żony.

— Jesteś bogatą — rzekł głosem, w którym przebiła się ukrywana radość.

— Ciesz się mnie to, ze względu na ciebie. Teraz już przynajmniej nie będę ci ciężarem.

Jania dosłyszała ostatnie wyrazy.

— Ach! Lutko!... nie godzi się tak mówić. On cię kocha... zawsze cię kochał.

— Byłam i jestem mu za to wdzięczną... dla tego może głównie, że czułam, iż istotnie jestem dla niego ciężarem... Przyznaję się... kontenta jestem z majątku, który nagle na nas spada.. Lubię ładnie się ubierać, bawić, jeździć za granicę... Rozrywki te kosztują drogo, zwłaszcza kiedy mąż tylko pracuje, a żona nie robi i nudzi się... Och! bo ja czasem nudzę się strasznie... Mój pan nie chciał mnie nigdy do swojej pracy przypuścić, zainteresować w swoich planach na przyszłość... Stałam się tem, czem chciał mnie zrobić... laleczką.

— O! nie, nie — zawołała Jania — jesteś kobietą z główką fantastyczną, ale z serduszkim anielskim.

— Tak, jesteś aniołem — dodał mąż z widocznym wzruszeniem — a nie dla aniołów proza życia i jego kłopoty. Pragnę je oddalić od ciebie.. Ja cię tak kocham!

Ludwika podała mu rączkę.

— Czy to prawda?... Kochasz mnie więcej od swoich interesów, od zabiegów o majątek, o bogactwo?

— Nad wszystko...

— Pragnę wierzyć.

Franciszek nie odpowiadał już, tylko przykląkł na dywanie przy jej krześle i gorącemi pocałunkami okrywał arystokratyczną łapkę.

Ten człowiek, przed chwilą surowy i prawie zimny dla siostry i przyjaciela — a Stanisław dowiódł mu swojej przyjaźni nie raz — miękł jak wosk pod powłó-

czystem spojrzeniem żony. Rzeczywiście kochał ją duszą całą. Zabijał się pracą dla tego tylko, aby jego „Ludwina najdroższa“ — w domu rodzicielskim przyzwyczajona do wygod, rozrywek i zbytku — nie zaznała pod dachem męża niedostatku. Nocami bezsennemi opłacał każdą jej przyjemność. Urządził dom z komfortem, wprzągnął Janię w pracę gospodarczą, oszczędzał na wszystkim, co wprost Ludwici nie dotyczyło, byle „hrabianka“ była zawsze panią; byle nie dostrzegła różnicy pomiędzy dawnym a dzisiejszym bytem. W gorączkowych staraniach, mających na celu tylko wygodę i dobro materyalne umiłowanej przez siebie osoby, zapomniał, że kobieta oprócz mebli, ubiorów, służby, widowisk, smacznej kuchni, kwiatów, balów, cukierków i konfitur, potrzebuje także... uczucia. Kochając namiętnie, rzadko kiedy dawał poznać, że kocha. Nie miał na to czasu. Oddany pracy, pochłaniającej dzień cały od rana do wieczora, żył się z tą pracą, włożył jak w miłe jarzmo, upoił nią, przywykł do niej. Przekonany i pewny, że ona jedynie stanowi środek, wiodący do szczęścia... mimowiednie i mimowolnie w cel ją zamienił.

Jania nie chciała przerywać bratu błogiej chwili miłostnego zachwytu, lecz przypadkiem spojrzała na zegar wiszący na ścianie i zauważyła, że wskazówki jego, przybliżają się do godziny, o której zwykli byli schodzić się goście.

Dotychczas sama odwlekała chwilę połączenia się związkiem małżeńskim z ukochanym od dzieciństwa, nie przez brak zaufania w moc i trwałość jego uczuć — oddawna bowiem ufała mu znowu bezwzględnie — lecz dlatego jedynie, że czuła się w domu Franciszka niezbędną. Obecnie jednak, kiedy spadek dawał adwokatowi możność zastąpienia jej osobą płatną, a sprze-

daż ostatniej kamienicy Stanisława, równała ją z nim majątkowo, postanowiła datę ślubu przybliżyć.

Dziwna to była istota! dobra jak Staś.. a może i lepsza.

Skrzętna i pracowita jak mrówka lub pszczołka, gosposia, niańka i siostra miłosierdzia zarazem, zapominająca o swojej miłości dopokąd się jej zdawało, że tego wymaga szczęście jej brata, wobec niedoli człowieka dobrego — więcej może nawet druha niż kochanka — którym jej najbliżsi już zaczęli pomiatać, bo straszne widmo ubóstwa zbliżało się doń i obejmowało go swemi wyschłemi ramionami, zapominała o sobie, aby jak najspieszniej obok niego stanąć jako towarzyszka, aby przed całym światem zaświadczyć, że solidaryzuje się z nim zupełnie.

Wskazówki zegara dosięgały prawie dziewiątej.

Jania nie mogła czekać dłużej. Rozpoczęła zatem oratorskim tonem:

— Moi państwo.. proszę o głos:

— Ludwika i Franciszek spojrzeli na nią zdziwieni. Staś się przybliżył — a ona z oczami, pełnemi dobroci i uśmiechów, ciągnęła dalej:

— Radość w dom wasz weszła.... niechże będzie zupełną, niech i inni ją podzielą. Frankowi oczy iskrzą się jak dwa żarzące się węgle. Lutka, silna bohaterską mocą ducha, nie chce zdradzić swego ukontentowania.... a przecież z pod jej czarnych rzęsów tryska złoty promień, którego dotąd w jej źrenicach nie widziałam.... I przy tem wszystkim niegodni zapominacie o nie szczęśliwej parze!

Stanisław nie zrozumiał myśli tej perory.

— Co pani mówi! — szepnął z niepokojem.

— Korzystam ze sposobności — i zwracając się do braterstwa mówiła znowu: — Ja i pan Staś bardzo prosimy...

— Ja panno Janino! ja?...

— Tak... i pan. Prosimy was, abyście... kiedy goście się zbiorą... ogłosili nasze zaręczyny.

— O! tak, tak... bardzo prosimy — zawołał artysta uradowany.

Ludwika rozśmieszona tym nagłym wybuchem smutnego i pogodzonego z przykrym losem, chociaż niecierpliwego kochanka, rzekła wesoło.

— Ja się zgadzam na słuszne żądanie... A ty Franciszku?

— Dałem słowo temu szalawile, cofnąć go nie mogę.

— Więc? — pytała Jania.

— Więc skończmy raz z korowodami... Zamieńcie pierścionki, a fakt zamiany dziś się jeszcze ogłosi... Czy tylko ten utracyusz ma pierścionek?

— O! żartujesz chyba. Noszę go od roku... Za nie w świecie byłbym go... nie stracił.

Janina wzięwszy od Stasia pierścionek podała go Ludwice wraz z swoim na dłoni.

— To pana Stanisława, a ten mój... Włóż nam je Lutko.

— Proś o to twego brata. Ja mam nieszczęśliwą rękę.

— O! niedobra! — rzekło dziewczę z nadąsaną minką.

— No, no, dość tych ceregieli — powiedział Franciszek. — Masz ty... masz ty... a teraz niech was Bóg błogosławi

Ucałował Janię i Stasia w czoło. Ludwika temu ostatniemu podała rękę, Janinkę czule zaś przycisnęła

do piersi. Kochała ją szczerze, bo jakże było nie kochać takiego miłego i poczciwego stworzenia, ale w głębi ducha podzielała obawy męża o jej przyszłość. Plotki paryskie przedstawiały artystę w czarnych kolorach. Nadmiar dobroci i nieszczęśliwy zbieg okoliczności, sprwadzający ruinę majątkową, zbyt wymownie potwierdził pogłoski o jego marnotrawstwie, lękała się więc odpowiedzialności za skojarzenie związku, który jednakże — ze względu na miłość łączącą sympatyczną parę i na rozgłos, jaki to przywiązanie otaczał — zdawał się jej koniecznym. Pani Franciszkowa, nie umiejąca ocenić krytycznie ani swoich usposobień, ani łatwo zmieniających się uniesień i fantazyj, ulegająca zawsze pierwszemu natchnieniu, czysta myślą i sercem a szkodząca sobie tylko pozorami wobec złośliwego świata, kiedy chodziło o drugich, sądziła o rzeczach i sprawach ludzkich bardzo zdrowo, miała nawet w pogotowiu radę rozsądną i skuteczną.

— Kiedy ślub? — pytała Jania brata.

— Poczekaj, powiem ci zaraz. — Spojrzał na kalendarz. — Za sześć tygodni. Czy zgoda?

— Tak długo czekać — szepnął Staś.

— Prędzej nie można; potrzeba przecież jakichś przygotowań, wyprawy....

— Ależ panna Janina na nią się nie zgodzi. Nie mam nic, więc i ona nie może mieć więcej odemnie.

— Jania posiada trzy tysiące rubli.

— Nie przyjmujemy. Panno Janino, prawda, że pani nie przyjmuje?

— Stanowczo nie przyjmuję.

— Szaleni! ależ to nie ja daję — zawołał rozgniewany Franciszek. — Babka zapisała Jani w testamencie na wyprawę. Po śmierci, jeszcze za życia ojca, złożono sumę w banku....

— A nie kłamiesz ty przypadkiem? — pytało dziewczę.

— Daję ci słowo...

— Cóż, panie Stanisławie — rzekła Jania, patrząc w oczy narzeczonemu — babci zwrócić nie możemy... Ona w niebie.... Więc chyba weźmy.

— A! to weźmy! — mruknął Staś z poddaniem się i rezygnacją.

— Tylko ustępstwo za ustępstwo — dodała Janina. — Nie chcę wyprawy. Mam tyle gałganków; co mi po nowych... gotówka zaś przydać się może. Nie będziemy jej mieć nadto na pierwsze urządzenie.

Służący przyszedł zawiadomić, że państwo Goldenkrantzowie oczekują w salonie.

Panie pospieszyły do gości; Franciszek zatrzymał Stanisława za rękę, mówiąc do oddalających się kobiet:

— Wnet podążymy za wami.

Kiedy pozostali sami, Stanisław zapytał:

— Miałeś mi coś powiedzieć?

— Tak. Nie mogłem przy nich... zwłaszcza przy żonie... okazać mojej radości, ale ciebie się nie wstydzę... — Chwylił go gwałtownie za ramiona — Mój drogi... jestem bogaty! — Poprawił się. — Jesteśmy bogaci... tak nagle, tak niespodzianie! Ja, który pracując nad siły, mogłem zaledwie koniec z końcem związać, dziś jestem panem krociowym.

— I to cię tak cieszy?

— Nie znałem rozkoszy pożycia domowego. Żonę moją widywałem tylko wieczorami i w niedzielę... a i w niedzielę, jak dziś, jak zawsze, obcy okradali mnie z jej towarzystwa. Zrana kościół, potem koncerta, w ciągu dnia wizyty, wreszcie recepcya... Kochając ją do szaleństwa, miłości w sercu jej obudzić nie mogłem...

Ziada obojętność i chłód między nami, który cię może dziwił, a mnie do rozpaczki doprowadzał.

— Mój dobry Franciszku! — mówił Staś, serdecznie ściskając go za ręce.

— Ale dziś będę panem mojego czasu. Każdej łoży w teatrze, każdej droższej toalety nie potrzebuję już opłacać pracą nocy bezsennych. Ach! majątek, bogactwo... to swoboda, niezależność, szczęście!

— Unosisz się. Słyszę coraz głośniejszą rozmowę w salonie... Panuj nad sobą.

— Nie obawiaj się, za chwilę się uspokoję — mówił Franciszek ciszej ale równie jak przedtem gorączkowo — o! ja nad sobą panować umiem, całe życie panowałem... Pozwól tylko niech pełną piersią odechnę... Czy ty rozumiesz co to być bogatym, panem krociowym, może wkrótce milionerem! O! bo ja kapitał podwoję, potroję...

— Dziwna rzecz! — myślał głośno Stanisław. — Nigdy nie mogłem zdać sobie sprawy z wartości majątku!

— Szalony! nie umiałeś utrzymać szczęścia w dłoni!... Ręczę ci, że ja go nie wypuszczę.

— Jeśli ci to nie zrobi subiekty, to może weź moje wątpliwej wartości kilkanaście tysięcy. Uda się odebrać, to dobrze... nie, to mniejsza o nie.

— Wezmę twoje mizerne kilkanaście tysięcy... wezmę, bo mi cię żal i Jani także.

— Ależ ja nie chcę, abyś się dla nas poświęcał — odparł Staś dotknięty.

Franciszek oparł znowu ręce na jego ramionach.

— O! ty waryacie! — wybuchnął prawie spazmatycznym, nerwowym jakimś śmiechem — dzieciaku! marnotrawco!

Było coś niemal tragicznego w wesołości tego człowieka, wierzącego w wszechpotęgę pieniędzy. Nagle urwał i prawie spokojnym tonem zapytał:

— Muszę być czerwony?

— Trochę.

— Trzeba się uspokoić... — Nalał szklanę wody z stojącej na biurku karafki i wypił duszkiem. — Już jestem spokojny... Chodź do salonu. Pewno są tam twoi pasażerzy... Nie do ciebie, lecz do mnie łasić się teraz będą, ale ja nie głupi... mnie nie oszukają, nie obędą... No, chodź do salonu.

Staś wymówił się chęcią wypalenia papierosa i pozostał... Pragnął odetchnąć, wypocząć.

Tyle wrażeń, w ciągu wieczora doznanych, szczęście z osiągnięcia ręki Jani, niepewność o przyszłość... wreszcie ta ostatnia scena, pozornie nie nieznacząca, a w gruncie rzeczy tak pełna nauki życia, wprowadziły go w pewne rozdrażnienie nerwowe. Organizm jego, niegdyś jak żelazo silny i wytrzymały, dziś pod naciskiem zawodów i rozczarowań słabł i rozstrajał się coraz bardziej. Łatwo popadał w irytację na widok niesprawiedliwości i złości ludzkiej.

Przybywszy do Warszawy, poprzedzony oczerniającymi go wieściami, widział jak wszyscy — żartując z plotek — czołem bili przed złotym cielcem, którego zdawał się reprezentować. W miarę jednak jak tracił mienie, jak pogłoski o jego upadku materyalnym rozchodziły się po mieście, wszyscy za oczy zaczęli zeń szydzić, w oczy zaś — mniej więcej grzecznie lub po grubiańsku — pomiatać nim, lekceważyć, pogardzać nawet. W gronie kolegów dawnych znalazł wyzyskujących lub wrogów. To go rozgoryczyło. Przejście było zbyt nagłe, aby mogło nie wstrząsnąć jego istotą moralną. Dobry jak zawsze, stał się jednakże w sądach

o bliźnich surowszym, mniej pobłażającym. Pewnych niegodziwości nie przebaczał. Przeciwnie występował przeciw nim z taką wyniosłością, dumą, cburzeniem i gwałtownością, że liczbę nieprzyjaciół wokoło siebie zwiększył.

Nie rozumiał i nie chciał zrozumieć, że w takim społeczeństwie jak nasze, przeciw wodzie płynąć nie można... Płynął więc, nużąc ducha i ciało nadaremnie.

Staś tym razem nie mógł zbyt długo oddawać się myślom smutnym, czarną ich przedzę bowiem przerwali goście — przeważnie mężczyźni — którzy dowiedziawszy się o zaręczynach, jeden po drugim wymykali się z salonu, aby mu złożyć życzenia i z nim razem wypalić papierosa. Prawie ostatni, po odejściu innych, przyszedł hrabia Jerzy.

Od pojedynku z Williamem — w którym sekundował współziomkowi przez uczucie solidarności narodowej, jakkolwiek Polski prawie nie znał, a Polaków nie lubił — stosunki ich stały się bliższe i życzliwsze.

— Jakże się cieszę — mówił, ściskając dłonie Stanisława — że już wyleczyłeś się zupełnie z pasy do Emmy. Najlepszem na tę chorobę lekarstwem będzie stanowczo panna Janina, taka dobra, miła, kochająca.... Ale, ale, czemu się myślisz zająć, bo podobno zawikłałeś się w trudne interesa... Gdybyś chciał gospodarować, wydzierżawiłbym ci jeden z folwarków w moich dobrach....

— Dziękuję za życzliwe chęci, ale przyjąć nie mogę. Agronomii nie poświęcałem się nigdy, nie znam się na rzemiośle rolnem... Wrócę do pędzla.

— A prawda, prawda; przypominam sobie, malowałaś w Paryżu bardzo ładne obrazki.... Zamawiam portret *Blockbacaty*, mojej klaczy ulubionej.

— A ja mój własny — krzyknął im nad uchem Goldenkrantz, wtaczający się właśnie w tej chwili do kancelaryi Franciszka, jak dawniej otyły i rumiany, jak dawniej śmiejący się nieustannie i z tymże samym wyrazem poczciwości na karykaturalnej twarzy.

— Dwa zamówienia naraz — zawołał Staś — to fortuna!

— Obstaluję i „Fortunę“ także... hi, hi, hi... Pan Stanisław wie przecie, że moja specyalność to piąki loteryjne, premiowe i tym podobne. Jestem... jestem... jakże to powiedzieć... faktorem od Fortuny. Przydałoby mi się duże malowidło, przedstawiające koło szklanne, ze zwiniętymi w środku biletami, a na niem jedną nóżką... bosą... opiera się ładna, tęgo zbudowana, naga, grecka czy rzymska panna... Mogłaby być i żydówka bo Fortuna z „naszymi“ w ścisłym pokrewieństwie... no! rozumiesz panie Stanisław... bogini, z rogiem przyjemności... chciałem powiedzieć... obfitości w ręku. Niech ma białą chusteczkę na oczach, bo ślepa; niezasłużonemu daje, a zasłużonemu odmawia... hi, hi, hi... Taki obraz zaraz kupię i dobrze zapłacę.

— To i pomysł jak widzę... i przyrzeczenie.

— Jedno i drugie. Ale prawda, że dobry pomysł?! — Śmiejąc się uderzał łokciami to Stasia, to Jerzego. — Zaczniemy jednak od portretów: mojego i Feli; potem przyjdzie kolej na Fortunę.. Proszę tylko o sekret w tym względzie... Panie hrabio, daj szlacheckie słowo, co nie wydasz.. a pokażę wam do niej model — cmoknął ustami — cud kobieta... hi, hi, hi... jak złoto!

— Czy dlatego, że drogo kosztuje? — spytał Jerzy.

— No! może i dlatego... Oj! domyślam się, że pan hrabia ją zna!

— Jeśli to ta, którą widuję czasem z panem, o zmroku, w Saskim Ogrodzie, to zdaje mi się, że nie pierwszej młodości.

— Jak róża rozwinięta....

— Jak róża w późnej jesieni.... zwarzona mrozem.

— Eh! co pan hrabia mówisz.... *fein* kobieta jeszcze!

— Malowana.

— A kto się dziś nie maluje?... Księżniczki, hrabiny, moja żona... — Urwał, uderzając się po ustach. — Gdyby same niemalowane szukać, człowiekby żadnej nie znalazł... hi, hi, hi.

— Malowidło na twarzy pani Goldenkrantz tak delikatne, tak umiejętnie i lekko wykonane.... Zdawałoby się, że to puszek na brzoskwini....

Staś pociągnął Jerzego za ubranie i szepnął mu na ucho:

— Ostrożnie... zazdrosny!

— Brzoskwini, artystycznie odtworzonej kolorowemi pastelami — ciągnął dalej pomimo przerwy Don-Juan. — Zresztą to opinia całego świata. Spytaj pan panów Bolesława i Juliusza....

— Hi, hi, hi... ich nie potrzebuję pytać — mruknął bankier — to moje konduktory!... Tym się dopiero urwało, że pan Stanisław stracił majątek, naskubali go oni niemało.

— Myli się pan... to dobre chłopcy — wtrącił Staś, niezadowolony z obrotu rozmowy.

— Na optykę, na perspektywę... Ja ich znam, ale się bez nich obejść nie mogę; to moje konduktory, oni mnie bronią od piorunów. Żaden z nich nie jest ani ładny, ani dowcipny; żaden niebezpiecznym być nie może. Jeden... hi, hi, hi... nudzi wciąż swoim idealizmem, drugi naturalizmem, jakby to były rzeczy

ciekawe. Obydwa pisują do dzienników, ale ich artykułów nikt nie czyta; obydwa mnie nie cierpią, lecz nienawidzą jeszcze bardziej tych, co się umizgają do mojej Feli.... Daję im zatem *carte blanche*, bo wiem, że kiedy oni za nią gonią, to już lepiej nie może być strzeżona.

— I to pan sam wymyśliłeś ten strategiczny fortel?

— No! sam. Co pan hrabia chcesz, kiedy człowiek jak ja jest śmieszny z natury....

— Któż to panu powiedział! — zawołali razem Staś i Jerzy — nie widzimy tego wcale.

— Ale ja widzę.... hi, hi, hi.... i dobrze widzę — trącił znowu łokciami sąsiadów — więc nie pragnę danielami.... chciałem powiedzieć.... jelonkowemi rogami na głowie ośmieszyć się jeszcze bardziej. Lecz nie myślcie panowie, że posądzam moją żonę.... Boże uchwaj,... *Honny soit qui mal y pense*, jak powiada order podwiązki.... tylko myślę, że strzeżonego Pan Bóg strzeże....

Tym razem poczciwy bankier nie przekreślił przysłówia.

— Salomonowa, mądra zasada — rzekł Stanisław — ale możebyśmy przeszli do salonu. Zasiadzieliśmy się tu zbyt długo.

Chciał koniecznie przerwać rozmowę, domyślał się bowiem, że Goldenkrantz, dlatego tylko taki dziś szczery, bo podejrzywa hrabiego o kurtyzowanie Felicyi. Lecz Jerzy — jakby na złość, jakby umyślnie — wyciągał dalej zazdrosnego męża na słówka, drażniąc go niewczesnymi pytaniami lub półwyznaniami pełnymi zachwytu i uwielbienia dla wdzięków jego połowicy.

— Biedny Salomon, ile to on musiał mieć do roboty, pilnując wszystkie swoje żony, zwłaszcza jeśli były tak piękne, jak pańska!

— Hi, hi, hi... nie był on głupi, jak się może panu hrabiemu zdaje... Pilnował tylko jednej.

— Którejże, jeśli łaska?

— Tej... która go mogła skompromitować.

Jerzy przyznał głośno, że bankier ma słuszość.

— Widzi pan hrabia... hi, hi, hi... byłem pewny, że w końcu zgodzimy się na jedno.

Wejście Jani położyło nareszcie koniec nużącej dla Stasia konwersacyi.

Dzieweczka — bo pomimo dwudziestu kilku lat skończonych, wyglądała ciągle na siedemnastoletnie dziewczętko — przyszła po Stanisława, który dotąd nie pokazał się w salonie. Chodziło jej, żeby go wszyscy widzieli spokojnym, szczęśliwym, śmiało spoglądającym w przyszłość.

Goldenkrantz wytoczył się za niemi. Jerzy tylko pozostał, siadł w wygodnym fotelu, zapalił papierosa i pograżył się w dumaniach.

Dwa lata temu przybył do Polski powołany interesami. W Warszawie spotkał Stasia, który go wprowadził do domu Franciszków. Tu poznał Ludwikę... i poraz pierwszy w życiu zakochał się szczerze.

Przyzwyczajony do łatwych tryumfów zagranicą, pewny był zwycięstwa, lecz spotkał opór, jakiego się nie spodziewał. Pani adwokatowa — daleka jego krewna — chociaż z główką przewróconą wychowaniem petersburskiem, chociaż z natury fantastyczna i kokietka trochę, jak niemal wszystkie Polki, kokietowała tylko na zimno, dla rozrywki, z braku zajęcia. Nie miała dzieci do wychowywania, nie miała obowiązków żadnych, bo nawet w codziennej trosce gospodarskiej

zastępowała ją Jania. Gdyby mąż częściej przy niej przebywał, gdyby jej nie poświęcał dla interesów i żądzy wzbogacenia się, nie pomyślałaby o igraniu z ogniem. Zresztą nie rozumiała niebezpieczeństwa, bo nie domyślała się jego istnienia, zwłaszcza że Franciszek — jak trzy czwarte mężów w takich razach — nie widział także nic zdrożnego w pewnej, względnej poufałości między kuzynem a kuzynką. Owszem cieszyło go, że człowiek dobrze wychowany i uprzejmy nie odstępuje jej prawie na chwilę, czuwa nad nią, wyręcza wtedy, kiedy on sam nie mógł oderwać się od pracy.

Ludwika — dotąd jeszcze — czuła się zupełnie swobodną wobec Jerzego, zupełnie dla niego obojętną. Przyjmowała go u siebie, bo się nudziła strasznie, a on ją rozrywał. Pochlebiało jej miłości własnej, że słynny Don - Juan, znany z licznych powodzeń na szerokim świecie, od dwóch lat u jej stóp wzdycha i do ulubionych sobie krain nie wraca. Nadto bawiło ją również, że pani Felicja zazdrości jej wiernego admiratora. Pomimo sideł, jakie podstępna i wytrawna w sztuce bałamucenia bankierowa zastawiała na eleganckiego, utytułowanego i modnego ptaszka, ptaszek nie dawał się złapać. Trzymany przez Ludwikę na wodzy, jak student znosił cierpliwie wszystkie jej kaprysy, mniemał bowiem, że tylko tą drogą dojdzie do celu, chociaż „polsko-parafiańska surowość kuzynki“ była dlań torturą nieznośną. Wprawdzie niekiedy chciał ją drażnić. Niby zniechęcony umizgał się do Felicji, lecz chwile podobnej emancypacji trwały nader krótko. Jedno spojrzenie zagniewanej i oburzonej, psuło mu humor i krzyżowało taktykę zdradliwą, jak świat starą, a jednak prawie za wsze skuteczną. Rywalizacya wytworzyła rodzaj tajemnej walki pomiędzy obu kobietami, bo bankierowa — rozumiejąca, iż ostatni kres jej tryumfów niedaleki —

przypuszczała do serca Paryżanina szturm silniejszy niż zwykle. Ludwice zdawało się, że spełnia misję anielską, broniąc młodzieńca od pokus szatana. Ztąd, w tem współzawodnictwie właśnie, leżało całe niebezpieczeństwo.

Dla biednego Goldenkrantza Jerzy był prawdziwym postrachem. Wiedział, że wszystkich wielbicieli żony porównywać z nim nie można. Od czasu, jak go poznał, nie mógł spać spokojnie; podwoił środki ostrożności, rozciągając nad postępowaniem Felicji niezmiernie ścisłą kontrolę. „Ten hrabia“ — inaczej go nie nazywał — stał się jego zmorą, zwłaszcza że Don-Juan, wobec męża i ludzi udawał, że go bankierowa oczarowała, że żywi dla niej prawdziwe uczucie miłości, że nią tylko zajęty, że dla niej nie opuszcza Warszawy.

Jerzy sam siebie nie pojmował. On — niedawno temu jeszcze — taki ufny w swoje siły, tak panujący nad sercem i jego uniesieniami, taki swobodny i zimny, w zbliżeniu się do kobiety młodej i ładnej szukający tylko łatwych rozkoszy, kochał teraz gwałtownie, gorąco, a jednak niemal z dziecinną naiwnością. Gotów był znieść wszystko, byle się nie wyrzec widoku cudnej blondynki. To go gniewało, upokarzało, a jednak... wstyd mu było cofnąć się, uciekać, przyznać się do przegranej. Coby sobie o tem pomyślano w Paryżu!

Zatopiony w dumaniu, nie spostrzegł nawet, że Ludwika wyszła z salonu i stanęła przy nim, wpatrując się weń ciekawie.

Długie oczekiwanie na ocknięcie się kuzyna znudziło ją wreszcie, dotknęła go zatem z lekka wachlarzem i rzekła:

— Budzę pana.

— Nie spałem.

— Należało zapytać, w jakim kolorze. Tymczasem pan prozaicznie odpowiada: nie spałem. Wierzę, że nie spałeś, ale marzyłeś, a marzenie bywa często snem także.

— Tak... marzyłem — rzekł Jerzy, powstając z krzesła.

— O czym?

— O kim?... chciała pani pewno zapytać.

— O kim, czy o czym, to nie wszystko jedno. No, więc o kim, jeśli panu chodzi o utrzymanie różnicy.

— O tobie pani.

— A! domyślam się... Z powodu testamentu ciotki, która pana na moją korzyść skrzywdziła.

— Co za złośliwość! Wiesz przecie kuzynko, że byłbym najszczęśliwszym z ludzi, gdybym u stóp twoich mógł złożyć nietylko, cały mój majątek ale i nazwisko moje zarazem.

— Co? — zawołała, marszcząc brwi — zdaje się, że to gorączka, dla tego przebaczam; ale jeśli pan zechce rozmawiać ze mną w ten sposób dalej, będę zmuszoną namówić go, abyś wrócił do siebie i położył się do łóżka. Chory potrzebuje dbać o siebie, a pan, mój kuzynie, jesteś chory.

— Okrutna!

— Jestem, czem jestem; nigdy się nie zmienię... Przedewszystkiem zaś nie pozwalam przemawiać do siebie tak jak pan przed chwilą... Langage paryskiego... może miłego damom francuskim... nie rozumiem.

— A jednak prędzej czy później zrozumieć go będziesz musiała... Pani męza nie kocha.

— Kłamstwo!... Kocham go... dziś więcej może niż kiedykolwiek.

— O! nie zabijaj mnie — jęknął Jerzy i upadł na krzesło.

— Tylko bez komedyj, jeśli pragniesz, abym nie cofnęła zupełnie tę trochę przyjaźni, jaką mam dla pana. — Tupnęła nóżką. — Czy pan mnie słyszy?... czy pan mnie usłucha?! Proszę wstać z krzesła.

Jerzy powstał.

— Tak... dobrze. A teraz proszę rozchmurzyć czoło.... Ani gorączki, ani melancholii.... Obawiam się chorych. Kto życzy sobie być moim przyjacielem, musi być rozsądnym, grzecznym, wesołym i zdrowym.

Jerzy stał jak na rozżarzonych węglach, ale siłą woli rozpogodził oblicze.

— Czy tak? — zapytał.

— Jeszcze niezupełnie.... Proszę się roześmiać.

— Hi, hi, hi.... jak Goldenkrantz.

— Szczerzej.... bez udania.

— Ha, ha, ha.... Czy już dobrze?

— Lepiej, niżle.... Poczciwy z pana chłopiec....

Przebaczam.

Jerzy chciał pochwycić jej rączki i obsypać je pocałunkami, ale Ludwika żywo usunęła drobne łapki, o długich arystokratycznych paluszkach.

— Nie.... nie.... za wiele poufałości. Oddal się pan i stój spokojnie. — Jerzy spełnił rozkaz z pokorą. — O! tak.... Tak lubię. Żeby pana za posłuszeństwo wynagrodzić, pozwalam ci przyjść jutro do ujeżdżalni.... Zobaczysz mnie w nowej amazonce. Prawdziwe arcydzieło.

— Dziękuję — szepnął hrabia prawie smutnie.

— Cóż to?... znowu chmury na czole?... Rycerzu posępnego oblicza przyjdiesz czy nie?

— Przyjdę.

— Wczoraj byłam sama w maneżu. Po godzinnej przejażdżce, kiedy zsiadłam z mojej „Kasztanki“, malarz przyprowadził mi pańską *Blackbeauty*. Dałam

jej kawałek cukru.... Poczciwe stworzenie nie wiedziało, jak mi podziękować.

— Szczęśliwa!

— O! jeśli o to tylko chodzi i pana uszczęśliwić mogę. Słodyczy u nas nie brak.. Żywo, do salonu! Dam panu ciasteczko albo cukierka. Proszę za sobą.

W drzwiach spotkała się z panią Felicją i nieodstępniemi jej: Bolesławem i Juliuszem.

— Ach! jacyż my niedyskretni! — rzekła bankierowa z przekąsem — pewno przerwaliśmy konferencję prawną.... sukcesorom, kłócącym się o spadek .. Och! nie marszcz ślicznych brwi, gołąbka biała, nie posądzam cię o nic złego. Wiem, że serce twoje z lodu. Zresztą — westchnęła przesadnie — hrabia, tylko dla mnie niebezpieczny.

Paryżanin przygryzł wargi, ale ukłonił się grzecznie.

Felicja obejrzała się wokoło.

— Och! czy tu przypadkiem nie ma mego męża. Ten srogi Otello, gdyby usłyszał moje wyznanie, które — dodała z naciskiem — nie zarumieniło nawet pana Jerzego, gotówby mnie po powrocie do domu udusić w naszym łożu małżeńskim.

Julek zgarnął w tył długą czuprynę i zaczął deklamować przewlekłym głosem:

— Nie dziwię się temu. W rewolucyjnem usposobieniu ducha, jakie zalotność pani roznieca, czyjeż serce.... choćby najidealniejszą przepelnione miłością... nie skryształizowałyby w sobie poziomych pierwiastków zazdrości.

— Panie Juljanie, odejdz na stronę i krystalizuj swoje pierwiastki w milczeniu.

To mówiąc usunęła go z lekka, aby się przybliżyć do Jerzego.

— Niewdzięczna! — zawołał Juliusz.

— Przebaczcie mu państwo ten romantyczny wykrzyknik. Pan Julian ma zamiar napisać tragedję wierszem, w pięciu aktach, dziś już zatem zbiera do niej materyały.

Nazywała go na przekorę „Julianem“ a nie „Juliuszem“, wiedziała bowiem, że młody dziennikarz choćby z imienia pragnie być podobny do Słowackiego.

Bolesław, uszczęśliwiony z odprawy danej towarzyszkowi, chciał na siebie zwrócić uwagę.

— Emil Zola, naturalistycznie zapatrujący się na stosunki towarzyskie...

— Panie Bolesławie — przerwała Felicja — schowaj Zolę i naturalizm na później, jesteśmy przecie w dobrem towarzystwie.

— Ależ proszę pani....

— Na później.... na później. Niech mi pan wierzy; pan i my wyjdziemy na tem lepiej.

Zgryźliwy ton zaogniającej się sprzeczki — właściwy tylko pewnym salonom warszawskim, gdzie brak uprzejmości i złośliwa pospolitość wyrażen uchodzi za dowcip — drażnił Ludwikę niesłychanie. Obawiała się zaaklimatyzowania go u siebie, więc — chociaż nie znosiła dymu z tytoniu — rzekła, uśmiechając się mile:

— Ręczę, że pani Felicja nie bez celu wtargnęła tu do gabinetu mego męża. Panowie, kto ma papierosa?

— Ja! ja! — zawołali Bolek i Julek, przebacząc łatwo urazy pani swoich myśli i spiesząc zawsze na jej usługi.

— Przedewszystkiem usiądźmy — powiedziała zalotna bankierowa, zajmując miejsce na kanapie. — *Cher comte*, pan tu... przy mnie... Biała gołąbka, lękająca się dymu, pewno odleci?

— Kto wie... może i nie — odparła Ludwika, przekonana, że misya anioła stróża, każe jej pozostać, aby chronić Jerzego od pokus groźnych.

— Tem lepiej. Oddam ci moich niewolników a zatrzymam sobie hrabiego. Tym sposobem on tobie, a oni mnie przeszkadzać nie będą... Teraz proszę o papierosa.

— Służę pani! — krzyknął Bolek, nadstawiając pierwszy swoją papierośnicę.

— Przyjmij pani mego — błagał płaczkliwym głosem Julek — bo wonny i lekki.

Felicja skrzywiła się pogardliwie.

— Realistyczny *Samsom* i idealny *Maryland*... Nie, to nie dla mnie. — Zwróciła się do Jerzego. — Hrabia ma pewno paryskiego *Caporala*?

— Mam istotnie.

— A to proszę o pańską cygaretkę.

Oślupiali reporterzy spojrzeli na Paryżanina z nienawiścią. Jerzy, nie zważając na nich wcale, podał pani Felicji papierosa.

— *Merci* — szepnęła kokietka.

Bolesław oprzytomniał pierwszy. Rzucił się do biurka po zapalki. Julek porwał za świecę. Jeden i drugi starali się ją zapalić, ale jeden drugiemu nie chciał odstąpić lichtarza... Jednakże na widok uśmiechającego się i szczęśliwszego od nich rywala, razem, zgodnie, przynieśli światło do stóp swojej królowej; — mówimy do stóp — gdyż połączeni tem, czego może im w głowach brakowało, przyklękli przed nią jak przed bóstwem.

— Dziękuję — i nachylając się nad karykaturalną parą, szepnęła między dwóch, do ucha: — *La-wirujcie koło gospodyni*... tak grzeczność każe.

— W tej odległości dym mi dokuczać nie będzie — rzekła Ludwika, siadając w fotelu męża, przy biurku.

Obejrzała się... Tuż przy niej, po lewej i prawej ręce, stali Julek i Bolek, wyprostowani jak szyldwachy. Kornie spełniali rozkazy, ile razy, spełniając je, mogli pani Felicji nie tracić z oczu.

— Dym posiada niekiedy wdzięk ponury ale pożyteczny — deklamował Juliusz do Ludwiki, pragnąc widocznie bawić ją konwersacją i tym sposobem uczynić zadość informacjom, jaką wraz z towarzyszem przed chwilą otrzymał.

— Dlaczego? — spytała pani domu.

— Bo rozścielając się i kłębiąc w atmosferze salonu zakrywa nieraz straszne kataklizmy życia towarzyskiego.

— Być może — szepnęła Ludwika, nie słuchająca go wcale, cała zajęta Felicją i Jerzym, rozmawiającymi pocichu na kanapie. Ucha jej dolatywały tylko urwane wyrazy i śmiechy, a te ostatnie szczególnie, drażniły ją i irytowały.

Julek, roztargnieniem Ludwiki dotknięty, z politowaniem wzruszył ramionami i pomyślał w duchu:

— Biedna! nie zrozumiała. Nie można z temi salonowemi gąskami mówić o rzeczach wyższych.

Bolesław — stojący z drugiej strony — uszczęśliwiony, że idealizm kolegi nie zainteresował pięknej blondynki, postanowił palnąć mowę o naturalizmie, przekonać ją i nawrócić.

— Realistycznie zapatrując się na rzeczy....

— Realistycznie zapatrując się na rzeczy — bezwiednie powtórzyła za nim Ludwika.

— Dym z cygar lub papierosów, palonych w towarzystwie dam zaciera różnicę płci, a nawet czasem łączy i jednoczy męczyznę z kobietą....

— Tak pan sądzi?

— A naturalnie... Wytwarza bowiem pewne spoufalenie się, zakazane przez fałszywie zrozumianą a tak zwaną... dobrą edukację.

Rozmawiający na kanapie śmieli się w najlepsze. Ciekawość kobieca wzięła górę... Ludwika powstała.

— Przepraszam pana — rzekła z grzecznością obojętną i zbliżyła się do Felicyi, kokietującej kuzyna.

Bolek, wymowniej jeszcze od Juliusza, wzruszył ramionami, mruczając przez zęby:

— Głupia!

— Pani już skończyła papierosa, mogę zatem przy niej usiąść? — spytała kusiciela Felicyi, ta co się za anioła-stróża Jerzego uważała

— Proszę... bardzo proszę.

— Przerwałam państwu rozmowę...

— Spowiadałam hrabiego.

— Czy penitent zasłużył na rozgrzeszenie?

— Nie chce się przyznać do niektórych grzechów.

— A pani je zna?

— Wybornie.

— Dlatego to może, pan Jerzy, przed chwilą jeszcze bardzo smutny, wydaje mi się teraz wesół, ożywiony.

— Widzę, że kuzynek białą gołąbkę obchodzi.

— Myli się pani... wcale mnie nie obchodzi — rzekła Ludwika z naciskiem i zimno.

Wejście kilku osób — pomiędzy którymi znajdował się i Goldenkrantz — z przepelnionego gości salonu do gabinetu Franciszka, poruszyło z miejsca panią Felicyę, która, szepnąwszy od niechcienia: „A to dobrze!“ jako dokończenie rozmowy z panią domu, powstała i przeszła w drugą stronę pokoju, aby pogodzić Julka z Bolkiem, kłócących się z sobą zajadle o idealizm i naturalizm. Jerzy, przerażony i zmieszany tonem, jakim

Ludwika wymówiła ostatnie wyrazy, chciał się do niej zbliżyć, tłumaczyć, usprawiedliwiać, lecz ona nie spojrzała nawet na niego. Surowa i obojętna zwróciła się do grupy dam starszych, rozmawiających z Janią. Towarzystwo, które wtargnęło do kancelaryi, rozbiło się na kółeczka. Rozmowa zawrzała szmerem zmieszonym.

— Nie patrzy na mnie, nie patrzy na mnie — mruknął hrabia. Dyabli nadali kokietkę! — Wziął Stanisława pod rękę. — Więc na seryo myślisz się oddać malarstwu? — spytał.

— Od jutra zajmę się wyszukaniem pracowni.

— Przepraszam... Na momencik muszę panu hrabiemu zabrać Stasieczka — powiedział Julek, objąwszy ramieniem w pół artystę.

— Nie zatrzymuję — to mówiąc, odwrócił się i przyłączył do gromadki, w której dojrzał Franciszka i Goldenkrantza.

— Mój drogi — deklamował Julek po cichu — czarne chmury zaległy mój horyzont finansowy. Nie mógłbyś mi pożyczyć pięciu rubli?

— Nie mam dużo przy sobie, ale chętnie podzielę się z tobą.

— Tylko nie tu... Argusowe oczy śledzą nas zewsząd.

— A to wejdźmy do przedpokoju.

Wysunęli się zręcznie z gabinetu, ale Goldenkrantz dostrzegł manewr swego konduktora i śmiejąc się, rzekł do adwokata:

— Jabym się założył, że ten Julek poszedł wypomować kieszeń panu Stanisławowi. Już ja go znam. — Trącił łokciem Franciszka i Jerzego. — On tak... hi, hi, hi... zawsze. Zacznie z góry bardzo idealnie, od samego nieba, od gwiazdki, od chmurki, a potem wprost do kieszeni trafi.

— Zwłaszcza, że ze Stasiem łatwa sprawa — dorzucił hrabia.

— Niepoprawny! Każdemu gotów oddać ostatek — mruknął niezadowolony Franciszek.

W przedpokoju Juliusz wziął od naszego bohatera rubli dziesięć zamiast pięciu.

— Widzisz, umysł mój zajęty sprawami ducha nie schodzi czasem na poziom materii... Nie obrachowałem się w pierwszej chwili... Bez dziesięciu jednostek mamony nikczemnej nie dałbym sobie rady.

Wracając zaś do kancelaryi, już z pieniędzmi w portmonetce, myślał w duchu:

— Kto wie?!... pono zrujnowany... Może ostatni raz pożyczę.

W parę minut potem i Staś powrócił także do gabinetu swego przyszłego szwagra, ale cały zirytowany i wzburzony do gruntu. Zobaczył Urbana, wchodzącego do salonu, a to wprowadziło go w rozdrażnienie nerwowe, któremu obecnie nierzadko ulegał. Kłopoty, zawody, rozczarowania, a przede wszystkim oderwanie się od codziennej, stałej pracy — która nawet w najcięższych okolicznościach życia uspokoić zdolna — wytworzyły tę drażliwość, niemal fizyczną, a niezupełnie zgodną z jego charakterem równym, łatwym, niekiedy biernym wobec walki z losem, niekiedy zaś stanowczym i energicznym, kiedy serce dyktowało wyroki czynu lub działania.

Urban, był znanym nam Kurtą.

Jako człowiek dotrzymał zapowiedzi z lat dziecińczych. Z cygana i rozwiązłego hulaki, pełnego egoizmu, stał się samolubem wyrafinowanym i praktycznym, w całym ujemnym i najszerszym znaczeniu tego wyrazu. Doszedłszy dojrzałego wieku, zabrał się z cynizmem bezczelnym, ale zarazem z wielkim sprytem i zręczno-

ścię — kosztem wszystkich obowiązków ludzkich i obywatelskich — do stworzenia sobie przyjemnej egzystencji i wygodnej pozycji w mieście rodzinnem. Po zaburzeniach, które wstrząsnęły krajem, wyjechał na czas jakiś do Petersburga. Co tam robił?... Nikt nigdy nie wiedział. Dość, że powrócił z rozległemi stosunkami i mógł oddawać w interesach znakomite przysługi, za które kazał sobie drogo płacić. W pracach, poszukiwaniach administracyjnych, staraniach o koncesye, w zawiązujących się spółkach i przedsiębiorstwach handlowych i przemysłowych, interwencya jego była niemal konieczną. Dla tego też wszyscy ubiegali się o jego względy. Każdy go się obawiał, bo kiedy chciał szkodzić, szkodził strasznie, zwłaszcza że złośliwy i cięty w języku, umiał szkalować i czernić bez miłosierdzia, bez litości. Nie lubiono go powszechnie i pogardzano nim w duszy... a jednak kłaniano mu się nisko i podawano rękę ostentacyjnie, skarbiąc sobie jego fawory. Potrzeba było być bardzo niezależnym moralnie i materialnie, aby nie dbać o Urbana, który, lekceważąc wszystkich i wszystko, domagał się dla siebie przynajmniej pozorów uznania i szacunku.

Zamieszkiwał apartament mały ale wykwintnie urządzone, przyjmował najuczciwszych i najdystyngowańszych ludzi, wzajem od nich przyjmowany, jadał w pierwszorzędnym restauracyach, pijał codziennie szampa, wieczory spędzał w Resursie, gdzie grywał grubo. Wygrywał i przegrywał naprzemian, mówiono jednak, że posiadał dziwny talent w ręku, bo kiedy bank trzymał, dobre karty przychodziły mu właśnie wtedy, kiedy stawki były duże.

W Petersburgu starał się podobno o rękę Ludwiki — jeszcze za życia jej ojca — ale dostał odkosa. Po tem niepowodzeniu — jedynem jakie znano —

nigdy już więcej nie oświadczał się żadnej pannie. W kawalerskim stanie czuł się zupełnie szczęśliwym. Po osiedleniu się w Warszawie Franciszka z żoną, nie oszczędzał obojga i często łatki im przypinał, pomimo to bywał u nich niekiedy i stosunków z nimi nie zrywał, zwłaszcza że adwokat — jak inni, jak całe miasto — kornie przed nim głowę ugiwał.

W wigilię dnia — w którym działo się to co opowiadamy — Staś miał sposobność dowiedzieć się z ust najwiarogodniejszych o potwarzach, rzucanych przez Urbana na ucziwość Franciszka i na honor Ludwiki, nadto nasłuchiwał się już dawniej o rozmaitych brudnych sprawkach „pana pośrednika“ — tak go bowiem pocichu nazywano, — o mętnej źródle jego dochodów, o wprawie woltowania kartami, widok zatem tego człowieka, zwłaszcza tu, w mieszkaniu osób, na reputacyi których całej nitki nie pozostawił, oburzył go do najwyższego stopnia, wpadł — jakeśmy to już powiedzieli — do kancelaryi przepełnionej gośćmi, rozgorączkowany, trzęsący się od gniewu. Chwycił gospodarza domu za rękę i odprowadził go na stronę.

— Do salonu wszedł w tej chwili Urban. Co to znaczy?... ty go u siebie przyjmujesz? — zawołał.

— Stale nie.... Zapraszać nie zapraszam, ale jak przyjdzie czasem.... cóż robić?

— Ależ to łotr, nikezemnik.... który cię szkaluje.

— Wiem o tem.

— I nie masz odwagi drzwi mu wskazać.

— Nie na wiele by mi się to przydało. Złośliwy, w środkach nie przebiera; szkodziłby mi tembardziej.

— Jabym go w domu moim nie ścierpiał.

— A znosisz takich Bolków i Julków.

— O! daruj! różnica ogromna... Biedacy, wyko-
lejeni, nieszczęśliwi, bez środków i zdolności... a tam-
ten niegodziwiec...

Franciszek nie dał mu skończyć, zwrócił się bo-
wiem do Urbana, który — poprawiając okulary —
wsunął się właśnie z salonu do gabinetu.

— Witam pana. Zkądże tak późno? — pytał świeżo
przybyłego.

— Z resursy. — Ukłonił się na prawo i lewo. —
Powiedział mi służący, że państwo obchodziecie uroczy-
stość rodzinną, zaręczyny panny Janiny ze Stasiem,
moim kolegą szkolnym... No!... niezupełnie, ale uczy-
liśmy się razem rysunków... Winszuję, winszuję.

— A panu ... hi, hi, hi... powinszować? — rzekł
Goldenkrantz, który się przybliżył.

— Czego?

— Preferansa z kociołkiem, wista z lieytacją...
cztery asy z wielką koroną... hi, hi, hi... a może co
krótszego.

Urban spojrział mu bystro w oczy, ale bankier
przyozdobił usta tak dobrodusznym uśmiechem, że „po-
średnik“ odpowiedział grzecznie, niemal wesoło:

— Wygrałem trochę.

— Jak zawsze — szepnął Jerzy.

— Jak zawsze — powtórzył za nim Urban ma-
chinalnie i poprawił okulary na nosie. — A! pan hra-
bia ... przepraszam, nie przywitałem... mam taki krótki
wzrok. — Domyślił się, że w tem kółeczku czekają
go same docinki, skinął zatem hardo głową, mówiąc: —
Pozwolą panowie, że ich opuszczę... Pójdę dalej złożyć
moje attencye damom.

Wyrazy były grzeczne, ale ton, z jakim je wy-
mówił, szorstki i suchy.

Wyrównał dwoma palcami przekrzywiające się nieustannie okulary i ruszył naprzód w stronę, gdzie — w gronie wielbicieli — tronowała Felicya. Następnie od jednej pani do drugiej szedł w koło całego pokoju, pewny siebie, dowcipkujący, witany i żegnany uprzejmymi uśmiechami.

Staś stał w pośrodku gabinetu i uporczywie ścigał go gniewnym wzrokiem. Jania spostrzegła rozdrażnienie narzeczonego. Zbliżyła się do niego szybko i z czułością serdeczną spytała :

— Co znaczy ten zły humor, malujący się na pańskiej — poprawiła się — na twojej twarzy ?

— Oburzony jestem. Franio przyjmuje u siebie tego nędznika... podaje mu rękę... Cóż u licha mnie poda?!.. Ten człowiek rzuca na niego najohydniejsze potwarze... czerni dobrą sławę jego żony... codzienową podłość popełnia, ale zły, może szkodzić w interesach, więc trzeba go oszczędzać. Gdyby był biedny, bez stosunków i wpływów, kazałby go za drzwi wyrzucić... To się nazywa sprawiedliwość!.. Patrz, patrz Janiu, jak mu się wszyscy kłaniają, jak mu z drogi schodzą... Czy to nie wstyd, że nikt nie śmie powiedzieć: precz ztąd, tu nie dla ciebie miejsce, tu są sami uczciwi ludzie!

Głos Stasia — chociaż tłumiony — zdawał się rozgrzmiewać głucho. Jania nie śmiała i nie chciała go uspokajać. Podzielała szlachetne oburzenie; czuła się porwana uniesieniem, tryskającym z pałających oczu Stanisława. Z miłością ujęła dłoń zawsze kochanego, a który dziś wydał się jej stokroć więcej godnym kochania.

— Tak, tak.... masz zupełną słuszość!

• — Ja mu ręki nie podam.

— Jeśli ty nie, to i ja nie.

Staś przycisnął jej łapkę do ust gorących.

— O! moja Janiu, jak ja cię Kocham!

Dzieweczce zamroczyło się w oczach... słyszała kołatanie swego serduszka.

— Kochaj mnie zawsze, a będę bardzo szczęśliwa.

— Zawsze!... zawsze!... ciebie jedną...

Zapomnieli o świecie całym... Utonęli w raj, który jak nieskończoność nie ma granic.

Właśnie w tej chwili Urban — obszedłszy wszystkie kółeczka — zbliżał się do nich, poprawiając okulary.

— Z powodu zaręczyn kochanego kolegi, przychodzę miłej parze złożyć moje życzenia...

Wyciągnął ramię i dłoń do uścisku.

Staś i Jania — jakby jedną myślą wiedzeni — cofnęli się trochę.

Wszystkich oczy zwróciły się na nich.

Potem... ostentacyjnie schowali ręce za siebie.

Poruszenie i gest nie mogły być tłumaczone dwuznacznie, zwłaszcza, że oboje zmierz yli pośrednika wzrokiem pełnym pogardy i nie mówiąc ani słowa, wyszli powoli, mierzonym krokiem do salonu.

Chwilę trwało milczenie.

Urban osłupiał, stał jak wryty, a przez mózg jego przeleciała burza szalona, pełna wichrów wyjących i krwawych błyskawic.

— Co to znaczy?... — wrzasnął zdławionym głosem.

— Szaleni! — zawołał Franciszek.

— Lekkomysłni! — dodał Jerzy.

W około brzmiał szmer ogólnego potępienia.

Urban z wybuchem wściekłości pogroził w stronę salonu.

— Czekaście! Zapłacicie mi za to z lichwą!

Gospodarz domu przyskoczył pierwszy; za nim goście otoczyli Urbana wieńcem!... Spieszono z kondolencją, ubolewaniem, przeprosinami.

W gronie poniżających się brakło jednej Ludwiki. Pozostała na miejscu, a chociaż w myśli potępiała lekkomyślny czyn Jani i Stanisława, za dumną była i za szlachetną, aby potępienie swe głośno wyjawić.

Dostrzegł to obrażony. Spojrzenie pełne nienawiści tajonej skrzyżował z jej wzrokiem pogodnym.... Poczem, w jednej chwili zapanował nad gniewem, nagle zmienił wyraz twarzy i na całe gardło wybuchnął śmiechem.

— Jakto! państwo się nie domyślili, że to żarty!

— Tak, to żarty!... to żart tylko!... rzecz ułożona między kolegami!.. krotochwila! — powtarzano na różne tony, nikt jednak w podobne tłumaczenie nie wierzył.

Pani Felicja szeptała na ucho Juliuszowi i Bolesławowi:

— Awantura!... awantura!... powiadam wam, straszna awantura.

XXII.

Pracownia.

Pracownia Stasia uśmiechała się pogodą i wesołością.

Ślicznie w niej było, wykwintnie i artystycznie zarazem. Podłużne matowe szyby w olbrzymim oknie rzucały łagodne, północne światło na wysokie i szerokie ściany, obite kobiercami i makatami wschodnimi. Z tego różnobarwnego i różnowzorowego, ale ciemnego tła wystawały lśniące, złocone, starą, bogatą rzeźbą zdobne ramy włoskie, bramujące kilkanaście obrazów, prawdziwych arcydzieł mistrzów dawnych i nowoczesnych. Nabył je Stanisław za znaczne sumy we Włoszech i w Paryżu, a pomimo zmiennych kolei losu dotąd ich nie utracił. Zawieszono na hakach wbitych pod samym sufitem — którego białość jaskrawą zakrywała jedwabna, starożytna, wenecka materya — spływały na sznurach splecionych z nici złotych do wysokości oczu widza i tu dopiero pochylały się tak, aby przyjąć ciepłe oświetlenie, nadające im życie. Nad nimi połyskiwały trofea z broni rozmaitej i ryszunków bojowych. Za piersią stalowego puklerza krzyżowały się dwa długie średniowieczne rapiry o głowniach za-

rdzewiałych, sięgających w górę pod spuszczone przyłbice polerowanego hełmu, a ostrzem — u dołu — łączących się z klingami szabel polskich, z lufami pistoletów okutych w mosiądz i srebro, z szyjami muszkietów i samopałów o kolbach z kości słoniowej i hebanu. Wyżej panowała dzika fantazyja oddalonych krain — istny chaos. Tarcze ze skóry i kory dźwigały na sobie pęki włóczni indyjskich, malajskich oszczepów, łuków chińskich i sajdaków z ościstymi strzałami Eskimosów. Zabytki archeologiczne, urny gliniane, zaczepione na gwoździach za ucha, młoty kamienne, maczugi nabijane kolcami, groty spiżowe, puginały o żeleźcach wygiętych, kręconych, wiązały się dziwacznie z wachlarzami palmowymi, jedwabniami i starodawnymi, bawełnianymi o dziwacznych deseniach. Na tej wysokości nie było jednej luki wolnej. Zdawało się, że to mozaika z różnorodnego materiału i tęczowej gammy kolorów, przyćmiona tylko pyłem i rdzą czasu; — zdawało się, że twórca tego chaotycznego układu chciał krzyczący ogrom *curiosités* wszelakich i archeologicznych zabytków przeciwstawić — jako kontrast — spokojowi estetycznemu, pogodnej, prawdziwie wielkiej sztuki, zajmującej niższą część ściany. A przecież to, co tam w górze tonęło w cieniach, artystycznie wytworzonych przez grube kotary wełniane i sfałdowane szale kaszemirskie, mogłoby przyozdobić niejedno muzeum. Stanisław, zbierając i gromadząc drogie cacka, przeznaczał je w myśli dla Krakowa. Teraz — pozbawiony majątku — przyozdobił niemi swój warsztat malarski, niemal nieodbitie potrzebujący wszystkich tych cennych fraszek.

Pod ścianami, na miękkich dywanach, stały sofy wygodne i fotele o szerokich, gościnnie rozwartych ramionach, piedestały z biustami z marmuru i terracoty, stoły z puhami szklannymi i srebrnymi, z porcelaną

i majolikami, niskie szafy z księgami i rękopisami w pargaminowej oprawie, pułki dębowe, a na nich drzbany i konwie miedziane. Drzwi w głębi wiodły do przedpokoju i kuchni. Przy nich stało płaskie biurko z przyborami do pisania, otoczone krzesłami i zydlami starożytnymi. W rogu wznosił się piec z kafelek holenderskich, fajansowych, niebieskich. Na lewo, prawie w połowie komnaty, rozsiadło się szerokie wzniesienie z desek, ze stopniami zbiegającymi naprzód, ku stalugom, na których Staś zwykle pracował. Estradę tę pokrywały kobierce perskie i ukraińskie kilimki. Na niem znajdował się fotel, służący modelom do pozowania i manekin, sztywny, nieruchomy, ubrany w suknię damską z długim trenem ze złotogłowiu. Nad tem wszystkim zwieszała się ze stropu kopuła baldachimu, zewsząd otoczonego ciężkimi frankami, zasuwającymi się i odsuwającymi według woli. To tworzyło rodzaj alkowy obszernej, a raczej namiotu, w głębi którego małe drzwiczki prowadziły do garderoby, służącej do przebrania się lub poprawienia toalety osobom pozującym do portretów. Na prawo, wysokie podwoje z pięknym sopraportem Boucher'a, wiodły do sypialni Jani i Stanisława. Mnóstwo stalug pochyłych i prostych z rozpoczętymi obrazami wypełniało ogromną komnatę. Urządzenie apartamentu — bo pracownię na budującym się domu wznosił sam Stanisław swoim staraniem i kosztem — pochłoneńło resztę funduszków artysty, wywindykowanych dość pomyślnie przez Franciszka. Utonęły w niem także trzy tysiące rubli Janiny. Zbytówna i wspaniała instalacya podniosła jednak — na czas pewien przynajmniej — kredyt i urok firmy artystycznej naszego bohatera, darząc go powodzeniem, przechodzącą wszelkie nadzieje. Niestety, powodzenie to nosiło na sobie charakter prędzej moralny niż materyalny.

Co Maciek zarabiał, Maciek zjadał, tak że już teraz — w chwili kiedy do *atelier* wchodzimy — młoda para, kochająca się i szczęśliwa, rachować się musiała z długami i odmawiać sobie niejednej rozrywki i przyjemności, których w ciągu miodowych miesięcy małżeńskiego pożycia nigdy nie bywa za dużo.

Pomimo to Stanisław czuł się najszczęśliwszym z ludzi i był nim istotnie. Im lepiej poznawał Janię — bo kobietę poznaje się tylko dobrze w życiu codziennym — tem więcej ją kochał, czcił, uwielbiał. Zadowolenie moralne i praca niemal nieustanna, powróciły mu dawne usposobienie równe i łagodne, nerwy nastroiły się do normalnego kamertonu, przyszłość — chociaż niekiedy zachmurzona brakiem mamony, do nadmiaru której Staś się przyzwyczaił — zdawała się doń uśmiechać błękitem pełnym obietnic. Zresztą ten, co był bogatym, mniema — jak gracz w pierwszych taliach wygrany — że „szansa“ chociaż się zmienia, powrócić musi, a wszystkie kolce i ciernie ubóstwa, jeśli nie dziś, to jutro opadną, ustępując miejsca wonnym, rozkwitłym różom. W chwilach wolnych pracował nad wielką kompozycją, do której Goldenkrantz podszeptał mu myśl bezwiednie, albo malował niewielki obrazek, którego bohaterką idealną była Jania. Właśnie obecnie śliczne i dobre stworzenie, ubrane w kostium średniowieczny, pozowało na estradzie, trochę znużone dość długiem posiedzeniem, ale zmęczenia swego nieokazujące najłżejszym objawem niecierpliwości.

— Tylko chwileczkę jeszcze nie ruszaj się moja najdroższa.... tylko sekundę.... To jedno światełko.... i już.

Istotnie w parę minut potem położył paletę i pędzle na zydłu dębowym. Jania odetchnęła pełną piersią

— Mogę się wyprostować? — spytała.

— Tak, tak.

— O! to dobrze.

Powstała i ruchem, który przypominał statuy greckie, wyciągnęła nad głową ramiona.

— Ach! jakaś ty piękna w tym stroju.

— Czy tylko w tym stroju?

— Zawsze, zawsze, moja pani, kochanko, żono. —

Usiadł na stopniach wzniesienia, wziął jej rączkę i okrywał pocałunkami — O! jak ja cię kocham.

— A ja?!... ja cię kocham nad wszystko, mój wielki artysto.

Objęła go za szyję. Pewno żadne z nich nie zdawało sobie sprawy jak ich dwie głowy, bliskie siebie, tworzyły obrazek piękny, chociaż pozbawiony efektów kontrastu, były to bowiem typy — podobne rysami, kolorytem i wyrazem.

Staś szeptał czułym głosem:

— Nie masz pojęcia, jak mi dobrze, miło, błogo.... Ty mój ideał, moje natchnienie, ciągle przy mnie jak anioł opiekuńczy, jak dobry geniusz, dodający otuchy... Powodzenie zdaje się bliskie.... Czegóż pragnąć więcej, o co się kłopotać!... Straciłem majątek, ale co nam po majątku!

— Nie mamy go już Stasieczku.... Twoje kapitały i trzy tysiące babci ulotniły się szybko.... Podobno nawet pokryjomu zaciągnąłeś trochę długów.

— Mniej niż ci się zdaje.

— Czemuż nie chcesz mi się przyznać ile?

— Na co się masz martwić.... Dowiesz się, jak je spłacimy.

Jania wzięła go za głowę, przypatrywała się jej chwilę z miłością, potem usta przycisnęła do jego czoła.

— O! ty mój lekkoduchu... Ludzie cię tą nazwą prześladują, a ja cię kocham takim, jakim jesteś, bo masz serce złote.

Odgłos silnego dzwonienia doleciał ich z przed pokoju.

— Ktoś dzwoni — szepnął Staś, zrywając się z miejsca. — Pozostań tu; zasłoń kotary... zechcesz, wyjdiesz... nie; pozostaniesz ukryta — i to mówiąc, zasunął firanki nad estradą.

W drzwiach w głębi ukazała się jowialna, czerwona twarz Goldenkrantza. Stał w paltocie i w kapeluszu na głowie.

— Jak się pan ma, panie Stanisław.

— Dzień dobry — rzekł artysta, odwracając obrazek na staludze.

— Nie wchodzę, bo ja tylko na chwileczkę. — Obejrzał się na wszystkie strony. — Hi, hi, hi... nie była tu moja Felcia?!

— Nie jeszcze. — Rzucił okiem na zegarek. — Spodziewam się jej za pół godziny... Chodźże pan bliżej. powiedz co słyhać.

— Słyhać — rzekł zbliżający się powoli i ostrożnie bankier — słyhać, co już o pańskie portrety gadają. Jeszcze jak się uda mojej żony, a jak pan broń Boże utrafi „Fortunę“, no!..

— Sza!

— Ja wiem co sza.... hi, hi, hi. — Potrącił Stasia łokciem i obejrzał się na prawo i lewo. — Nie było tu czasem hrabiego?

— Nie.

— Ale on tu przychodzi?

— Przychodzi.

— Ja panu co powiem w wielkim sekrecie.... hi, hi, hi.... On się kocha w mojej Felci.

— Cóż znowu?

— Rzecz pewna... Sam się domyśliłem i odebrałem o tem mały anonimowy bilecik..

— Panie Goldenkrantz, czy nie wstyd wierzyć w anonimy?!

— Ja nie wierzę, ale także nie boję się... mam dwa konduktory, Bolek i Julek.... hi, hi, hi... już oni go dopilnują... a i ja pilnuję...

— I posądzasz żonę?

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże.... Żona, to taki towar, co jak go ukradną, to później podrzuca.... Nie lubię podrzuconego towaru.... hi, hi, hi... ale nie posądzam.

— Jerzy nie myśli o pani Felicyi niestety! — mruknął Staś roztargniony z westchnieniem.

— Co niestety! jak niestety!... Nie gadaj panie Stanisław brzydkie słowo... Przecie pan mój przyjaciel i człowiek uczciwy.

Artyście przykro się zrobiło, że boleśnie dotknął zanego bankiera, uścisnął go więc serdecznie za rękę i chciał się usprawiedliwić, ale ten już nie słuchał, bo badawczym wzrokiem wodził po pracowni.

— Jego... hi, hi, hi... naprawdę tu nie ma?

— Ależ nie ma, nie ma.

— Ja panu wierzę, boś dobry ale strasznie lekki...

— Rozgniewałbym się, gdybym mógł na pana się gniewać.

— Nie.... nie.... ja obrazić nie chciałem... Ufam... ale widzisz panie Stanisław, każdy hrabia-kawaler... a nawet i żonaty... to tylko o cudzych żonach myśli i na ich honor dybie.... Hi, hi, hi... to już ich taka natura!

— Do takich Jerzy zaliczać się niemoże. Ręczę panu za niego.

— Nie ręcz panie Stanisław, bo ręczenie, to wielkie słowo. Ale się pan o mnie nie bój, bo ja już sobie dopilnuję. Do widzenia... hi, hi, hi... Ja tu jeszcze powrócę.

— Proszę, bardzo proszę.

— Może za pół godziny — poprawił się — może za godzinę.

Cofnął się ku drzwiom.

— A nie widział pan dziś Franciszka przypadkiem?

— Kto jego widzi... hi, hi, hi... nikt jego nie widzi. Powiadam panu, panie Stanisław, on się całkiem żyd zrobił. Nie spi, nie je... tylko pieniądze robi. Hi, hi, hi... czego tknie, wszystko *fein Geschest*... Bądź zdrów, panie Stanisław; ja tu jeszcze powrócę... A pańskiej żonie moje padam do nóg.

Staś odprowadził gościa do przedpokoju i powrócił.

Jania rozsunęła kotary, ukazała swoją śliczną główkę i rzekła z uśmiechem:

— Jak on mnie bawi czasem, kiedy goni za żoną.

— Słyszałaś naszą rozmowę?

— Jakże nie miałam słyszeć; nie ruszyłam się z miejsca.

— Posądza Jerzego?

— O! bo ona go przecie widocznie kokietuje.

— Pragnąłbym może, żeby skokietowała.

Janina zbiegła z estrady i zamknęła rączką usta mężowi.

— Co mówisz! bój się Boga... ty taki dobry — i dodała, naśladując sposób wymawiania Goldenkrantza: — Nie gadaj takie brzydkie słowo!

— Widzisz — rzekł Stanisław poważnie — nie śmiem zwierzać się jeszcze przed tobą... ale coś spostrzegam.

— I ja coś widzę — szepnęła Jania smutnie — ale lękałam się o tem wspomnieć...

— Żeby nie wymówić w złą godzinę.

— Żeby nie zgrzeszyć podejrzeniem....

Artysta objął żonę wpół i przycisnął do piersi.

— Moja jedyna! nasze myśli zawsze się schodzą.

— Powiedz raczej, że są zawsze razem.

— Więc milczmy jeszcze dalej.

— Chciałam cię właśnie o to prosić.

— Może się nam tylko zdaje.

— Może to tylko przywidzenie.

— Droga moja Janiu — całował jej rączki.

— Kochany Stasieczku — tuliła się do niego, kładąc swą główkę na piersi

Znowu odgłos dzwonka rozległ się w przedpokoju.

— Uciekaj za kotarę — i to mówiąc, w objęciach wniósł ją na estradę. — Wysuń noska, jeśli ci się podobać będzie, a nie, to siedź cicho.

Ucałował raz jeszcze, i połączył firanki.

Tym razem, dwie osoby równocześnie ukazały się we drzwiach — Szmul Eicheles i Pittorini.

Pierwszy — jak prawie wszyscy Szmule — był „faktorem od pożyczek“. Nosił chałat pośredniej długości, który od biedy uważać można było za surdut; pod chałatem wysokie buty z lakierowanymi sztylpami, za które chował ważniejsze papiery i jarmułkę na głowie rudej. Umiał nader zręcznie pozostawiać aksamitną myckę na włosach, kiedy konferował z jakimś kapitalistą husytem, a zdejmować ją razem z kapeluszem, ile razy kłaniał się lub rozmawiał z chrześcijańskim kundmanem. Słowem — chociaż przed żydami

udawał wierzącego — był w gruncie bezwyznaniowym. Jeździł co rok do Karlsbadu, dbał bowiem bardzo o swoje zdrowie, pokryjomu jadał szynkę surową, nie miał żadnych przesądów, a posiadał spryt ogromny i nieprzewycięzoną ochotę zrobienia majątku bez wielkiego ryzyka. Dlatego też handlował cudzemi, nigdy swemi pieniędzmi. Dzielił ludzi na trzy kategorie: tych co pożyczają i oddają bez pośrednictwa faktorów, innych co pożyczają i nie oddają, obchodząc się przy tym sposobie załatwiania interesów bez interwencji faktora — i takich nareszcie, co pożyczycwszy, czy oddadzą czy nie, suto wynagradzają pośrednika. Pierwszych dwóch kategorii znieść nie mógł, zachowując całą swą sympatyę dla ostatniej. Ponieważ Staś do niej należał, cieszył się względami Eichelesa, skubiącego go bez miłosierdzia.

Drugi gość, który razem ze Szmulem wbiegł wesoło do pracowni, to nasz stary znajomy, Józefek, niegdyś Małąpą zwany, obecnie przechrzczony przez artystów Pittorinim. Dzięki subwencji Stanisława, skończył on Szkołę Sztuk Pięknych w Krakowie, ale po mozolnej i dość wytrwałej pracy, przekonał się, że nie posiada najmniejszego talentu i zamiłowania do sztuki. Malarstwo uważał za rzemiosło o tyle dobre, o ile się opłaca, tymczasem pejzażyków jego, trzymanych w kolorze szpinaku, nikt nabywać nie chciał. Plunął więc na sztukę, lecz oględnie, bez rankoru, myśląc zaraz, jakby tu uboczną drogą korzyść z niej wycisnąć. Ludzie bogaci zaczęli się interesować obrazkami, a malarze wyrastali z pod ziemi jak grzyby. Mniemał, że z tych oznak da się coś wysnuć.

Po powrocie do Warszawy, na jednej z najbardziej uczęszczanych ulic najął sklep obszerny i otworzył w nim handel farbami, papierem rysunkowym, płótnem

malarskiem, ramami itp. Nadto brał od kolegów w komis i nabywał mniejsze obrazki, aby odprzedawać je za znacznym zarobkiem. Przedsiębiorczy, sprytny i czynny — po niejakiem czasie — urządził nad sklepem rodzaj muzeum, poświęconego sztuce i archeologii. Nagromadził w niem przeróżne ciekawe okazy, zacząwszy od gołębiczy z arki Noego, z różdżką oliwną w dziobie, wypchanej zaraz po potopie, do koturnów Juliusza Cezara, szczypty tabaki z tabakierki Napoleona I i „prawdziwego Rafaela“ malowanego przed dwudziestu laty w Lublinie. Przy tych cennych przedmiotach, zabytkach przeszłości, znalazło się czasem miejsce na obraz jednego z naszych nowoczesnych artystów. Wystawiony pomiędzy pazurem strąconego do piekieł Anioła a ogonem psa Alcybiadesa, zwracał uwagę prawdziwych wielbicieli i sprzedawał się nieźle. Nie potrzebujemy dodawać, że Pittorini — zupełnie tym razem pożyteczny dla rozwoju sztuki krajowej — zarabiał dosyć, a zarobiwszy starał się z muzeum swego usuwać czaszki Traupmanów i zausznice królowej Saby, aby na ich miejsce zawieszać na ścianach wystawy dzieła Matejków, Brandtów, Siemiradzkich, Kossaków i wielu innych.

Przy wielkich handlowych zdolnościach nie mógł jednak wypruć z ciała żyłki do cyganeryi artystycznej. Lubił hulać, bawić się, przepadał za kawiarnią, dzielnie wychylał kufle z piwem po ogródkach, a w pokątnych szulerniach „spłukiwał się“ nieraz co do grosza. Wtedy odbijał się na malarzach, wyzyskując potroszę, ale z takim dobrym humorem, tak wesoło, zabawnie, że mu wszyscy — bacząc na jego zasługi rzeczywiste — chętnie to przebaczali. Umiał najsmutniejszego rozśmieszyć, najpowszedniejszą rozmowę powiązać częstochowskiemi rymami, a nadto wyglądał nawet tak pociesznie i po błazeńsku, że kto żył — amatorowie i artyści —

przepadali za nim, jak najgoręcej popierając jego zabiegi i usiłowania. Pittorini korzystał z objawów i wodów przyjaźni, nie troszcząc się wiele o samych przyjaciół. Wdzięczność nie należała do zalet jego charakteru. Pochlebiał i łasił się tym, co mu dopomagało do interesu, lecz skoro spostrzegł, że już nie są niezbędni, opuszczał ich z obojętnością filozoficzną, przekonany, że nikt mu tego za złe nie weźmie. I istotnie nikt się nań nie obrażał. Niewdzięczność jego była zupełnie bezwiedną, handlową — jak i sympatye — któżby więc mógł o nie dbać i zwracać na nie uwagę.

Ubierał się niezmiernie dziwacznie jak fryzyerzyk lub subjekt z Nalewek. Nosił jaskrawą różnobarwną odzież, krawaty żółte i pąsowe, Rembrantowskie kapelusze i długie włosy, które ciągłym potrząsaniem głowy z czoła na tył zawracał.

Wszedł do pracowni, podskakując, z obrazkiem pod pachą, uściskał Stasia za rękę i rzekł tonem nawpół dobrodusznym a na wpół emfatycznym:

— Mistrzu młody, znakomity kolorysto, załatw swoje interesa z mozaistą... ja tymczasem poczekam. Nie żenuj się kolego, znam ja się na takich sprawach.

To powiedziawszy, zaczął myszkować po pracowni, oglądać szkice, studia i rozpoczęte obrazy. Staś zaś udał się w głąb pokoju, usiadł przy stole dębowym i spytał kłaniającego mu się nisko faktora półgłosem:

— Co tam panie Eicheles?

— Dziś termin na te dwieście rubli wzięte od Feinmessera — szepnął Szmul.

— Dziś?!... A do licha, na śmierć zapomniałem.

— Cóż będzie?

— Musi zaprolongować.

— Zaprolongować, zaprolonguje, ale zechce procent.

— Ile?

— Jemu trza dać dwadzieścia, a mnie... za to co się nabiegam... dziesięć.

— Dużo.

— Inaczej nie będzie. Teraz najbogatsze kupcy

i największe panowie tak płacą.

— Lećże pan po weksel.

— Na co lecić?... Ja go już mam przy sobie, jeszcze z rana od Feinmessera wziąłem.

— No toś się pan bardzo nie nabiegał.

— Co to mówić! ja zawsze biegam... ja ciężko zarabiam.

— Daj pan, kiedy tak. — Wziął weksel z rąk Szmula, napisał na nim prolongatę, potem wyjął z kieszeni portmonetkę, wydobyl z niej ostatnie trzydzieści rubli i rzekł, podając wraz z wekslem: — Służę... Na dwa miesiące.

— Dziękuję jaśnie panu. — Obejrzał się po pracowni. — Jak tu ładnie!... Ja się na tem wszystkim znam. Jak pan zechce sprzedać, to dam dobrego kupca.

Uklonił się i wyszedł.

— Cóż pijawka już wyssała i odpadła — zawołał Pittorini. — Te szelmy to ostatni grosz człowiekowi zabiorą. Znam ich, znam. — Wstrząśnięciem głowy poprawił spadającą na czoło czyprynę — bo i ja przecie byłem farysem... chciałem powiedzieć... artystą. *Anch'io son pittore.*

— Wiem... znamy się przecie nie od dzisiaj. — Spostrzegł, że Józef odsłonił duży, świeżo rozpoczęty obraz. — Przepraszam; tego jeszcze nie pokazuję — i zasłonił płótno.

— Szkoda, szkoda; bo choć rzecz młoda ... chciałem powiedzieć... zaledwie podmalowana, tęga rzecz,

co się zowie; byleś skończeniem nie zepsuł!... Na sprzedaż?

— Nie.

— To przynajmniej *per Baccho*, dasz mi do muzeum, na wystawę.

— Zobaczymy.... poczekaj.

— Pijawka wprowadziła cię, widzę, w zły humor.

— Bron Boże....

— Tem lepiej, bo tu właśnie rzecz niewielka, ha-gatelka ... rachunczek. — Wyjął papier z pugilaresu. — Należy mi się za płótno, farby, wernix, *et caetera*...

— Przecież masz parę moich obrazków. Jak je sprzedasz, to sobie strącisz.

— Ciężkie czasy, handel nie idzie. *Per Dio immortale*. Mecenasów nie ma wcale, a tu płac za sklep, za lokal, za administrację, usługę.... Papu także człowiek potrzebuje.... Strach! włosy stają na głowie! — i pięciu palcami podniósł w górę niesforną czuprynę.

— Widzę, widzę — rzekł Stanisław z uśmiechem na ustach

— Klnę się na moje uwielbienie dla sztuki — deklamował z ferworem Pittorini — że w dochodach same luki, a w kieszeni.... smutno! tylko płótno!... Tak mistrzu młody!... Przyniosłem tu jeden z twoich obrazków. Kupiłbym go *per Baccho*; kupiłbym *primo loco*, gdyby nie drogo, a *secundo loco*, gdybyś go poprawił podług recenzyj, wydrukowanych w gazetach... bo zdanie gazety, to zysków podniety!

Obrazek - - o którym mówił — sprzedał już dziś rano za sto rubli jednemu ze znanych lubowników malarstwa. Odnosząc wdzięczną kompozycyjkę, wstąpił do artysty aby z nim ostatecznie dobić targu. Widok Szmula — spotkanego na schodach — był dlań zapewnieniem, że układy nie będą ani trudne ani uporne.

Zresztą Staś — pomimo niezaprzeczonego talentu — nie miał szczęścia do nabywców. Brał zawsze niższe ceny od wszystkich swoich kolegów.

— Nie czytałem dotąd żadnej recenzji — odpowiedział na ostatnie wyrazy handlarza.

Pittorini wydobył z zanadrza dzienniki.

— Ja ci przeczytam, bo piękna deklamacya, to moja ambicya.

— Hola! hola! — parsknął głośnym śmiechem Stanisław — ależ „ambicya“ z „deklamacyą“ nie rymuje wcale.

— Lecz brzmi podobnie, więc ... nic nie szkodzi... niechaj słucho! pan dobrodziej. — Rozwinął zadrukowany arkusz. — Zaczniemy od tej... „Wieczność“... Hm! hm! hm! — mruczał, szukając ustępu z krytyką — „Drobna, ale pełna światła, blasków i roziskrzonych promieni kompozycya młodego artysty...“ — Przerwał, mówiąc: — Opuszczam pochwały, te bowiem niczego nie dowodzą. — Czytał dalej. — „Hm! hm! hm!... pomimo przymiotów pewnych, grzeszy rozdźwiękiem realizmu, kłócącego się z estetyczną czcią dla ideału. Lotną łyżwą delikatnej formy prześlizguje się nad czarną otchłanią koncepcyi zmysłowej, otwierającej paszczę swoją pod pędzlem malarza. Brutalny pomysł długiego nosa na okrągłej twarzy, oraz falująca kokieterijność gazy, zasłaniającej alabastrowe wulkany łona, w przejrzystości swojej jest stokroć niebezpieczniejszą od bezczelnej nagości greckiej, która nigdy zdrożną być nie może.“ — Skończył i odetchnął zużony. — A co?

— Czy ty to rozumiesz?

— Nie... ale to ładnie dźwięczy... jak harfa, jak lutnia...

— Chyba jak gitara lub cytra....

— Co chcesz!... Brzęczy, brzęczy, brzęczy.... i napędza kupców do muzeum — mówił Pittorini, niby upojony lektura.

— Kto podpisany?

— Nie ma podpisu.

— To Julek. Czytaj drugą.

Józef rozwinął inny dziennik.

— „Zasady“... pyszny tytuł... „Hm, hm, hm....

Zbytni idealizm cechuje prace młodego malarza“.... —

Przerwał znowu czytanie. — Opuszczam pochwały, bo te sam sobie w duszy swej dośpiewasz. — Poczem mruczał — Hm! hm! hm!... a! już jestem, już mam...

„Chcąc gwałtem wszystko upiękniać, zrobił bohaterce za mały, kartofelkowaty nos na szczupłej twarzy i pozbawił ją tym sposobem charakterystycznej cechy wy-

uzdania, jaki jego dewotka i fałszywa skromnisia mieć powinna. Gazy, zasłaniające nagie piersi, zasłaniają je

zbytecznie. Takie damy lubią je przecie odkrywać!“ —

Odetchnął. — A co?

— Także pewno nie ma podpisu?

— Nie ma.

— To recenzja Bolka.

— Kłuje jak kolka, ale jest w tem *per Baccho* coś jędrnego... coś... coś... co przekonywa...

— Według której zatem mam poprawić?... chcesz długiego czy krótkiego nosa?... odkryć, czy zasłonić łono?

Pittorini, sprytny jak ta, której przezwisko nosił w dzieciństwie — wiedział co sądzić o podobnych krytykach. Jeśli je przyniósł i czytał, to tylko, aby zachwiać w sercu Stanisława ufność i wiarę w siebie — których prawdziwemu artyście brak zawsze — ale spostrzegł się, że źle wybrał i nie osiągnął należytego efektu, cisnął więc gazety na ziemię i rzekł ochoczo:

— Powiem ci szczerze, niech recenzje dyabeł bierze.... Chcę, żebyś niedrogo sprzedał. Dam pięćdziesiąt rubelianów w monecie szeleszczącej, w kraju kurs mającej.

— Za tanio, ale bierz lichy.... dawaj.

— Dwadzieścia pięć *en gotiu*, a dwadzieścia pięć wykreślę z rachunku.

— Zartujesz chyba.

— Więcej nie mogę, jak mi sztuka miła ... *Anche io son pittore*.

— Zgoda na cenę, daj tylko wszystko.

— Nie podobna.

— A! niechże cię!... — ale wyciągnął rękę po dwadzieścia pięć rubli.

— Klnę się na Apollina i Merkurego, iż jedyna przyczyna skłaniająca mnie do wydania monety za ten srodze skrytykowany obrazek jest wizyta owej szczy-pawki, owej pijawki, co mnie tu poprzedziła.... Pragnę wyrwać was z rąk żydowskich.... was kolegów.

— Rzecz skończona, nie mówmy o tem — rzekł Staś, chowając podanego sobie banknota.

Pittorini ustawiał tymczasem niewielkie płótno w ramie na stalugach.

— Drogi mistrzu, muśnij pędzelkiem jedno światełko tu... drugie światełeczko tu... a tu promyczek.

Staś usiadł, wziął paletę i pędzel, czyniąc zadość życzeniu Józefa.

— No, dość tego.... masz i promyczek.

— Dziękuję. — Chwycił obrazek pod pachę. — *Addio caro professore*.... Do drogi rozpuszczam chyże nogi... *Servo umilissimo*. — Gwałtownym rzutem zawrócił czuprynę z czoła na tył głowy. — *Ciau* kolego! — i wyleciał.

Jania rozsunęła kotary.

— Wyzyskał cię znowu?

— Trochę. Co prawda, i u niego się nie przelewa, radzi sobie zatem biedak jak może. Ja zaś musiałem sprzedać... byliśmy już bez grosza, a tak możemy pójść dziś do teatru na „Carmen“... Zgoda?

— O! ty mój lekkoduchu! — zawołała Jania, zbiegając z estrady. — Pójdziemy, pójdziemy, żebyś wypoczął, rozerwał się po pracy.

Objęła go za szyję, przyciskając usta do jego czoła.

Całującą się parę spłoszył Franciszek, który, wszedłszy po cichu, zbliżył się do siostry i szwagra i nagle położył im ręce na ramionach

— A zawsze się pieszczą, zamiast pracować.

— Ach! jakżeś mnie przestraszył — krzyknęła Jania — o! niedobry braciszku!... Nie zazdrościłbyś nam, gdybyś częściej Ludwinę całował.

— Robię wszystko, co tylko mogę, żeby ją całować swobodnie wśród wygod i zbytku, bez troski o jutro, nie tak jak wy, co całujecie się o chłódzie i głodzie.

— Daruj... Prawda Janiu, że nam ani chłodno, ani głodno?

— Pieca dotknąć nie można, taki rozpalony.... Na śniadanie jedliśmy kuropatwę.

— Powiedz raczej, że zmusiłaś mnie do zjedzenia całej kuropatwy.

Jania zasłoniła mu rączką usta.

— Cicho, cicho! nie narzekaj, nie oskarzaj.... Zjadłam całe skrzydełko. — Zwróciła się do brata — Wieczorem idziemy do teatru.. A czy u was nie wspaniale, nie pięknie? — wskazała na ściany.

— Świeci się po wierzchu, — rzekł Franciszek — ale i to dobrze, bo tak cię piszą, jak cię widzą; dlatego też przebaczam wam, żeście pozawieszali te lśniące

łachmany i graty. Jesteście w modzie, *en vogue*. Nieje-
den bierze wasze artystyczne draperye za zasłony,
kryjące kapitał rzeczywisty. Nie zmarnujcie ich przy-
najmniej, bo jak i tego zabraknie, będzie źle, powodze-
nie uleci, zwłaszcza, że Urban psuje wam kredyt, rozsie-
wając o was najróżnorodniejsze, niekorzystne wieści.
Dotąd wszyscy zachwyceni talentem Stanisława, szcze-
gólniej wspaniałem urządzeniem pracowni, ale dalej....

— Przystań gderać — szepnął Staś smutnie,
zmęczony złowróbnem i samolubnem moralizowaniem
szwagra.

Janina, która oddawna chciała przerwać lub zmie-
nić treść rozmowy, spytała Franciszka:

— Wszedłeś bez dzwonięcia?

— Spotkałem na schodach waszą służącą Kata-
rzynę.... wychodziła na miasto. Powiedziałem jej, że
Ludwini tylko co nie widać.

— A to niech nie wychodzi, dopóki twoja żona
nie nadejdzie, niech zaczeka — i to mówiąc, spieszył
Staś ku drzwiom w głębi.

Franciszek zatrzymał go za rękę.

— Zaczeka, zaczeka... przyrzekła mi to.... Nie
fatyguj się. Oto powiedz raczej, czy portret postępuje?

— Nie bardzo. Żona twoja rzadko przychodzi,
bawi krótko....

Wyszukał pomiędzy blejtramami rozpoczęty portret
Ludwiki i ustawił go na stalugach.

— Czy być może?... a ja myślałem, że pozuje
codziennie.

— To jest, prawie codzien — rzekła Jania trochę
zmięszana, odprowadzając Franciszka od stalug, przy
których stanął Stanisław i zaczął malować — ...nie
siedzi spokojnie.... jakaś zdenerwowana. Do portretu
trzeba siedzieć jak mur.... Ja już umiem.

Franciszek roztargniony oglądał siostrę od stóp do głów.

— Jak on cię po cudacku ubiera.... Czemże to dziś jesteś?

— Wenecyanką z czasów Pawła Veronese.

— Stasiu, spiesz się z portretem Ludwini, bo zdaje się, że do wiosny podwoję nasz kapitał — poprawił się — jej majątek.... — i pojedziemy do Paryża.

— Och! jedźcie zaraz — błagała Jania gorąco — ona biedaczka tak się nudzi w Warszawie.

— Nudzi?... nie uważałem. Zresztą teraz jeszcze nie mogę. Żebyście wiedzieli jaki robię interes!... Ale co wam o tem mówić, albo wy się znacie na interesach! — Wzruszył ramionami. — Wprawdzie na każdym kroku widzę nieprzyjazną rękę Urbana, który za ciebie mszcząc się na mnie, krzyżuje mi plany, wprawdzie koło mnie, wszędzie gdzie się zwrócę latają anonimy jak osy... rozmaitej natury, najnieprawdopodobniejsze — dodał z prynciskiem — idę śmiało do celu i korzystam z pomyślnej chwili. Mówię ci zatem śpiesz się, śpiesz. — Spostrzegł, że Staś maluje, więc zbliżył się do niego. — A to portret Ludwini!... Podobna, podobna.... Prawda jaka ona śliczna?

— Cudna! — przytwierdziła Jania.

— Spiesz się próżniaku, żebym ci mógł przed wyjazdem zapłacić.

— Ależ ja zapłaty nie przyjmę. Maluję dla mojej własnej przyjemności

— Braciszku — dorzuciła Janina — dla artysty to korzyść... nie łatwo mieć taki model.

— A zawsze szaleni; jest też komu bawić się w wspaniałomyślność! Ale, ale... wywindykowałem ci jeszcze parę tysięcy rubli z owych sum wątpliwych, lecz to już ostatnie.

Stanisław uściśnął mu rękę.

— Dziękuję... dziękuję.

Jania klasnęła w dłonie.

— Ach! jak to dobrze! jak to dobrze!

— Coś się strasznie cieszyacie; musi być koło was krucho.

— Broń Boże!

— Ale gdzie tam!

Franciszek nie prowadził dalej indagacyi, ujrzał bowiem żonę, wchodzącą z Jerzym do pracowni.

— Otóż i moja pani. — Ucałował jej rękę. —

Dlaczego w amazonce?

— Pojadę ztąd do maneżu — odparła Ludwika chłodno, rzucając szpicrutę na stół.

Tylko ostrożnie! — Zwrócił się do hrabiego uprzejmie. — Pan jej zapewne towarzyszyć będzie?

— Jeśli pani pozwoli.

— Uważaj na nią; ona taka roztrzepana, tak mało dba o siebie..., to dziecko. Powierzam ją pańskiej opiece.

— Żona pana mecenasa prowadzi konia jak wytrawny jeździec.

— Jak Franio ciebie kocha — szepnęła Jania na stronie do bratowej.

— Zkądże mu się to wzięło? — odpowiedziała Ludwika pół głosem, tonem ironicznym i niezadowolonym.

— Czy nie widzisz jego miłości, jego przywiązania?

— Do czego?

— Do ciebie.

— Zartujesz. On kocha tylko swoje interesa.

— Liczę na pana — mówił Franciszek, ściskając Jerzego za rękę — i na twoją roztropność Ludwiniu. Zobaczymy się na obiedzie, a wieczorem pójdziemy

na operę.... Teraz do widzenia.... Muszę spieszyć do interesów.

Ludwika nachyliła się do ucha Janiny.

— A widzisz?... tak zawsze.

— Bądźcie zdrowe lekkoduchy — powiedział adwokat do siostry i Stanisława, którzy się zbliżyli, aby go do drzwi odprowadzić.

— Pozostań — prosił Staś.

— Choć na godzinę.... Zrób to dla żony — błagała Jania.

— Nie, nie i nie Przedewszystkiem interesa. Nie proście, bo nie pozostanę. Traktujecie wszystko jak zabawę, rozrywkę, przyjemność.... Pierwszą przyjemnością uczciwego człowieka jest spełnić swój obowiązek.

Wzruszył ramionami, włożył kapelusz na głowę i, nie słuchając dłużej wyszedł, odprowadzony do przedpokoju przez szwagra i siostrę nalegających nań ciągle, aby pozostał.

Jerzy skorzystał z chwilowego sam na sam Zbliżył się do Ludwiki i zapytał:

— Pozwoli mi pani towarzyszyć sobie do ujeżdżalni?

— Zabraniam.

— Mąż mnie o to prosił.

— A ja zabraniam.

— No! weźmy się do portretu — rzekł powracający Stanisław. — Janiu upozuj panią Ludwikę.

— Chętnie.

Wprowadziła Ludwikę na estradę i usadowiła ją na fotelu.

— Odsłoń swoje śliczne czołko... Zdejmę ci kapelusik... Rączka tu... oprzej się swobodnie... oczki na lewo... Tak, tak. — Spytała Stasia — Zarzucić gazetę wokoło szyi?

— Proszę... choćby dla zasłonięcia amazonki. — Przygotowując farby na palecie obrócił się ku Jerzemu. — A ty siądź tutaj, na sofie... Nie ruszaj się, bo byś nam przeszkadzał.

— Już Ludwinia upozowana! — Objęła ją długiem spojrzeniem, pełnem zadowolenia. — Prawda, jaka ona urocza, zachwycająca?

— Prawda! — szepnął Jerzy z westchnieniem, które mimowolnie wyrwało mu się z piersi

— Pana o zdanie nie pytam.

— Głowa trochę wyżej... tak. Teraz proszę o chwilę spokoju — komenderował artysta.

— Mnie wolno usiąść na stopniach... To ci Stasieczku nie przeszkadza, nie prawdaż?

— Bynajmniej.

Chwilowa cisza zaległa w atelier.

Każda z tu znajdujących się czterech osób, zadumała się o czem innem, a jednak wszystkich jeden i ten sam przymus krępował i ziębił. Obraz, wytworzony z ich postaci, był ładny i harmonijny, ale gdyby kto nagle myśli ich zamienił w akord dźwięków, zdziwiłby się pewnie dysonansom, któreby zazgrzytały w tym akordzie.

Ludwika pierwsza przerwała milczenie.

— Przyznajcie państwo, że nic nudniejszego, od pozowania do portretu.

— Zdaje się przecie — rzekł Jerzy — że moglibyśmy rozmawiać. Staś jest nieznośny despota. O ile wiem, najwięksi mistrze w Paryżu, pozwalają rozmawiać modelom, należącym do świata.

— Szezebiocz Janiu — powiedział Stanisław, nie przestając malować.

— Dobrze, będę szezebiotać — mówiła trochę zakłopotana Janina. — Chciałabym opowiedzieć coś

zajmującego, coś ciekawego lub zabawnego, ale dość dawno nie wychodziłam na miasto.... Nie wiem, co się w Warszawie dzieje... Zajęta w domu sobą, mojem gospodarstwem....

— Może czytałaś co nowego? — przerwał mąż. Jania klasnęła w dłonie radosnie.

— A tak! — i w sekundę potem smutnie pochyliła główkę — o! nie.... Teraz czytuję Katarzynie „Trzysta sześćdziesiąt pięć obiadów“ i nic więcej.

Uroczą była w swem naiwnem zakłopotaniu.

— Dziś właśnie skończyłem najnowszą powieść utalentowanego francuskiego romansopisarza — mówił Jerzy, uszczęśliwiony z obrotu konwersacyi. — Jeśli panie pozwoli, to treść jej opowiem.

— Prosimy — szepnęła Ludwika.

— Rzecz, ma się rozumieć — ciągnął hrabia dalej — dzieje się we Francyi, ale i u nas przytrafiają się podobne wypadki.

— Więc są w tem i wypadki? — spytała Jania, roztargniona ciągle i dotąd jeszcze zmięszana swoim niepowodzeniem.

— Zaraz to pani zobaczy.

— Słuchamy — rzekła Ludwika, znużona pozowaniem.

— Bohaterami powieści są jak zwykle w życiu i w książkach: mąż, żona i....

— I wąż — przerwał malarz.

— I kochanek — powiedział Jerzy z naciskiem.

— Wąż czyli kochanek, bo to wszystko jedno — odparł spokojnie Stanisław; widać jednak było, że do spokoju się przymusza.

— Nie wiem dlaczego, twierdzisz tak stanowczo. W piśmie świętem nie ma i słowa, aby wąż był kochanekiem Ewy.

— Nie mieszajcie panowie rzeczy świętych z romanssem — poszepnęła adwokatowa — a pan Jerzy niech sam opowiada dalej.

— Mąż żony nie kocha.

— Jak zwykle mężowie — przerwała sama tym razem Ludwika.

— O! przepraszam, mój Stasieczek mnie kocha — zaprotestowała Jania.

— Twój Stasieczek jest wyjątkiem.

— Franio także, kocha ciebie bardzo.

Nastała znowu chwila przykrego dla wszystkich milczenia. Po niejakiem czasie spytał Jerzy:

— Mogę mówić?

— Proszę — odparła Ludwika.

— Powiedziałem: mąż żony nie kocha, zato kochanek wielbi ją, czci, jak bóstwo; życie-by gotów oddać za jedno jej spojrzenie łaskawe, a ona mu tego spojrzenia skąpi.

Głos hrabiego drżał ze wzruszenia. Stanisławowi krew nabiegła do skroni. Chciał powstać, przemówić, ale zapanował nad sobą, nie ruszył się z miejsca, tylko złamał pędzel obu rękami i cisnął go na ziemię. Jania, przerażona zbyt widoczną oznaką niecierpliwości męża, przybiegła do niego. Udając, że się schyla po pędzel, szepnęła mu na ucho:

— Nie zdradz się, mój drogi.

Potem powróciła na stopnie estrady i usiadła przy nogach bratowej.

— Co się panu stało, panie Stanisławie? — spytała Ludwika.

— Nic pani.... Pędzel był niedobry.

Adwokatowa zwróciła się do Jerzego.

— Pańskie opowiadanie mnie zajmuje.... A żona?...

— Nie kocha ani męża, ani kochanka.

— Jak zwykle.

— Zła żona — powiedział Staś poważnie.

— Dlaczego? — spytała Ludwika, trochę dotknięta tonem, jakim artysta wymówił te dwa wyrazy.

— Bo męża nie kocha.

— A jeśli nie jest przez niego kochaną?

— I cóż ztąd?!... Żona powinna zawsze męża kochać.

— Barbarzyńskie prawo.

— Przesąd — dorzucił Jerzy.

Staś nie mógł dłużej wytrzymać — powstał.

— Przestań mości Francuzie....

— Kto z nas dwóch więcej Francuzem?

— Ty.... bo ja z krwi tylko, a ty z przekonań. My tu u siebie, na naszych starych śmieciach, pragniemy utrzymać podobne przesady. — Zwrócił się do Ludwiki. — Zresztą, kto wie czy mąż, chociaż pozornie obojętny, stokroć więcej nie kocha od kochanka, który pragnie wszystko posiadać, nie dając nic w zamian. W mojem przekonaniu miłość musi być poświęceniem, zaparciem się siebie.... inaczej jest szaleństwem lub zbrodnią.

Janina, promieniejąca całą, uchwyciła dłoń męża i ścisnęła ją w swojej serdecznie.

— Tak, tak, mój drogi, mój dobry Stasieczku!

Ludwikę wzruszyły także gorące a proste wyrazy malarza, wolne od wszelkiej cechy moralizatorstwa pospolitego, płynące na usta wprost z jego złotego serca. Zeszła z estrady. I ona podała mu rękę z uczuciem, rzekła jednak smutnie:

— Może pan ma słuszość panie Stanisławie, ale żeby tak mówić i tak wierzyć, trzeba być szczęśliwym w miłości.

— Potrzeba kochać tych, co nas prawdziwie kochają, co z poświęceniem dali nam dowody przywiązania, co pracę życia całego u stóp naszych kładą.

Rozmowa przybierała obrót niepomysłny dla Jerzego. Młody człowiek, przechodzący paroksyzm namiętności gwałtownej — pomimo że zwykle był panem siebie, że umiał ukryć wzruszenie pod chłodną powłoką gentlemana — zaciskał teraz pięście z wściekłością i mruzczał, patrząc gniewnie na Stasia:

— Aposto!... jaki mi aposto!, kaznodzieja!

W takich razach, ludzie do niego podobni, posiadają jednak dziwne szczęście, jeśli to szczęściem nazwać się godzi. Według starego przysłowia: „gdzie dyabeł nie może, tam...”. Jakby przypadek chciał przyznać słuszność przysłowiu, do pracowni weszła Felicja zdyszana, wystrojona, woniejąca, ponętniejsza niż kiedykolwiek.

— Całe zgromadzenie w komplecie — rzekła głosem przerywanym od widocznego zmęczenia — jakże się z tego cieszę. Dzień dobry, dzień dobry. — Podawała z kolei rękę Jani, Ludwice i Stanisławowi. Nagle odwróciła się na prawo do stojącego na uboczu Jerzego. — Co znaczy ta kwaśna mina? Chodźże się hrabia ze mną przywitać.

Oczy Ludwiki spotkały się z wzrokiem kuzyna, który z niezwykłą atencją i przesadną uprzejmością pospieszył na wezwanie bankierowej. Odwróciła się ze wstrętem i oburzeniem. Widocznie Jerzy wyzywał ją do walki, a może chciał wytargować ustępstwa.

Ciągłe — niemal przymusowe — zbliżenie się tych dwóch istot, różnego usposobienia i różnej wartości moralnej, wyrodziło pomiędzy nimi jakąś duchową poufałość, która dotąd nie przeszła granic surowej przyzwyczajoności, nie ujawniła się nawet przekroczeniem naj-

drobniejszych konwenansów, a jednak już obezwładniała wolę Ludwika, czyniąc kobietę młodą, niedoświadczoną i niewinną, zależną do pewnego stopnia od pragnień młodzieńca, znudzonego cierpliwością, więc niehamującego już teraz żądz swoich namiętnych. Nieszczęśliwa, z nudów wciągniona w grę hazardowną przez zakochanego studenta — takim bowiem z początku wydawał się jej kuzynek i takim, pod wpływem pierwszej miłości, był istotnie — walczyć musiała teraz z wytrawnym zdobywcą serc niewieścich, który się znowu w Jerzym przebudził. Samowolna, kapryśna, niczem niezajęta, a nieledwie przez męża popychana w objęcia uwodziciela, znajdowała się w nader niebezpiecznym położeniu i bardzo dziwnym stanie duszy. Sama zaczynała rozumieć, że na tem morzu wzburzonym, po którym płynie w kruchej łodzi, czeka ją rychłe rozbicie.

— Moja Janiu, ta wasza Katarzyna — paplała dalej pani Felicja — to skarb prawdziwy. Wpadam zdyszana na trzecie piętro, jakbym spieszyła na jakie *rendez-vous*... Czuję, że nie będę miała siły zadzwonić... a ta cichutko, dyskretnie, uchyla drzwi przedemną, wprowadza do przedpokoju, zdejmuje futro, w rękę całuje... i jeszcze ciszej wychodzi na schody, kluczem za sobą zamykając zatrask.

— Myślała pewno, że pani przysłała pozować do portretu i że zabawisz czas dłuższy. Wie, że w takich razach rzadko jej potrzebujemy, wyszła więc za sprawunkami na miasto.

Felicja, rzuciła się na jeden z foteli.

— Pozwólcie mi odpocząć. Jestem okropnie zmęczona, upadam prawie ze znużenia. Nie macie państwo wyobrażenia, jak muszę się wykręcać memu mężowi. Od kilku dni zazdrośniejszy niż zwykle... a to wszystko przez tego i dla tego pana. — Pogroziła uśmiechają-

cemu się do niej Jerzemu na nosie. — Gdzie się tylko obróczę, wszędzie spotykam mego Goldenkrantza. Ja tu, i on tu, ja tam, i on tam. Gramy ciągle w kotka i myszkę.

— A konduktory? — spytał hrabia, wyzywajacem spojrzeniem mierząc Ludwikę.

— Pozbyłam się nawet konduktorów, a jego ani sposobu. Wiem, że tu był i dopytywał się o mój portret... Opowiadał mi to w cukierni, gdzie wstąpiłam na czekoladę. Na szczęście, zagadał go jakiś interesant, bogaty kupiec z Berlina... Korzystam z chwili, wymykam się z cukierni cichuteńko, a zobaczywszy przed domem kabriolet pana Jerzego... a! także i karetę białej gołąbki... pędzę po schodach na górę... i jestem.

— Mąż pani zapowiedział nam powtórnią swoją wizytę — powiedział Stanisław.

— Wątpię aby przyszedł. Był raz, to już więcej nie wróci; poszuka mnie gdzieindziej... Zresztą pan się cieszy u niego wielkiem zaufaniem.

— Na które pragnę zasłużyć.

Oczy Jerzego spotkały się znowu z oczami Ludwiki. Tym razem młody człowiek nie wytrzymał jej pogardą przepelnionego wzroku. Zwiesił głowę na piersi, jakby zawstydzony. Nie uszło to uwagi Felicyi.

— No, no... cóż to za czarne myśli hrabiego prześladują? Wypogódź czoło; z uśmiechem panu do twarzy. Byronowskie chmury zostaw tym, co pozować lubią. — Powstała z fotelu. — Mam mnóstwo rzeczy śmiesznych do opowiedzenia. — Wzięła go pod ramię. — Chodź... przejdziemy się razem po tej olbrzymiej pracowni. Cóż znowu?... ledwie pan wlecze nogami. To siadajmy. — Siadła i pociągnęła za sobą na sofę Don-Juana. — Musimy tego brzydkiego marsa rozpedzić.

W chwilę potem cichą dowcipną rozmową zmusiła go do śmiechu.

Ludwika patrzyła na nich kilka minut nieruchomo. Nagle zerwała się z siedzenia.

— Janiu! proszę cię o kapelusz, dziś już pozować nie będę. — Potem szepnęła, jakby do siebie: — Nie mogę znieść tej kokietki!

Jania przyniosła kapelusik i zaczęła ją ubierać. Stanisław spytał:

— Odechodzi pani?... a portret?

— Później... innym razem... Głowa mnie boli, muszę się konno przejechać... Zapowiedziałam w maneużu że przyjdę; czekają na mnie.

Wkładała z pośpiechem gorączkowym rękawiczki.

— Biała gołąbka nas opuszcza? — rzekła Felicya, powstając z sofy.

— Tu tak duszno... Potrzebuję odetchnąć świeżym powietrzem.

Jerzy się do niej zbliżył.

— Pozwoli się pani sprowadzić ze schodów?

— Dziękuję panu — odparła zimno, i dumna udała się w głąb pokoju po szpicrutę swoją, leżącą na dębowym, rzeźbionym stole.

Jerzy wyprzedził ją jednak; chwycił za skórzany, czarny biczyk z złotą gałką i podał Ludwice, a podając szepnął:

— Pozwól mi pani przyjść do ujeżdżalni.

— Nie chcę... Zresztą nie miałabym sumienia pozbawiać pana tak miłego towarzystwa.

Spojrzała znacząco w stronę Felicyi.

— Pozwól... Przyjdę za pół godziny — mówił hrabia pociechu tonem błagalnym.

Ludwika wpatrzyła się w niego pełnemi ognia oczami. Czowała się dotkniętą w swojej dumie kobiecej,

a дума nie bywa dobrym doradcą. Przez jej zaciśnięte zębki — równe jak dwa sznury pereł — prześliznęły się krótkie, sucho i groźnie wymówione wyrazy:

— Nie... zaraz.

Było coś dzikiego i surowego w tym despotycznym rozkazie.

Kochanki czułe, nie w taki sposób naznaczają schadzki — a jednak Jerzy się ucieszył.

— Nie mogę zaraz, ze względu na panią samą.

— Zaraz, albo nigdy.

To powiedziawszy, udała się — już zupełnie gotowa do wyjścia — w stronę, gdzie pozostała gromadka stała ugrupowana. Cieniutkiemi swemi paluszkami ledwie dotknęła ręki pani Felicji; Stanisławowi uścisnęła dłoń po koleżeńsku, niemal po męsku; na czole Jani złożyła pocałunek.

— Bądź zdrowa — szepnęła.

— Jakie ty masz zimne usta.

— Przywidzenie.

— Muszę cię odprowadzić i drzwi ci otworzyć, bo Katarzyna wyszła na miasto, a wiesz, że więcej sług nie mamy.

— Pani pozwoli, ja odprowadzę panią Ludwikę — rzekł Jerzy, chwytając za kapelusz.

— Zostań pan, bardzo proszę — odpowiedziała Jania tonem stanowczym.

Znikły obie w podwojach.

Don-Juan zadumany patrzył za niemi, nie wiedząc co począć. Pragnął uczynić zadość rozkazowi i lękał się zarazem narazić kuzynkę na obmowę.

Felicja uderzyła go z lekka zarekawkiem futrzanym, którym bawiła się od niechcienia, przyglądając się hrabiemu uważnie, z płomieniami w źrenicach.

— A gdybym była zazdrosną!

— Goniłabyś pani za swoim mężem, jak on teraz goni za panią — rzekł Staś z pewnym naciskiem na ostatnie wyrazy.

— Och! nie... nigdy. Powiem panu nawet, że chciałabym mieć dowód jego niewierności, wtedy bowiem mniejbym go się lękała.

— To pani go się boi naprawdę?

— Jakto?... czy pan nie wie, jak u nas łatwo o rozwód?... Nie mam majątku. Goldenkrantz ożenił się ze mną z miłości.

— Tem więcej zasługuje na szacunek.... Pani pewno go szanuje?

Uśmiechnęła się dwuznacznie.

— Szanować i kochać, to dwie różne rzeczy.

— A jednak, jedna bez drugiej obejść się nie może.

— Nawet Paryż pana nie przerobił... zawsze moralista!... To dziwna!... Gdyby pan wiedział, jak odmienna opinia o nim do nas dochodziła! — Złośliwość i gniew malowały się na jej twarzy. — Ale cicho, bo oto żona pańska powraca.

Istotnie w tej chwili wyszła Jania z przedpokoju i zbliżyła się do okna, aby zobaczyć, czy bratowa już wsiadła do karety. Zadowolona z tego, co dostrzegła, zawołała wesoło:

— Ludwinia odjechała do domu.

— Nie do maneżu? — spytał Jerzy.

— Nie... do domu — powtórzyła Jania.

Wiadomość ta zdawała się niecierpliwie hrabiego. Pragnął wymknąć się czempredzej z pracowni, a obawa plotek — zaszkodzić mogących osobie ukochanej — zatrzymywała go jeszcze na miejscu. Dobre instynkta walczyły w jego piersi z samolubną namiętnością.

Miłość zwykła uszlachetniać, a uszlachetniając wprowadzać w podobne walki i wahania, w kolizye żądz, kłójących się z sercem.

Nagle rozległ się odgłos dzwonka w przedpokoju, niecierpliwą widocznie targniętego ręką.

Wszyscy drgnęli.

— To mój mąż — zawołała pani Felicya — jak hrabiego tu zastanie... zginęłam.

— Właśnie pragnę się oddalić.

— Ale nie teraz.... na Boga nie teraz.

— Niech się pani uspokoi.... Zostanę.

— Nie ma drugich schodów? — spytała Felicya Janiny.

— Nie.... nie ma.

Pomieszanie i przerażenie bankierowej było tak szczere, wielkie i nieudane, że Jerzy — jak rycerz prawdziwy — nie ruszył się z miejsca, choćby dla tego, aby jej dodać otuchy; pomimo to jednakże niezadowolone malowało się na jego twarzy. Obracał i miał kapelusz w ręku, ale stał jak wryty. Obawiał się śmieszności więcej od ognia, więcej od wszystkiego, a tu śmieszność zdawała mu się zagrażać. Awantura z Goldenkrantzem!... a toż to będzie się miała czem bawić cała Warszawa!

Felicya latała po pracowni jak szalona.

— Janiu! — wołała — zaczekaj, nie otwieraj drzwi od schodów; musicie mnie wprzód ukryć... Ale gdzie?... ale gdzie?... Do waszego pokoju.... Nie tam gotów wejść, tam wejdzie.

— Co pani robi? co pani chce zrobić? — mówił Stanisław, biegnąc za bankierową.

— O co ci chodzi? — pytała Jania cała drżąca, a nie w stanie pojąć dziwacznej sytuacji.

— Czyż wypada chować się przed mężem! — powtarzał artysta — ależ to nie wypada....

— Nie ma ale — tupiąc nogą gniewnie, krzyknęła Felicya — przed chwilą jeszcze groził mi rozwodem... Chyba pragniecie mnie zgubić! -- Wskazała drzwi za estradą, wiodące do garderoby — Tam, tam mnie zamknijcie... Janiu chodź za mną. — Chwyciła młodą kobietę nieśmiejącą się jej oprzeć za rękę i wbiegła z nią na wzniesienie z desek, pokryte dywanami.

W tej chwili dało się słyszeć nowe, silniejsze dzwonięcie.

— Zasuń Janiu kotary! — zawołała, a kiedy ta automatycznie spełniła polecenie, wychyliła się przez zasunięte firanki. — Panie Stanisławie, za chwilę może pan otworzyć, ale chwilę jeszcze zaczekaj i ani słówka, że tu jestem.

W sekundę potem dał się słyszeć odgłos klucza obracającego się w zamku.

Nastał moment ciszy.

— Szalona! — a to miłe położenie! — szepnął Staś. Przechodząc koło Jerzego, powiedział: — To wszystko przez ciebie. Już to Bogiem a prawda dobrzebyś zrobił, żebyś sobie do Paryża wyjechał.

Hrabia nie miał czasu mu odpowiedzieć, bo Stanisław go minął, wszedł do przedpokoju i wołał niby na Katarzynę, aby otworzyła. Potem udawał, że klucza od zatrzasku znaleźć nie może, że go szuka. Cała ta komedia, szła mu niesporo. Kłamać i oszukiwać nie umiał, nawet na żarty.

Zaledwie drzwi otworzył, ujrzał przed sobą Goldenkrantza, który — jakby na powitanie — zaśmiał się jakoś groźno i nie po swojemu. Przez zdławione gardło przedzierał się ten śmiech, zwykle taki pocieszny,

dobroduszny i komiczny — dziś szydery, ironiczny, pogardliwy.

— To ja... hi, hi, hi... to ja.

Rzucił na Stanisława pełne nienawiści spojrzenie i czerwony, zły, zmęczony, wtoczył się jak bomba do pracowni, gdzie od razu spostrzegł Jerzego.

— A pan hrabia tutaj! jakże mi przyjemnie... Dawno my się nie widzieli. Jak się pan hrabia ma.

— Nieźle, nieźle — odparł Jerzy, zmięszany na chwilę wyrazem twarzy bankiera.

— Ja widzę, co nieźle... hi, hi, hi.

W śmiechu jego, stopniowanem *crescendo*, huczała cała gamma tajonych groźb i wyrzutów. Wobec tego, młody człowiek — z natury odważny — odzyskał dawną krew zimną. Zesztywniał w swojej godności gentlemana i od razu wziął przewagę moralną nad przeciwnikiem.

— Przykro mi, że nie mogę dłużej tu pozostać — rzekł zupełnie spokojnie.

— Pan hrabia chce odchodzić?

— Pilny interes zmusza mnie do wyjścia.

— Niech pan hrabia nie odchodzi... Pogadamy wesoło, pobawimy się, pewno i moja Felcia jest tutaj.

— Nie wiem, gdzie żona pańska znajduje się obecnie — odparł chłodno Jerzy.

— Ja wiem co tu jest... hi, hi, hi... ja wiem.

— Co do mnie, nie mogę pozostać; muszę panów opuścić.

Z politowaniem dumnym spojrział na Stasia, bladego, pełnego żalu i wstydu, upokorzonego sceną niemiłą, w której wszystkie jego sympatye posiadał bankier, a nierozważny krok zalotnej pani Felicji, nietylko że mu zamykał usta, ale nie pozwalał także stanąć

otwarcie z podniesionem śmiało czołem po stronie męża.

— Pan hrabia nie wyjdzie — powiedział Goldenkrantz, rezolutnie głos podnosząc.

Jerzy, pewny siebie, spojrzał mu w oczy surowo i zapytał:

— Dlaczego?

— Dlaczego... dlaczego... — jękał nieszczęśliwy bankier, zbity z tropu pełnem chłodu, dumy i — bądź co bądź — taktu zachowaniem się Don-Juana.

— Widzę, że pan nie wie — dorzucił spokojnie hrabia.

— Chciałbym się przekonać, czy *rendez-vous* się udało... hi, hi, hi.

Stasiowi przykro się zrobiło, że jego druh — człowiek zacny i prawy — coraz więcej traci grunt w tej drażliwej i trudnej sytuacji, chwycił go zatem za ramię i odciągnął na bok

— Panie Goldenkrantz, nie kompromituj żony.

— Ona mnie więcej kompromituje.

— Ależ panie Goldenkrantz!

— Ależ panie Stanisław! — krzyknął zaperzony.

— Nie domyślam się, o co panu chodzić może — rzekł Jerzy poważnie — dość, iż spostrzegam, że pan znajduje się w usposobieniu umysłu, które nie pozwala mi pozostać. Dlatego uznaję za stosowne oddalić się ztąd natychmiast, abyś pan nie potrzebował żałować poniewczasie swojego uniesienia. Bądź zdrow Stasiu.

— Co ja mam żałować?... na co mam żałować?! — Wyrwał się Stanisławowi i postąpił parę kroków naprzód, jakby chciał odchodzącego zatrzymać. — Panie hrabio....

Artysta szarpnął go w tył za poję od paltota ; Jerzy tymczasem do drzwi się zbliżył. Goldenkrantz, pasując się ze Stanisławem, wołał za nim :

— Pan nie chce zostać, panie hrabio... hi, hi, hi.

— Nie — odparł młody człowiek krótko i wyszedł.

— On uciekł... wymknął się bez żadnej dla mnie satysfakcyi ... Puść pan panie Stanisław.

Staś puścił go nareszcie.

Goldenkrantz skrzyżował ręce na piersiach, zmierzzył malarza wzrokiem pogardliwym i rzekł tonem gorzkiego wyrzutu :

— Pan moim przyjacielem, pan się nazywa uczciwy człowiek, pan pozwala, żeby się oni tu schodzili na *rendez - vous*... a ja nie chciałem wierzyć co o panu mówili, ja pańskiego honoru broniłem.

Staś zwiesił głowę na piersi ; — nie wiedział co odpowiedzieć.

— Ale ona tu jest, ja wiem, co ona jest ! — krzyknął bankier — ja muszę ją wyszukać.

Wybiegł do sypialnego pokoju.

Artysta otarł z czoła pot gorący. Czuł się znużony, smutkiem przejęty do głębi, zawstydzony, chociaż niewinny.

— Nie ma tam... nie ma... — wołał powracający bankier. — Gbyby ten dyabelski hrabia nie uciekł, gdyby go pan nie wypuścił, to chociaż kiedy do mnie gada, to mi się język w trąbkę zwija i jak w pantoflach chodzi, to przecież byłbym miał doskonały dowód niewierności... Hi, hi, hi... — Zawodził jękliwie, kołysząc głową to w prawo, to w lewo. — Dowód doskonały, doskonały, doskonały!... Pan zepsuł mi przyczynę do rozwodu... Zamówiłem Bolek i Julek, aby tu przyszli na świadków, ale i oni mnie zdradzili, te konduktory

do niczego.... Ja stracił dowód, przez pana nie ma
teraz dowód... No! ja panu każę przysiąc; pan be-
dziesz musiał przysięgać! — Przyskoczył nagle do Sta-
niśława. — Gdzie ją pan schował?

— Panie Goldenkrantz, uspokój się.... pani Fel-
cyi tu nie ma.

— Jak nie ma! kiedy stróż widział na własne
parę oczów, jak wchodziła.

— Mógł się pomylić, wziąć kogo innego za pań-
ską żonę.

— Czy jest taka druga kobieta, jak moja Felcia,
z takie oko czarne, duże jak talary!... Hi, hi, hi...
Powiedział: zielony suknia, czarne aksamitne okrycie
z zielonym... tfu! nie... z niebieskim lisem; duża ko-
smaty kapelusz na głowie... a na nim, na wierzchu
taki czerwony puf... Takiego czerwonego puf, nie ma
nikt w całej Warszawie. Ja jej go umyślnie z Paryża
sprowadził.

-- Tam do dyabła! — mruknął malarz po cichu.

— A widzi pan Stanisław... hi, hi, hi... ona
tu jest. Powiedz, gdzie się schowała? —

Staś milczał.

— Nie chce pan powiedzieć, to ja sam znajdę. —
Uderzył się dłonią w czoło. — Musi być w kuchni! —
i wybiegł do przedpokoju.

— Co tu począć, co tu począć! — szeptał artysta,
coraz bardziej rozdrażniony i upokorzony w własnych
oczach.

— I w kuchni nie ma! — rzekł Goldenkrantz,
już z powrotem. Zatrzymał się przy drzwiach chwilę,
jakby się namyślał. — No, ja głupi, a toż to ona tam
być musi! — Wskazał na zastoniętą kotarami estradę,
potaczając się ku niej w całym pędzie.

Staś zagroził mu drogę.

— Tam panie Goldenkrantz wejść nie można, tam moja żona ...

— Ja muszę....

— Ale proszę pana.

— I ja pana także proszę... hi, hi, hi.

Smiał się nerwowo, szamocząc się z naszym bohaterem, którego ten śmiech dziwny przerażał i męczył.

— Nie podobna... wpuścić cię tam nie mogę.

— Widzisz panie Stanisław, widzisz... to taka przyjaźń, taka wdzięczność....

— Poczekaj... daj mi odpocząć, odetchnąć... Powiem ci całą prawdę... wymagam tylko słowa, że się uspokoisz....

— Co za słowo!... żadne słowo... ja słowa wcale nie dam, ..

— Upamiętaj się, panie Goldenkrantz.

— Ja się nie upamiętam.... ja nie chcę się upamiętać!

W tej chwili kotary baldachimu, poruszone z wewnątrz, rozsunęły się na obie strony, a na estradzie ukazała się Jania, ubrana w suknię, okrycie i kapelusz Felicji.

— Co znaczy ten hałas? — pytała głosem drżącym. — Stasieczku! panie Goldenkrantz! co się wam stało? o co chodzi?

Bankier spostrzegłszy Janinę, stanął osłupiały.

— Co to jest?... pani! pani!

Stanisław, uwolniony nagle z rąk szamoczącego się z nim Goldenkrantza, zwrócił się także twarzą ku estradzie. Domyślił się podstępu, ale niepewny, czy żona słyszała dobrze całą ich rozmowę, zaczął mówić szybko:

— Stróż kamieniczny powiedział panu, że jego żona tu się znajduje.... chciał zatem....

Otarł chustką czoło.

— Stróż!... nie dziwnego. Wziął mnie za panią Felicyę... Widział jak wchodziłam w jej ubraniu, które pożyczyłam, aby kazać zrobić sobie podobne.. Czekałam właśnie na Katarzynę, aby się rozebrać — recytowała jak nauczoną lekcję.

W tem silne targnięcie wstrząsnęło dzwonkiem w przedpokoju. Jania roznerwowana, drgnęła cała.

— Stasieczku! pójdź drzwi otworzyć — rzekła — jacyś nowi goście!

Staś wybiegł prędko, licząc na to, iż ukazanie się osób obcych, z natury rzeczy wytworzy dywersję i skróci przykrą niezmiernie scenę.

Goldenkrantz osłupiała, niemy, z podziwem patrzył czas jakiś na Janię. Może... przebranie nie było dlań dostatecznem wyjaśnieniem tajemnicy, pomimo to jednakże raptem ochłódl. Zrozumiał, że posunął się za daleko i bez celu, że postąpił bez taktu, niedelikatnie, po grubjańsku, chciał zatem złe choć w części naprawić, urazę zaś i pogardę ukrył w głębi serca.

— O! ja głupi!... Przepraszam... hi, hi, hi... po tysiąc razy przepraszam... ja myślał...

— Pewnie coś złego myślałeś, panie Goldenkrantz. Czy panu nie wstyd?

— Ja się wstydzę... Ale bo widzi pani, tak mi się w głowie pomięszało ... hi, hi, hi ... bo to moja Felcia... i ten hrabia... i kapelusz, i czerwony puf... i anonim... i dawne plotki, co przychodziły z Paryża... i stróż... i Bolek i Julek...

Staś wszedł do pracowni z Bolesławem i Juliuszem.

— Otóż i oni... świadkowie. — Wziął bankiera za rękę. — Czy to nie brzydko żonę posądzać, samemu sobie sprawiać zmartwienie?

Julek deklamował patetycznie:

— O! srogi Ottello! czarny potworze zazdrości, przywdzisz podejrzeniami najczystsze anioła, jaki błędzi między śmiertelnymi po tym padole płaczu.

— Ech! anioła — skrzywił się Goldenkrantz mimowolnie — hi, hi, hi... najczystsze anioła?

— Naturalistycznie, z realnego punktu widzenia biorąc rzeczy — prawil z drugiej strony Bolek — rzecz sama niby mała, a jednak wstyd wielki.

— Ja wiem co wstyd... ale wam czy nie wstyd?... Czego was tu nie było? — Splunął na stronie ze złością — Tfu! takie konduktory! — Wyciągnął dłoń do Janiny — Przepraszam panią i rachuję na sekret — Obrócił się do artysty — Panie Stanisław przepraszam, com się tak nagniewał.

— O! z serca przebaczam, zwłaszcza jeśli się pan poprawi.... Podobne irytacje szkodzą... należy ich unikać!

Goldenkrantz nie mógł pokryć wstrętu, jaki widok Stasia w nim budził; obejrzał się za Juliuszem i Bolesławem, uderzył łokciem w bok jednego i drugiego, mówiąc do nich ze źle tajonem rozdrażnieniem:

— No! czego tak stoicie, jak wypisani?... chciałem powiedzieć... jak malowani. Chodźmy ztąd, nie przeszkadzajmy... — Ukłonił się Janinie i Stanisławowi — Hi, hi, hi... moje padam do nóg państwu.

— Do widzenia Sanzio!

— Do widzenia Manecie!

Kłaniając się i popychając wzajemnie, wszyscy trzej razem wyszli z pracowni.

Janina zbiegła z estrady i cała drżąca jeszcze rzuciła się mężowi na piersi.

— Ach! Stasieczku, jak mi serce bije z przestachu.

Artysta przytulił ją do siebie i pocałował w czoło.

— Moje biedne dziecko!... To ona — spojrzaj na drzwi od garderoby — namówiła cię do tego przebrania.

— Ona.

— Mieć będziemy w nich teraz zaciętych wrogów, chociaż Bóg widzi, jesteśmy niewinni

— Jako?... w obojgu?

— W obojgu.

I tym razem Staś się nie mylił.

XXIII.

B i e d a.

Chwilowe powodzenie — jakie Staś zawdzięczał przeważnie pięknie i wspaniale urządzonej pracowni — przeminęło szybko, jak pogoda babiego lata, która krótko świeci, a prawie nigdy nie grzeje.

Bohater nasz, w szerszych kołach współobywateli, budził naprzód interes przygodami życia, niezupełnie powszednimi i dziwacznymi plotkami, które o nim krążyły; następnie nagłą ruiną finansową, bo przyczyny utraty majątku mało komu były znane; wreszcie pewną niepodległością przekonań i otwartą opozycją przeciw małym i większym nikczemnościom ustroju towarzyskiego, ujawnioną wprawdzie momentalnie ale silnie, więcej z rozdrażnienia nerwowego niż z wiary, aby opozycja ta na coś się przydać mogła.

Bierna, szlachetna i dobra do gruntu natura Stanisława, chociaż się oburzała, umiała *à la longue* wszystko znieść cierpliwie, z ufnością, że prędzej czy później cnota i sprawiedliwość zwyciężą. Pierwszych rozczarowań dzieciństwa prawie nie rozumiał. Tych, co go dotknęły w młodości, niemal nie odczuł; — nawet chorobę wymarzonych i zmysłowych zawodów

przebył niezmiernie szybko, więc dziś dopiero — dojrzały fizycznie i moralnie, ale sercem nieustannie młody — musiał walczyć ze zwątpieniem, lecz do walki znalazł sukursw Jani. dopełniającej go przedziwnie.

Istota duchowa jednostki społecznej, mało kiedy zajmuje ogół naprawdę. Masa zbiorowa ocenia człowieka tak jak go okoliczności przedstawiają, sądząc o nim tylko po rezultatach działalności lub po warunkach jego położenia towarzyskiego.

Stasia — oprócz żony — nikt nie znał takim jakim my go znamy, — pomimo, że blisko rok cały, był *en vogue* jak twierdził Franciszek. Ta *vogue* prędko urosła i jeszcze prędej zniknęła. Z początku, każdy, czyniąc zadość modzie, pragnął zwiedzić jego *atelier* aby zobaczyć coś niezwykłego, cuda z „Tysiąca i jednej nocy“, przepych wschodni i wytworność układu paryską. Niejeden wyszedł zawiedziony, chociaż do tego się nie przyznawał. Oglądano robotę tapicerską, nierozumiano myśli artystycznej. Po pewnym przeciągu czasu pracownia przestała nęcić znawców i profanów, a malarz w oczach Warszawian, „spowszedniał“ zupełnie. Uwagę publiczną zaczęły pochłaniać produkcye bardzo zgrabnego *clowna* tresującego gęsi w cyrku, posiedzenia hipnotyczne słynnego magnetyzera, jakiś skandalik familijny, nowa sztuka francuska w teatrze, występ znakomitej śpiewaczki włoskiej i tysiąc lżejszych i poważniejszych atrakcyj, będących nowością, więc ciągnących ku sobie tłumy.

Im mniej zajmowano się Stasiem w znaczeniu dodatniem, im mniej poszukiwano jego obrazów — zwłaszcza dobrych — tem niesprawiedliwiej sądzono i potępiano człowieka, tem surowiej krytykowano artystę, nieschlebiającego zepsutemu smakowi bieżącej chwili. Utworom jego odmawiano wszelkich znamion

talentu. Ci, co się najmniej znali na sztuce i niedawno jeszcze okrzykiwali go geniuszem, dziś zrzucali półboga z piedestału, nurzając go w błocie. O zamawianiu portretów już nawet mowy nie było, a drobne rodzajowe kompozycje, kupował Pittorini niemal z łaski, i to nie dla lubowników miejscowych, lecz dla handlarzy zagranicznych, mało troszczących się o opinię Warszawy, ale płacących tanio, ze względu na hiperprodukcję dzieł artystycznych u siebie.

Nietylko Urban mścił się za obrazę, ogadując dawnego kolegę, ale niemal wszyscy — jakby się zmówili — powtarzali i szerzyli czernidła, rzucane przez „pośrednika“ na Stanisława. Bolek i Julek szarpali go bezmyślnie — ot! tak, bez przyczyny — aby się nie wyróżniać z pośród gromady, nie bowiem złośliwszego od głupich. Goldenkrantz, wprawdzie nie obmawiał — bo był na to za uczciwy i za szlachetny — ale przestał bronić i żywił niechęć widoczną. Pani Felicya — w oczach której Staś i Jania byli tylko intrygantami, tolerującymi amory Ludwika z hrabią — ile razy mogła, przypinała im czarne łatki; nigdy jednak w obecności męża, który gniewał się, kiedy coś podobnego słyszał, zwłaszcza, że pozorną nienawiść magnifiki do malarza uważał za udanie, za zręcznie odgrywaną komedję. Wierzył, że Jerzy kocha się w Feli, że Fela kocha Jerzego, a Stanisław okrył te zdrożne miłości ohydny płaszczem swojej protekcyi. Dzięki okropnemu rozbiciu, jakie dzieli i jątrzy nasze społeczeństwo — w gruncie rzeczy stokroć lepsze od wielu innych — ludzie, nawet dobrzy i przyzwoici, posądzali o podobne szkarady człowieka dobrego i przyzwoitego, którego niedawno jeszcze na rękach noszono, wychwalano, zwano „złotem sercem“. Nic dziwnego zatem, że błękitny horyzont miłości i szczęścia sympatycznej pary, zachmu-

rzał się coraz bardziej. Otaczali ją wrogowie jawni i skrycie nieprzychylni, a brak środków materialnych nie dozwalał bronić się skutecznie. Ostatnich parę tysięcy, jakie Franciszek z mozołem wydobył z wątpliwych wierzytelności, rozeszły się na bieżące wydatki. Młodemu małżeństwu, lada chwila groziła bieda i nędza.

Prysłowie mówi: „na kogo Bóg, na tego i ludzie“. My byśmy wyraz mądrości ludowej zmienili nieco. Powiedzielibyśmy: na kogo bieda, na tego ludzie. Dziwna rzecz istotnie, jaką siłę odpychania posiada nieszczęście. Każdy lęka się cudzej niedoli jak epidemii, jak czegoś co się udziela niby zaraza, co poniża, a nawet brudzi. Bieda, tylko w pierwszej chwili kiedy wali jak piorun, kiedy łamie i gruchocze, wydaje się piękną i efektowną. Wtedy prawie zawsze wytwarza widzów ciekawych, czasem współczujących, nieraz nawet panegierystów. Ale ciekawość, współczucie i uwielbienie trwa nader krótko. Gdy już wszyscy narozczulają się dostatecznie, jak w teatrze na dramacie, gdy oklaskami obsypią sytuację dla aktorów bolesną, przychodzi zubożenie, — obojętność zaś, trwająca czas pewien, przeradza się w obrzydzenie i wstręt nieprzyzwyczajony. Mniej temu winna słaba i zmienna natura ludzka niż hasła dzisiejsze, szerzące zdziwienie i egoizm pod pokrywką humanitarności. Dopóki proste i ogółowi przystępne miłosierdzie chrześcijańskie obowiązywało wszystkich bez wyjątku, więcej było braterstwa rzeczywistego niż teraz, kiedy zrobiono zeń sztandar... lecz bez chorążego. Dla tego też „braterstwo“ stało się tylko godłem dekoracyjnym, dobrem chyba do przyozdabiania nazwą swoją murów i pomników, a nie do ożywiania serc bratnią miłością.

Oprócz wstrętu do biedy, oddalało także wielu ludzi od naszego bohatera służalstwo, jedna z wad tra-

cyjonalnych, tylko udoskonalona i przekształcona trochę przez postęp i cywilizację, w istocie jednak tak jak przed laty, nosząca na dłoni ślady kurzu otartego z „pańskiej klamki“ Mniejsza, że dziś klamka częściej bywa złoconą niż zdobną w herby, zawsze to wszakże ta sama rączka mosiężna, którą niecierpliwi i próżni otwierają drzwi boczne, wiodące do sfery nieswojej, niewłasnej, w ich mniemaniu wyższej, jaśniejszej, doskonalszej. Niemogąc dzielić losu wybranych, wchodzących tam śmiało i dumnie po marmurowych stopniach zasługi lub wznoszących się na skrzydłach geniuszu, wciskają się w charakterze lokai. Dotąd tradycyjny ich typ nie zmienił się wcale. Tytuł; majątek, znaczenie, stanowisko, czasem nawet talent drugich — ten najrzadziej — budzi w nich chęć zaszycia się w barwy cudze. Przywdziewają więc liberyę, a chociaż na jej guzikach mniej koron niż dawniej, zawsze świecą się cyfry pańskie, świadczące o niewolnictwie.

Wszyscy dobrowolni służalcy tych — którzy z tego lub innego powodu nie lubili Stasia — żeby się przypodobać swoim panom, rzucali na artystę kosztami pełnemi śmieci. Ma się rozumieć, cała ta robota odbywała się z za węgła lub z okien piętr górnych; — dość jednak, że malarz chodził obsypany nieczystością, a winnego ani sposób było wynaleść. Lokaj spociał, pan się uśmieł, a biedak cierpiał... i rzecz skończona. „Wszystko w porządku“ — jak mówi Fredrowska panna Figaszewska.

Staś, przygnębiony stratami materyalnemi, rozczarowania moralne znosił ze smutkiem lecz z mniejszą niż niegdyś goryczą, przy boku jego bowiem stała Jania, miłością swoją wielką i czułą gojąca rany, podnosząca ducha, dodająca odwagi. Nigdy w życiu więcej nie cierpiał, a jednakże to cierpienie nie tyle go jątrzyło i drażniło, co w pierwszych dniach majątkowego

upadku. Już nie poddanie się przyrodzone i bierne sile wyższej, ale rozumna, dojrzała pobłażliwość dla ułomności łączkich cechowała sąd jego o bliźnich i ich sprawach. Zamykał się coraz bardziej w zaciszu domowego życia, na zewnątrz gotów jednak nieść pomoc nieszczęśliwyszemu od siebie. Nieraz oddawał przysługi tym nawet, którzy się za szczęśliwych i zadowolonych uważali, a oddawał je w sposób cichy, wolny od wszelkiego rozgłosu, potajemnie, tak że tego nikt domyśleć się nie był w stanie. Tu bronił opinii człowieka niesłusznie potępionego, tam radą zdrową prostował drogi przed lekkomyślnym młodzieńcem, tu współczuciem serdecznym słodził dolegliwości chorego, tam resztkami stosunków starał się o miejsce dla pozbawionego zajęcia sługi lub wyrobnika. Lekcyami — których niestety miał bardzo niewiele — z biedą utrzymywał siebie i żonę. Lekcyje te zbliżały go do świata, odpychającego artystę jak paryę, jak wyrzutka. Przyjmował każdą pracę mniej lub więcej wchodzącą w zakres jego specjalności. Restaurował stare obrazy, rysował do pism illustrowanych, kreślił tanie kredkowe portrety na zamówienie, wykonywał kwiaty i monogramy na porcelanie, malował nawet szyldy. Niejednemu rękodzielnikowi albo handlarzowi, na myśl pewno nawet nie przychodziło, że tablice, które zawieszał codziennie na drzwiach swego małego, oddalonego od środka miasta sklepiku, posiadają wartość artystyczną. Żadnej pracy się nie wstydził, żadną nie pogardzał, nie tylko dlatego, że każdą zdobywał teraz z niezmierną trudnością, lecz że w każdej znajdował środki zaspokojenia codziennych potrzeb najdroższej swojej Jani, coraz bardziej przezeń kochanej, całą pełnią prawdziwej miłości.

Przytem wszystkiem malował dużą kompozycję, do której pomysłem natchnął go Goldenkrantz. Malował

zapałem i wiarą, chociaż zbyt często ani fizycznie ani umysłowo nie był usposobiony do twórczości. Przymuszał się, walczył z organizmem, aby go poddać woli, bo czasu, przy kłopotach i źle opłacanych a mozolnych zajęciach, miał ciągle niewiele. Oceniał zdolności swoje należycie. Wiedział, że nie było mu danem być orłem, szybującym wysoko, tam gdzie sięgają szczyty areydział. Mimo rzeczywistej, nieudawanej skromności, czuł jednak, że jest prawdziwym artystą, jednym z tych, którzy na utworach — choćby małych — wyciskają piętno talentu i zamiłowania do sztuki, w których ręku przedmioty drobne — jak kamienie pośledniejsze, udatnie oszlifowane — nabierają dyamentowych blasków; zwłaszcza, że blaski te podnosi i uwydatnia wykwintna oprawa artystycznego klejnotu. Dlatego nie rzucił się na wielkie lub klasyczne traktowanie podjętego zadania, lecz nadał mu charakter rodzajowy. Znał z podróży swej po Italii „Fortunę“ Michała-Anioła w galeryi pałacu Pitti, więc unikał wszelkiego, chociażby tylko pozornego zbliżenia do dzieła mistrza-Tytana. W mniemaniu jego, malując dziś temat, który należy do wszystkich epok i wszystkich narodów, należało go skomponować nowocześnie, na tle chwili bieżącej, nadać mu układem i wyrazem rysy ducha ostatniej doby, otoczyć główną postać mnóstwem szczegółów dramatycznych a prawdziwych, mnóstwem postaci realnie odtworzonych, a pomimo to — ilustrując aktualność — nie fotografować jej, pomijając cechy estetycznego, nieśmiertelnego piękna, bo to — nie bacząc na wszystkie zmiany jakie zaszły w wyobrażeniach — było, jest i będzie głównym urokiem i atrakcją każdego utworu sztuki.

Tej pozornej dwulicowości jego maniery — w istocie rzeczy jednolitej i płynącej z głębokiego przekonania — przebaczyć mu nie mogli wszyscy bazgracze,

cieszący się uliczną popularnością i wszyscy powierzchowni recenzenci. To był punkt wyjścia, z którego prowadzili przeciw niemu złośliwą i zaciętą kampanię, obalamującą opinię większości, która niemal zawsze, nie rządząc się własnym zdaniem, potrzebuje koniecznie do uznania artysty drukowanych zapewnień i szumnej reklamy. Nie brakło jednak wśród publiczności i krytyków - znawców, wykształconych, ze smakiem wykwiutnym, którzy talentu jego nie lekceważyli, chociaż milezeli uparcie, a ogół nawet — ten ogół lubiący powtarzać to, co wyczytał w gazecie — pomimo, że nie kupował obrazków Stasia, ile razy były wystawione, spieszył je oglądać z ciekawością.

Biedak, przyjaciół nie miał prawie wcale.

Jedna Ludwika może okazywała mu najwięcej przychylności. Natura kapryśna, ale wyższa i wybrana, oceniała Stanisława należycie i jako artystę i jako człowieka. Zachwycała ją w nim przedewszystkiem miłość malarza dla Jani, miłość nacechowana męską godnością, duchowa i czysta, a jednak pełna ujmujących dowodów niewieściej tkiwości. Staś, chociaż mąż, był zarazem i kochankiem. W dozgonnej towarzysze wędrówki życiowej widział, nietylko współniczkę doli i niedoli, kolegę, powiernika i panią domu, ale zarazem istotę, darzącą go ciągłą rozkoszą, której za rozkosz tę należy się wdzięczność nieustanna.

Franciszek, sympatyą żony dla szwagra — sympatyą zupełnie siostrzaną — spostrzegł odrazu, pomimo swych zajęć absorbujących i interesów. Nie stawiał jej tamy, należał bowiem do ludzi namyślających się długo i powoli w sprawach moralnego znaczenia, do badających je z trudnością i nierozumiejących dostatecznie, chociaż — popędliwy, zarozumiały i gwałtowny z natury — kiedy czuł się drażniony, wychodził łatwo

szucznie wyrobionego panowania nad sobą, wydał o nich namiętne i apodyktyczne wyroki, wybuchał, tracąc flegmę i równowagę. Dotąd jednak dość obojętnie zachowywał się względem życzliwości Ludwiki dla Stasia, pomimo że mu się wcale nie podobała, że go trochę drażniła i tem więcej odpychała od „lekkoducha“, lekceważonego zawsze, dziś zaś bardziej niż kiedykolwiek. Wierzył i ufał „swojej Ludwini“ jak świętej, a pomimo to chwilami doznawał zazdrości, widząc ją Stanisławowi przychylną a Stanisława szczerze jej oddanego. Błyszczącego i jawnie kurtyzującego ją kuzyna nie posądzał nigdy. Na myśl mu nie przyszło lękać się Jerzego albo go podejrzyc — a niekiedy, gotów był przysiąc, że malarz kocha się w jego żonie a nie w Jani.

Bohater nasz i Jania nie odgadywali, jak dziwną zawisć tai adwokat w swoim łonie. Kochali go bardzo — po dawnemu. Przez nadmiar delikatności nie zwierzali się — tak przed nim, jak przed bratową — ze swoich kłopotów i biedy. Zbyt dumni byli i zbyt bezinteresowni, aby korzystać z życzliwości Ludwiki i przez nią starać się o pomoc Franciszka.

Ludwika, i oprócz niej Katarzyna, stara służąca — często niezapłacona a jednak całą duszą przywiązana do „dobrych państwa“ — oraz Michał, ex-soldat, umieszczony dzięki staraniom Stanisława jako woźny w muzeum Pittoriniego, stanowili szczupłe grono prawdziwych przyjaciół. Po za nimi, świat cały był dla nich wrogo usposobiony albo obojętny.

Bieda coraz srożej dawała się we znaki kochającej się parze.

Na nic się nie zdały groszowe oszczędności Jani, jej bezwzględne poświęcenie się gospodarstwu domowemu, zrzeczenie się wszelkiej kobiecej miłości wła-

snej — (przestała nawet dbać o swoje rączki i o twarzyczkę wolną od śladów ospy, gładką i śliczną jak dawniej) — nędza bowiem drzwiami i oknami zaglądała do mieszkania. Stanisław z dniem każdym tracił lekcyje, a najlichsze i najtańsze zamówienia omijały go i stawały się w ręce niesumiennych i nieudolnych parataczy. Trzeba było uciec się do fantowania. Przedmioty złote i srebrne, posiadające oprócz artystycznej i realną wartość, pierwsze poszły na zastaw do lombardu. Znakomite dzieła sztuki i zabytki archeologiczne, nieoszacowane należycie, marnowane z konieczności dla kawałka powszedniego chleba, sprzedawały się za bezcen. Cały proces upadku odbywał się powoli — że się tak wyrazimy — kapaniną. Gdyby mieli odwagę sprzedać wszystko naraz i opuścić Warszawę, kto wie, czy nie uniknęliby smutnej ostateczności, lecz tak Stanisław jak i Jania łudzili się ciągle pomyślniejszym obrotem interesów. Zdawało się im, że poświęciwszy jeden obraz, jedną zbroję lub emalię, zdołają przez czas jakiś opędzić gwałtowniejsze potrzeby lub zapłacić pierwszy lepszy dług krzyczący, potem zaś powodzenie zajaśnieje i resztę da się uratować. Prózne złudzenia. Złe pogorszało się z każdą chwilą, coraz trudniej było o zarobek, coraz gęstsze chmury gromadziły się nad głowami nieszczęśliwych, a ani jeden złoty promyczek nie przebił ciemnego nieboskłonu. Pracownia, niedawno jeszcze bogata i piękna, wypróżniała się i ubożała.

Jani żal było bardzo rozpraszających się skarbów, wiedziała bowiem, jak Staś je cenił i lubił. Stanisław zaś — pogodzony z losem — jeśli żałował, to z innego powodu. W jego przekonaniu kolekcya obrazów, rzeźb i pamiątek, stanowiła mająteczek jego żony. W testamencie, potajemnie skreślonym i złożonym u rejenta, zapisał Jani wszystko, co tylko do zbioru należało, pe-

na nadziei, że umrze pierwszy i tym sposobem, chociaż w części, zabezpieczy przyszłość ukochanej. Teraz z boleścią spostrzegł, że i w tym względzie zawiodły go nadzieje. Czuł się przybity, zgnębiony, ale przejęty potrzebą walczenia ze złą dolą, malował energicznie i wytrwale swoją „Fortunę“, bliską już ukończenia. Mniemał, że sprzedawszy najnowszy swój obraz — choćby jako tako — potrafi wyjechać zagranicę i w przychylniejszem sobie otoczeniu, zacznie budować powtórnie od fundamentu; zacznie dobijać się sławy i zasobów materyalnych, których więcej nie roztrwoni. Pojmował teraz, że strata majątku, dlatego głównie jest przykrą, że nietylko nam, ale i innym — często najdroższym — szkodę przynosi.

W sprzedaży cennych rupieci pośredniczył głównie Szmul, obławiający się przy każdym tego rodzaju „geszefcie“ brał bowiem sute honorarium za swoje pośrednie usługi. Nabywał zaś niemal wszystko Urban, nie w celu zatrzymania dla siebie, lecz aby spieniężać następnie ze znacznym zyskiem w Petersburgu i zagranicą. Rujnował malarza materyalnie i moralnie. Podkopywał oszczerstwami reputację człowieka, a wyzyskiwał artystę. Zacierając ręce, cieszył się, iż podwójny zysk ciągnie z kasztanów, jakie łapami Eichelesa wyjmował z ognia. Zdawało mu się jednak — kiedy już w pracowni zabrakło przedmiotów większej wartości — że za mało uczynił dla zadowolenia swej nienawiści; zapragnął zniweczyć szczęście domowe Stasia. Zасыpywał Janię anonimami oczerniającemi męża, nasyłał złotą i pozłacaną młodzież tam, gdzie tylko można ją było spotkać samą, stawiał zasadzki, wytwarzał pokusy, myślał bowiem, że cnota, przez nędzę obłączona, musi kapitulować. Wszystko jednak nadaremnie. Pociski oszczercze rozbijały się o przywiązanie i ufność Jani

jak o pancierz stalowy, a fortele nikczemne niweczyła jej niewinność anielska, z pogardą i wstrętem odwracająca się od zepsucia. Widząc, że temi drogami celu nie osiągnie, układał nowe i bardziej skomplikowane plany, przy których zemsta jego, obejmując całe bliskie kółeczko Stanisława, zapewnić mu miała zwycięstwo. Znał go dobrze i rozumiał, że godząc w kochane osoby, najżywiej go dotknie i najprędzej doprowadzi do rozpaczy.

Dotąd Staś znosił niedolę z wielkim męstwem. Jakby na złość Urbanowi oko jego jaśniało pogodą, czoło błyszczało dumą i spokojem wewnętrznym. Martwiąc się w głębi duszy upadkiem majątkowym, pozbawiającym Janię wygod i rozrywek, kłopotząc się codzień o niepewne jutro, zasmucony potwarzą, która oddalała od niego ludzi uczciwych, niepokojący się o ojca, od którego nie otrzymywał wcale wiadomości, stał twardo przy swoim, nie poniżył się, nie ugiął karku, tylko pracował z zapalem, tworząc dzieło niepoślednie, oryginalne, pełne ducha i właściwej sobie rozwagi.

Ukończenie k... pozycyi obchodzili Staś i Jania — w biednej, opustoszałej, odartej z ozdób pracowni — jak uroczystość prawdziwą. On natchnął ją swoim zaufaniem i wiarą; ona — dopełniająca go duchowo — zgadzała się z nim bezwzględnie, bo tak myśli ich jak i uczucia biegły zawsze jednym i tym samym torem, zawsze ściśle połączone, zawsze jednakie.

Czego się to nie spodziewano po dużym obrazie, w złotych ramach — wziętych na kredyt od Pittoriniego — po obrazie, stojącym na staludze w pośrodku atelier?!

Ba!... nic dziwnego; wszakże to była „Fortuna!“

XXIV.

Zemsta Urbana.

Nazajutrz rano, Staś z całą ostrożnością wsadził do dorożki „Fortunę“ — osłonioną starannie prześcieradłami — i razem z nią pojechał do muzeum.

Michał, wczoraj już uprzedzony, oczekiwał na „swego panicza“ z niecierpliwością. Skoro go tylko zobaczył przez okno, zbiegł szybko na ulicę i razem ze Stanisławem wniósł obraz na pierwsze piętro. Od czasu, w którym zapoznaliśmy się z poczciwym żołnierzem, nie zmienił się prawie wcale; posiwiał tylko trochę i brodę zapuścił. Trzymał się prosto, sztywnie, wyciągnięty jak struna, po wojskowemu.

Woźny i malarz przeszli pokoik ciemny, w którym za stolikiem — oświetlona lampką przybitą do muru — siedziała kasyerka, kobieta w dojrzałym wieku, sprzedająca bilety i katalogi. Potem minęli dużą izbę, napełnioną najprzeróżniejszymi okazami najodleglejszej starożytności, wieków średnich i epoki nowoczesnej. Wreszcie znaleźli się w prostokątym, niewielkim salonie, urządzonym ze smakiem, przyozdobionym kwiatami i zielenią, na ścianach którego wisiały malowidła, a pod ścianami, na kolumnach drewnianych, pomalo-

wanych na kamień, stały rzeźby. O ile pierwszy pokój był dziwaczną mieszaniną gratów bez najmniejszej wartości, ochrzczonych szumnemi nazwami pełnemi fantazyi i blagi, o tyle druga komnata nęciła oko szczęśliwym doborem płócien artystycznych, marmurowych biustów i grup z wypalanej gliny.

— Jest dyrektor? — spytał Staś Michała.

Pittorini kazał się zwać „dyrektorem muzeum“ i dbał wielce o ten tytuł.

— Jest, ale spi... Późno powrócił. Prosił, żebyście sami paniczu zawiesili swoje malowanie, gdzie się wam żywnie podoba. Możecie usunąć inne obrazy jak wam „ugodnie“.

— A nie będziemy przeszkadzać publiczności zwiedzającej galeryę?

— Et! proszę łaski panicza, teraz jeszcze nie ma nikogo, a i nie prędko kto nadejdzie.

No, — kiedy tak, to weźmy się do roboty.

Michał wyszedł na chwilę, aby przynieść: młot, hak, sznur i drabinę.

— Mamy wszystko co trzeba — rzekł po powrocie.

Staś wybrał miejsce z światłem odpowiedniem, wspiął się po szczeblach, wbił hak w ścianę i przy pomocy ex-soldata zawiesił „Fortunę“. Okazało się, że sznur za krótki, a ztąd część górna kompozycyi — jakkolwiek dobrze i właściwie pochylona ku oknom — tonie jeszcze w nadmiarze cieniów.

— Niech jednak tak zostanie — powiedział artysta złącząc z drabiny — wieczorem, o zmroku, przyniosę sznur dłuższy, to zmienimy go bez hałasu i opuścimy obraz niżej.

— Słucham łaski panicza.

— Mój drogi Michale, prosiłem cię abys oduczył się tego ciągłego słuchania.

— Przywyczka od lat tylu kochany paniczu. Człowiek chce, a nie może.

Weszli do pierwszego salonu.

— Jakoś dziś mało zwiedzających.

— Mało proszę łaski panicza.

— Czy tak zawsze?

— Prawie zawsze.

— To źle.

— A źle proszę łaski panicza.

— W niedziele i święta musi być więcej?

— Więcej... także wieczorem, pociemku, na godzinę przed zamknięciem m u z e a.

— Kiedy nic nie widać?

— Kiedy nic nie widać proszę łaski panicza.

— Więc nie dla obrazów i nie dla starożytności przychodzą?

— A nie dla obrazów i nie dla starożytności — wskazał na parę sofek, miękko wysłanych i przykrytych perskimi kobiercami — tylko dla kanapów proszę łaski panicza.

— I cóż robią?

— Spoczywają i „romansirują“.

— Kto?

— Komu ugodnie.

— Tak?

— Tak proszę łaski panicza.

— To im przeszkodzimy, jak przyjdę obraz zawieszają.

— Możemy wejść bocznymi drzwiami, wprost z kurytarza do galeryi drugiej Mam zawsze klucz przy sobie.

— Nie przechodząc przez ten salon?

— A ino; nie przechodząc proszę łaski panicza.

— To zaczekasz na mnie na kurytarzu pocziwy Michale ...

— Słucham łaski panieca.

— Pamiętaj mój drogi... w kurytarzu.

— Słucham łaski panieca.

Wyprostowany, sztywny, surowy, niemal ponury, a jednak z wyrazem szczerej życzliwości na twarzy dla swego dawnego towarzysza z saperskich szeregów, przeprowadził Stasia miarowym krokiem aż za kasę. Potem powrócił i siadł na krześle z rogów jelenich, stojącym przy drzwiach wchodowych w pierwszej galerii, oczekując cierpliwie i spokojnie na publiczność, od której odbierał bilety. Publiczności tej było istotnie niewiele. Ile razy jednak wszedł ktokolwiek, Michał podnosił się jak nakręcony automat i salutował po żołniersku z powagą pełną godności. Z daleka można go było wziąć za woskową figurę.

W kilka minut po oddaleniu się Stanisława wpadł żywo do muzeum zdyszany Urban. Nerwowym ruchem ręki poprawił na nosie okulary i rzucił kasyerce na stół rubla, mówiąc :

— Proszę o bilet.

— Pojedynczy czy familijny ?

— A przecież pani widzi, że jestem sam.... zawsze sam, kawaler.

— Obowiązek, proszę pana, każe zapytać — odparła przewlekłym głosem kasyerka, wycinając z książki bilet różowy i podając go razem z resztą rubla.

— Michał! — zawołał Urban tonem rozkazującym, wchodząc do salonu.

— Słucham !

Ex-żołnierz powstał i wyprostował się, opuszczając dłonie na swej dolnej odzieży.

— Dyrektor jest ?

- Jest, proszę łaski pana.
- Gdzie?
- W swoim pokoju.
- Proś go do mnie.
- Kiedy spoczywa.
- Nic nie szkodzi.... Obudź.
- Słucham łaski pana.

Jak drewniany, zatoczył sztywnie pół obrotu i małemi drzwiczkami, obramowanemi szalem Kleopatry i chusteczką Maryi-Antoniny, wsunął się — uchyliwszy głowy — do gabinetu dyrektorskiego. Po chwili rozległy się za nim przeróżne klątwy, wyrzucone przez nagle obudzonego z silnej pierśi, z wściekłością i krzykiem. Wrzawa niespodziana przestraszyła i wypędziła z wystawy parę osób, oglądających kapelusik Napoleona I i berło Aleksandra Wielkiego, na białych zaś i wazkich ustach Urbana wywołała uśmiech złośliwy.

— Cygan! — szepnął — wyleguje się w biały dzień jak magnat. Pewno noc całą spędził przy „obrazkach“ i to mówiąc, poruszył palcami, jakby tasował karty.

Właśnie kiedy kończył cedzić przez zaciśnięte zęby powyższe wyrazy, ukazał się we drzwiach Pittorini.

Długie, rozczochrane włosy, tworzyły na jego głowie rodzaj strzechy wichrem potarganej. Poprawiał nieład ubrania i przecierał zaspane oczy. W pierwszej chwili nie dostrzegł Urbana, plecami doń obróconego i niby zatopionego w rozpoznawaniu skamieniałych szczątków niedźwiedzia jaskiniowego. Karteczka, przyklejona do okruchów szarego koloru, głosiła, że szczątki te wykopane zostały w Kraśniku w 1832 roku przez komisję archeologiczną *British Museum*, umyślnie w tym celu do Polski przybyła.

— Gdzie?... kto? — wołał pan dyrektor. — Nie ma nikogo, a ta *brutta bestia* budzi mnie napróżno.

— Daj mu pokój, nie łaj, nie krzycz — odezwał się Urban. — Obudził cię, bo ja kazałem.

— Ty! to co innego — rzekł Pittorini mięknięc, ale z widocznem niezadowoleniem. I zwracając się do ex-soldata, wrzasnął: — Czego stoisz, jakbyś kij połknął! Ruszaj na swoje miejsce.

Michał poważnie, miarowym krokiem, poszedł do krzesła z jelenich rogów i usiadł spokojnie. Wiedział zbyt dobrze, że gniew dyrektora, to ogień ze słomy, buchnie gwałtownie i jeszcze prędzej zgaśnie. Cygan przyzwyczał go do podobnych awantur, po których — gdy ochłonął — przeproszał zwykle, a nawet jak mógł wynagradzał swego woźnego, bo w gruncie rzeczy nieżył to był człowiek ten niedoszły artysta, z żyłką do hulank i ze zdolnościami do handlu.

— Jakże ci się spało? — spytał Urban Pittorini, poprawiając na nosie przekrzywiałe się okulary.

— Czy kazałeś na to mnie obudzić, aby dowiedzieć się, jak mi się spało? — odburknął pan dyrektor, ciągle jeszcze mocno niezadowolony.

— Nie irytuj się, powoli, powoli... może się czegoś dogadamy mój Pitusiu... Pitusieczku — i to mówiąc, pogłaskał go po brodzie.

— Najprzód, powiedz mi, z kąd poufałości tyle?

— Jako?

— Kiedy jesteśmy sami, mówisz do mnie ty, a nawet jak teraz „mój Pitusiu, Pitusieczku“, gdy przy pierwszym gorszym co by tu teraz się zjawił, traktowałbyś mnie *per* pan. Przecie racz łaskawie przypomnieć sobie, żeśmy oba warszawskie dzieci i na jednej ławie braliśmy bierzowanie na drogę żywota. Kurta wart Małpy, a Małpa Kurty. Jam hołota... tyś hołota!

— Może dawniej, ale dziś nie. Ty się gramolisz ledwie aby wyleść, a ja już wywylałem.

— Na kark bliźnim swoim.

— Wierzaj mi, że na karku drugich siedzi się najwygodniej.

— Dopóki nie zrzucą ... Ja ciężko pracuję, ale jestem przecie artystą. *Anche io son pittore.*

— Żyjesz z artystów, a raczej kosztem ich wegetujesz mizernie, zwłaszcza że dyabełek, maczek i sztos wyciągają ci ostatni grosz z kieszeni.

— Ale cóż u licha! — zawołał zaperzony Pittorini.

— O sprzeczkę tu nie chodzi — wygłaszał zimno Urban, powstrzymując wybuch złego humoru ex kolegi — dość, że nie chcę, aby wiadano o naszej zażyłości z dawnych czasów, bo mi tak dogodniej. Zresztą i tobie się to przyda, łatwiej mi będzie ci dopomódz

— Ty umiesz tylko szkodzić ... i dlatego się ciebie ludzie boją. Dopomódz, choćbyś chciał, nie potrafisz.

— Otóż widzisz, tobie pierwszemu dopomogę.

— O mój luby, mówię szczerze, temu nigdy nie uwierzę.

Urban bystro patrzył mu w oczy, a pod tym wzrokiem mimowoli mięszał się Józef, chociaż miną nadrabiał.

— Całą noc i cały ranek dzisiejszy przepędziłeś na grze i hulance.

— Co komu do tego, że czasem nie bywam w domu.

Do swoich rymów zapożyczał już końcówek u Sotera, Rozmiara Rozbickiego, tak go rozdrażniała indagacya Urbana.

— Bawiłeś się w towarzystwie znanych szulerów.

— Przecież ciebie tam nie było.

— Bo jestem gracz, ale nie szuler... i siadam do stolika tylko z porządnymi ludźmi.

— Bo ich łatwiej ograć.

Pośrednik poczerwieniał, oczy mu zabłysły jak dwa żarzące węgle, ale widocznie postanowił być cierpliwym i znieść wszystkie koleżeńskie dogryzki cygana.

— Mylisz się... z nimi trzeba grać uczciwie.

— *Per Dio immortale*, nie graj zatem z nimi wcale.

Urban z flegmą ciągnął dalej:

— Po pijanemu wziąłeś się do karteczek... i przegrałeś.

— Tak mi się podobało.

— Spłukałeś się w sztos.

— Czy ja do twojej gry wsadzam nosa?

— Słowem, jesteś obecnie goły jak turecki święty.

W muzeum pusto — obejrzał się dokoła — w kasie rubel i kopiejek pięć... Z tych, ja dałem piętnaście...

— Ale cóż to cię obchodzi! Czyś mój ojciec... czy dobrodziej?... Zkąd wiesz o tem *per Baccho*... kto to ci powiedział?

— Nikt. Domyśliłem się, patrząc ci w oczy.

Pittorini zniechęcony machnął ręką.

— Zawsze byłem i będę niedołągą, dlatego masz nademną taką przewagę. W szkole brałem za ciebie plagi, a tyś jeszcze ze mnie żartował, chociaż to ty właśnie *birbonacio* namówiłeś mnie zawsze do każdego psiego figla, za który później ja sam tylko cierpiałem.

— Otóż i teraz chodzi o figla. — Po chwili dodał: — Można nawet na nim coś zarobić.

— I dostać się do ula.

— Zkądże znowu?... Za kogo mnie masz?... Figiel niewinny, rodzaj zabawnej hecy...

— Na której ucierpią moje plecy.

— Nie, nie... Chcę się pośmiać trochę i ciebie rozśmieszyć.

— Cudzym kosztem.

— Jak mi dopomożesz, potrafię się wywdzięczyć.

— Upadam do nóżek.

— Nie chcesz?

— Wyrażam się jasno, ściśle — ani myślę.

— No, to mniejsza o to.

Zaczął się przechadzać po salonie i gwizdał aryjkę finałową z najnowszej operetki. Pittorini stanął przy pułce, na której spoczywał olbrzymi ząb mamuta — z gipsu. Wziął miotłkę z piór, otrzepał nią kurz, pokrywający zabytek i poprawił karteczkę przewróconą. Przytem z podełba spoglądał na Urbana. Ten obszedłszy do koła dwa razy pokój, zatrzymał się przed dyrektorem muzeum jak mruk uparcie milczącym.

— Masz karty?

— Na co? — spytał Pittorini, energicznym ruchem głowy zawracając w tył spadającą mu na czoło czuprynę.

— Powiedz... masz?

— Mam.

— Daj je tutaj.

— Ależ na co?

— Daj... nie pytaj.

— Ile?

— Choćby tylko jedną talię.

Pittorini wybiegł do swego pokoju i z talią kart powrócił.

— Oto są — rzekł, podając.

— Dobrze. Grasz w *écarté*?

— Gram we wszystkie gry krajowe i zagraniczne.

Urban kartował powoli, błyskając królami jakby na wabia. Pittoriniemu śmiały się oczki, ślinka szła do gęby, patrzył z ciekawością, co to będzie.

— Otóż widzisz — mówił pośrednik już pewny siebie — zagramy z sobą jedną partyę. Jeśli przegram, zapłacę ci pięćdziesiąt rubli, jeśli wygram, zrobisz, co każę.

Pittorini wzroku nie odrywał od kart, żywo przesuwających się w ręku kolegi szkolnego. Pięciu palcami prawej dłoni zagarnął włosy na tył głowy, potem wyciągnął mankiety od koszuli z rękawów surduta, potem poprawił krawat, przestąpił z nogi na nogę, odchrząknął i spytał:

— A nie dostanę się do ula?

— Ręczę ci słowem, że nie.

— B i r b o n e! to mnie jeszcze nie rozczula, ale... ciężkie czasy, pięćdziesiątka warta grzechu. A nie spadną na mnie basy?

— Nie.

— Więc pięćdziesiąt rubelianów *en gotiu*.

— Gotóweczka... zaraz. — Wydobył z zanadru pugilares, otworzył i wskazał banknoty. — Patrz są... czekają na ciebie.

Pan dyrektor widocznie się zapalał.

— Grać będziemy uczciwie?

— Inaczej nie grywam.

Pittorini, który znał „Fausta“ z opery, szeptał, jakby trawiony pokusą:

— Dyable! Lucyperze! Mefistofelesie! coś mnie łechce... ciągnie... zagrać chce się. — Cofnął się kilka kroków w tył, potem tragicznie rzucił się naprzód ku Urbanowi. — Masz mnie w swojej mocy szatanie... Siadajmy.

— Ale nie tu przecie... tylko u ciebie, w twoim pokoju.

— Zgoda w moim pokoju.

Cygan odzyskał swój zwykły dobry humor. Skakał, śmiał się i deklamował na przemian. Podał przesadnie ramię koledze i z atencjami pełnemi małpiego komizmu prowadził go ku drzwiczkom. W pół salonu zatrzymał się jak wryty, wznosił oczy w górę, jedną rękę położył na sercu. a drugą zamasyście poprawił niesforne włosy.

— Przysięgnij uroczystemi słowy, że jak przegram, włos nie spadnie z mojej głowy.

— Przysięgam — rzekł, śmiech udając Urban, wszystkie te figle bowiem nie bawiły go wcale — chociaż powiem ci szczerze, że ubytek jednego włosa w tej Absalonowej czuprynie nie wyrządziłby ci wielkiej szkody.

— Buch Urbaś... buch Pituś do wody!

I to mówiąc wepchnął naprzód „pośrednika“ a potem sam wskoczył jak clown do swojej sypialni, będącej zarazem jego gabinetem do pracy i kancelaryą do poufnych interesów.

O ile drzwi były wąskie i niskie, tak że mężczyzna średniego wzrostu, wchodząc przez nie, musiał nachylać głowy, o tyle pokój sam był duży, głęboki, ale prawie ciemny, oświecało go bowiem tylko jedno okno, wychodzące na podwórze. Pod oknem stało biurko jesionowe, zarzucone mnóstwem papierów. Leżały na niem katalogi, fotografie, koperty od listów, listy, kartki z napisami do muzealnych okazów, stare, pożółkłe dzienniki, rachunki z kasyerką, — wszystko pokryte grubą warstwą kurzu, co najmniej od lat dwóch niezmiatanego. W butelkę osadzoną świeca, lampka naftowa z zielonym, szklanym, pękniętym i nadszczerbionym daszkiem i szeroki, porcelanowy, niegdyś biały, dziś upstrzony atra-

mentem kałamarz, z wetkniętymi weń dwoma gęsiemi piórami, tonęły w chaosie arkuszków, ćwiartek rozmaitego formatu, oraz skrawków różnokolorowych, czworograniastych i podłużnych.

Nikt tu nigdy nie sprzątał, Pittorini bowiem twierdził, że tylko przy nieporządku — jaki na biurku panował — łatwo może znaleźć wszystko, czego mu było potrzeba. Gdyby kto ośmielił się zaprowadzić jakikolwiek ład w tem śmietniku, cygan byłby niepokieszony. Istotnie, nie trafiłby do niczego; kiedy tymczasem w takim stanie, w jakim znajdowały się zapyłone papiery, Józef — nawet pociemku — umiał w nich wyszukać najdrobniejsze świstki.

W głębi izby stało łóżko, nigdy należycie nieposłane, o poduszkach i prześcieradle zbrukanem, potarganem, o zmiętej kołdrze wełnianej, podobne do barłogu ostatniego z nędzarzy. Szczęściem zasłaniała je olbrzymia szafa dębowa, napełniona garderobą pana dyrektora, który stroić się lubił i posiadał mnóstwo garniturów w najdziwaczniejszych fasonach, najoryginalniejszych kształtów i w barwach najjaskrawszych. Krawatami jego — czerwonemi, niebieskiemi, pomarańczowemi i zielonemi — obićby można ściany pałacowej komnaty.

Duża wrocławska kanapa, o poręczach w stylu szkaradnego zmodernizowanego *rococo*, o złamanej jednej nodze, kilka krzeseł giętych i wyplatanych, stoliczek z białego drzewa, na którym stała miednica fajansowa i dzban gliniany, dopełniały lichego umeblowania pokoju, stanowiącego rażąca różnicę z wcale wytwornem urządzeniem salonów muzeum. Ale na wystawie, utrzymywał przedewszystkiem porządek Michał, dbał o czystość, a nadto salony reprezentowały interes, uidealizowaną stronę zajęć i życia gospodarza lokalu,

jego ogładę i politurę zewnętrzną, tu zaś — mieszkanie odzwierciadlało wewnętrzny charakter cygana. Tu też było mu najmilej, kiedy wracał z knajpki lub szulerni, tu — prawie zawsze samotny — nie potrzebował „błagować“; twierdzić, że włosień, wczoraj wyciągnięty ze starego materaca, zdołał niegdyś grzywę lub ogon Bucefała, a podkowa, przed tygodniem znaleziona na Nowym Świecie, należała do kopyt konia, na którym siedział Kościuszko w bitwie pod Racławicami. Brudno tu było, brzydko, niezamieciono, duszno od dymu cygar i papierosów, lecz tu tylko czuł się Pittorini zupełnie u siebie.

— Gdzież grać będziemy? — spytał Urban.

— A na biurku — odparł Józef.

— Usuńże przynajmniej te zakurzone papierzy-ska.... Człowiek sobie od nich ręce powala.

— Nie; papierów ruszyć nie dam. Delikatnym łapkom pył nie zaszkodzi. — Przystawił dwa krzeselka. — Niechaj siada pan dobrodziej.

— Ha! cóż robić! siadajmy! — rzekł pośrednik z widocznym wstrętem do nieładu tu panującego.

— *Per Baccho*, kto daje?

— Ciągnijmy.

Rozrzucił karty na jakimś dzienniku wczorajszym, czystszy od innych. Pittorini wziął na oślep siódmkę, a Urban asa.

— Ja zatem — powiedział ostatni. — Zbierz.

— Już źle — szepnął dyrektor i ręką wstrzymał poruszenie rąk Urbana, zaczynającego kartować. Zerwał się z siedzenia, oczy komicznie zawrócił, wlepiając je w sufit, potem zaczął stukać średnim palcem lewej ręki o średni palec prawej, mruczając pod nosem. — Grać, nie grać.... grać, nie grać.... Wypadło grać, więc gram.

Usiadł znowu.

— Zbierz — rzekł Urban, przysuwając do niego talie.

— Choć drzę jeszcze, choć się bałem... już zebrałem.

Urban rozdał i wyświęcił króla.

— Król.

— Kanalia!

— Znaczę punkt.

— Proponuję.

— Graj.

Pittorini cedził po cichu przez zęby:

— Kanalia! Kanalia!

Pośrednik wziął trzy lewy.

— Znaczę dwa punkta... i król... to trzy. — Zapisywał do notatnika wyjętego z kieszeni. — Teraz ty dajesz.

Dyrektor mieszał karty, mrużąc nieustannie.

-- Kanalia!... Potrójna kanalia! — Po chwili zawołał głośno: — Zbierz!

Urban zebrał, Pittorini rozdał i wyświęcił króla.

— Znaczę punkt i oto siódemeczką wyciągam koronowanego z pod kłody.

Urban brwi zmarszczył.

— Proponuję.

— Nie daję — i to mówiąc, Józef odkrył swoje karty. — Mam monarchę, królowę, niżnika, tuza i kralkę. — Poklepał się dłonią po twarzy. — Dzielnie rozpoczynam walkę.

Przeciwnik skrzywił się, ale rzekł spokojnie i zimno:

— Mieliśmy grać uczciwie?

— Na zamięłowanie moje do sztuki klnę się, że...
ze... *Anche io son pittore.*

— No, no, jak chcesz... nie nie szkodzi. Oddaj karty.

Odebrał talię, skartował, podał do zebrania, rozdał i wyświecił króla.

— Król. Znaczą punkt czwarty. *Anche io son artista.*

— Jakto? jeszcze raz monarcha! — zawołał Pittorini, zdziwiony i rozgniewany na seryo.

— A dlaczegożby nie? — odparł z lodowatym chłodem Urban. — Mogłeś ty go ciągnąć za łeb, dlaczegożbym i ja nie miał prawa? Mieliliśmy grać uczciwie, grałem uczciwie. Zmieniłeś postanowienie, zastosowałem się do twojej metody. Skupuję wyświeconego i jak ty, mam w ręku króla, damę, waleta, asa i dziesiątkę... Zatem wygrałem.

— *Per Baccho...* to taaak? — krzyknął Józef żałośnie.

— Pobiłem cię twoją własną bronią.

— A nie mówiłem, że Mefistofeles, czart wcielony!... Pozwól odegrać się; przysięgam, że nie tknę koronowanego.

— Szkoda czasu.

— Czas... bagatelka; rzecz niewielka.

— Nie mam go na stracenie... wolę dać ci pięćdziesiąt rubli — rzucił banknot na biurko.

Pittorini pochwycił szybko pieniądze i schował do kieszeni.

— Pożyczam, bom goły... Oddam za miesiąc... niezawodnie.

— Nie potrzebujesz się spieszyć. Daję słowo, że sprzedam ci nadto twego *pseudo*-Rubensa bankierowi Hirszenbergerowi, twego podrobionego Delaroche'a księciu Antoniemu, a Meissoniera, który nigdy Francji nie oglądał, prezesowi Rudeckiemu, jeśli... jeśli...

— Zrobię figla — skończył dyrektor muzeum, drapiąc się w głowę.

— Jeśli zrobisz co każę.

— Ha! przegrałem, słuchać muszę — rzekł Pittorini zrezygnowany. — Dyable, Lucyperze, zabierz duszę! — Powstał, cofnął się parę kroków w tył, jedną rękę położył na sercu, drugą zagarnął w tył włosy i deklamował z przesadą: — O! szatanie, czarniejszy niż sadze, rządź i rozkazuj... masz nademną władzę.

Urban wziął go pod ramię i nachylił mu się do ucha.

— Przestań m.łpować; uważaj... Kilka osób w mieście otrzymało listy, wzywające je na dziś do twego muzeum.

— Ty jesteś niezawodnie autorem tych listów.

— Co ci do tego? Nie grzesz domyslnością; wystarczy ci powinno, że kilku widzów zwiedzi twoją wystawę o zmroku, że utargujesz parę złotych za bilety, a odemnie zarobisz dużo więcej... Ale cicho. — Zbliżył się na palcach do drzwiczek. — Schodzą się... Poczekaj; później ci powiem resztę.

— To jakaś długa historia. Pewnie dla mnie niebezpieczna?

— Sza!

Skinął ręką, aby zamilkł.

Pierwszy salon muzeum zaczynał się napełniać.

Goldenkrantz z żoną oddawali właśnie Michałowi bilety. Ex-żołnierz, wyprostowany, w marsowej postawie salutował przybyłych.

— Siadaj sobie jegomość — rzekł do niego bankier dobrodusznie i zwracając się do żony, szepnął półgłosem: — Moja Felciu, co to za pyszny woźny, to jak obraz... hi, hi, hi... Stoi niby słup od telegrafu, wy-

ciągnięty... jak... jak... — szukał w myśli utartego porównania.

— Jak struna — dokończyła pani Felicja ziewając.

— Hi, hi, hi... gorzej jeszcze niż struna.

Wtem ukazał się przy nich Urban, jak zwykle poprawiający przekrzywione okulary.

— Miło mi państwa spotkać.

— I mnie bardzo przyjemnie. Hi, hi, hi... Pan pewno z resursy?

Felicja syknęła.

— O tej porze!.. chyba do...

— Ani jedno ani drugie. Przyszedłem tu umyślnie i zabawię z godzinkę.

Za nimi o parę kroków uśmiechał się Pittorini i witał uprzejmym ukłonem dobrego kundmana. Goldenkrantz odpowiedział mu życzliwym skinieniem głowy i wyciągnął rękę.

— Dzień dobry panie dyrektor.

— Podnózek pański... Scieleę się u stóp pani do brodziejki.

— Pan pewno chce zobaczyć nowy obraz... „Fortunę“... hi, hi, hi... „Fortunkę“... co już w gazecie zaanonsowana — powiedział bankier do Urbana.

— Czyj!... przez kogo malowany?

— Przez pana Stanisława, pańskiego kolegę.

— Któżby taką lichotę oglądał?

— Zkądże znowu lichota! — wrzasnął Pittorini — Nie widziałem jeszcze jak zawieszona, ale znam z pracowni. Arcydzieło *per Baccho*! Rysunek doskonały, koloryt prześliczny, pomysł oryginalny!

— Handlujący musi swój towar chwalić.

Józef zaklął po cichu.

— A bodaj ci język skamieniał! — I głośno deklamował dalej — kompozycya Makartowska... jabym lichoty nie wystawił. *Anche io son pittore.*

— Rzecz uwagi nie warta.

Pittorini gryzł palce ze złości.

— Czy być może? — wycedziła od niechcienia pani Felicya — a podobno ktoś pochwalił.

— Krewni... pani Ludwika, a może hrabia Jerzy... wdzięczni za przysługi.

— Bodajżeś pękł — mruknął Pittorini i nie chcąc słuchać dłużej poleciał do kasy.

— Coś... hi, hi, hi... dyrektor z pana niezadowolony.

— Któżby na to zważał! Dziwić mu się nie można... kupiec.

— Podzielałam w części pańskie zdanie, chociaż malowidła jeszcze nie oglądałam; ale zdaje mi się, że przedmiot... jakże to przyzwoicie po polsku powiedzieć... trochę wydekoltowany, nie może wyjść szczęśliwie z pod pędzla takiego jak pan Stanisław surowego moralisty.

— Co on za moralista! — szepnął Goldenkrantz — to człowiek bardzo lekki.

— Zkądże wreszcie mógł mieć właściwy model. Chyba żona... ale o ile wiem Jania nie odznacza się piękną budową ciała... Trochę krzywa i chuda...

— Może kto inny... także bliski... — insynuował Urban.

— Złośliwy!... Na to by się chyba hrabia nie zgodził.

— Paryżanie umieją się czasem pogodzić.

Felicya udała, że sobie uszy zatyka.

— Nie chcę pana słuchać.

— Co pan mojej żonie powiedział? — pytał bankier, który chociaż bystry, był jednakże za uczciwy, aby odrazu zrozumieć dystylowany ekstrakt żółci i obmowy, sączący się z ust, pełnych zawiści i nienawiści.

— Nie — odburknęła kokietka i zawróciła rozmowę do punktu wyjścia. — Rozumiem tego rodzaju utwory w Paryżu lub Wiedniu, gdzie osoby piękne, z wyższego świata, pozują przed artystami...

— Jako?... hi, hi, hi... całkiem wydekoltowane?

— Tam mężowie sami ubiegają się o zaszczyt podobny..

— Takich mężów... hi, hi, hi... to trzeba oddać do czubków.

— Cóż bowiem może być przyjemniejszego dla męża — deklamowała pani Felicya z zapalem, niezmięszana ciąglem przerywaniem Goldenkrantza — jak widzieć, że cały świat bije czołem przed pięknoscią żony, że tłumy wielbią jej urocze kształty... Tym sposobem żona staje się własnością narodu...

Bankier zirytowany wybuchnął.

— Fe! Felcia! co ty za głupstwa gadasz!

— A ty się nigdy nie wyleczysz z przesądów.

— Felcia! proszę bardzo, nie mówmy o tem, bo mi się krew burzy.

— Koniec końców dla zanknięcia dyskusji powiem — mówił Urban, jakby nie zważał na sprzeczkę małżeństwa — że, pragnąc malować nagości z powodzeniem, potrzeba modeli pięknych jak pani.

— Hi, hi, hi... i pan także!

— A tych mężowie u nas artystom odmawiają. Nadto malarz musi mieć talent i środki. Talentu Stanisław nigdy nie posiadał, a środków także mu brakło....

— Chociaż lekki bardzo... hi, hi, hi... jednak go żałuję.

— A mnie go nie żal wcale -- szepnęła Felicya.

— Ma pani słuszność — powiedział pośrednik, poprawiając okulary — nie ma kogo żałować! Ja, przyznam się państwu, nie lubię ludzi, udających uczciwych jak on i jego rodzina.... To też rad będę, kiedy im wszystkim spadnie maska z twarzy: jemu, jego lubej żoneczce, pani Ludwice i Franciszkowi... a zanosi się na odkrycie pewnego skandaliku....

— Powiedz pan jakiego? — pytała z ciekawością bankierowa.

— To jeszcze sekret. Mogę tylko zaręczyć, że odgrywa w nim pewną rolę i hrabia Jerzy.

— Ten... hi, hi, hi... co mężom chce rogi przyprowadzić... dobrze, o! bardzo dobrze.

To mówiąc finansista, wiecznie zazdrosny, zacierał ręce.

— Czy być może.... hrabia Jerzy?... Chciałabym czegoś pewnego dowiedzieć się w tym względzie.

— Pozostańcie państwo czas jakiś na wystawie, a może zobaczycie.

— Tu?... teraz?

— Za pół godziny, jak się ściemni.

— A to zaczekamy.... Prawda mężu, że zaczekamy.

— Jeśli tylko ten przekłety hrabia ma być skompromitowany, to.... hi, hi, hi... poczekam.

— Zobaczymy na własne oczy? — pytała Felicya.

— Zobaczy pani własnymi, ślicznymi oczami.

— Hi, hi, hi... co za śliczne oczy!.... to ja mam tylko prawo mówić o te śliczne oczy!

— Bez urazy.... piękniejszych nie znam.

— Ależ... — oponował Goldenkrantz, bankierowa zaś dziękowała za komplement miłym uśmiechem.

— Za chwilę służyć będę państwu — rzekł Urban. Ukłonił się i pobiegł szukać Pittoriniego.

Kiedy pośrednik zniknął za drzwiami wiodącymi do kasy, Felicya zwróciła się do męża.

— Nie wiem, co wszyscy do niego cierpią... a i ty także... to bardzo miły człowiek.

— W perspektywie, w optyce... hi, hi, hi... z daleka. Pewny jestem, że coś niegodziwego układa, ale tobie Fela się podoba, bo chwali twoje dyabelskie oczy.

— A czy istotnie niezachwycające?

Goldenkrantz spojrział i zamilkł na chwilę.

Ktoś, coby zdołał wyczytać wszystko, co malowało się w jego wzroku, zdziwiłby się niezawodnie, ile poezyi, trochę zmysłowej i wschodniej, a jednak podniosłej i uidealizowanej wspomnieniem silnych, szlacheckich, dawniej doznanych uczuć, odbiło się w źrenicach karykaturalnego bankiera. Wpatrując się w tak nazwane przez siebie „czarne talary“, błyskające jeszcze namiętym ogniem z pod brwi i rzęs umalowanych, odtworzył myślą czas, w którym kochał tak mocno i szczerze, że nie obawiał się szyderstw i śmiechu ludzkiego, że dla tej miłości wyrzekł się spokoju i szczęścia. Niestety! dziś wiedział, że wyzywające promienie, które Felicya skupiła w swoich oczach, nie dla niego pięknie migocą, machnął zatem ręką i szepnął:

— Może zachwycające, ale mówić o tem, to tak potrzebne, jak dziura w moście... Hi, hi, hi... Chodźmy obejrzeć „Fortunę“.

Zwrócili kroki ku drugiej galeryi, gdzie w drzwiach spotkali Janinę i pana Artura. Był to pierwszy nauczyciel Stasia, ten co odgadł w nim artystę, mającego „malować sercem“. Wiek go przygarbił i pochylił, sre-

brząc włosy nad czołem i na brodzie; zawody i rozczerowania rozlały na twarzy jakiś smutek poważny, który mógł za spokój być wzięty.

— Zawsze śliczna moja mała — rzekła pani Felicya, całując Janię w czoło. Podała rękę Arturowi. — Witam mistrza.

— Moje padam do nóg,... hi, hi, hi... ja mocno żałuję... — zaciął się Goldenkrantz, ściskając dłonie młodej kobiety z prawdziwym, szczerem wzruszeniem.

— Czego, czy kogo? — spytała naiwnie Janina.

— Mnie bardzo przykro — jękał zmieszany bankier, bo chociaż pan Stanisław... ja bardzo...

— Co?... co? łaskawy panie.

— Przeszkadzamy państwu, mój mężu, przerwaliśmy im rozmowę — syknęła niecierpliwie Felicya, niezadowolona z nagłego rozczerulenia Goldenkrantza.

— No, ja chciałem tylko powiedzieć... hi, hi, hi... że mi przykro... co mi żal... ale kiedy przeszkadzamy, to upadam do nóg.

Uklonił się i razem z Felicyą wszedł do drugiego salonu.

— Co znaczyło jego zakłopotanie, wyrazy współczucia i żalu? czy rozumiałeś panie Arturze?

— Pewno dowiedział się o waszych stratach i nieszczęściach.

Janina pochyliła głowę na piersi.

— Tak, tak... prawda... wszyscy już o nich wiedzieć muszą. — Otarła ukradkiem łzę, cisnącą się do oczu. — Siądźmy. Widzę, że pan zmęczony... Odpocznijmy trochę.

Usiedli na sofie.

— Starość mi dokucza.

— A tak chętnie pospieszyłeś zobaczyć obraz mego Stasieczka... Tak spieszyłeś... sam przynaglałeś.

— Bo to mój obowiązek... a i rozkosz zarazem.

— Powiedz mi szczerze, co myślisz o kompozycyi

Stasia?

— Dla mnie jest ona piękna i ciekawa, bo budzi myśli.... Wątpię jednak, aby znalazła łatwo nabywcę.

— Dlaczego?

— Utwory tego rodzaju nie są ogółowi przystępne.

Potrzeba je zrozumieć, a nawet żyć się z niemi, potrzeba powoli i rozważnie ocenić ich artystyczną i moralną wartość, są bowiem protestacją przeciw zepsutemu smakowi dzisiejszemu, chociaż zerwały ze starą tradycją linii klasycznych; pod temi liniami bowiem kryje się nader często manierowość i naśladownictwo niewolnicze. Publiczność dostrzeże w „Fortunie“ albo za dużo, albo za mało. Jednym obraz, chociaż prawdziwy, wyda się niedość realnym, drugim podniosłym i spokojnym; jednych oburzy materyał polemiczny, stanowiący jego istotę, drudzy zarzucą mu brak tendencyi i bezcelowość sztuki dla sztuki w naszych czasach utylitarnych; jedni nazwą go przekończonym, drudzy zaniedbanym i szkicowym, a już najsrożej krytykować go będą ci, co malować nie umieją i nie znają się na malarstwie. Zbyt silnie odbiły się na nim wrażenia indywidualne i spostrzeżenia, wyniesione z obserwacyi, wprawdzie pogodzone i stonowane szczęśliwie, lecz tylko dla oka rzeczywistego artysty, nie dla przeciętnego spektatora. Ja w tym pozornym chaosie grup i postaci, znalazłem myśl, akcyę, co je łączy... nie przewodnią, wiążącą szczegóły w całość jednolitą; nie ręczę jednak, czy ją każdy odnajdzie. Dla mnie to właśnie stanowi urok dzieła, co innym nie będzie się podobać.

— Boże! — westchnęła Jania smutnie.

— Dodaj do tego uprzedzenie ludzkie, dotąd odmawiające Stasiowi należnego uznania, dodaj zawiesz

towarzyszów i nienawiść licznych wrogów waszych, a przyznasz, że nie możecie się ludzi nadzieją rychłej sprzedaży „Fortuny“.

— Nie zdajesz sobie sprawy drogi panie, jak mnie przerażasz. Od obrazu tego los nasz zawisł. Nic już nie posiadamy. Resztę naszego ruchomego mająteczku, dziś nam zabiorą wierzyciele. Spodziewaliśmy się, że po spieniężeniu „Fortuny“ ruszymy zagranicę i pod innym, może życzliwszem dla Stasia niebem, znajdziemy ludzi dlań łaskawszych i bardziej sprzyjające mu okoliczności. Pan wie, że o mnie tu nie idzie... ale o niego, o niego... Taki dobry, taki szlachetny, a zapoznany, od wszystkich opuszczony.

Łzy powstrzymywane napróżno kręciły się w oczach Jani.

— Dobroć jego właśnie, jest tego powodem. Ludzie, do niego podobni, muszą istnieć, bez nich bowiem zatarłoby się w pośród społeczeństwa pojęcie ideału.. ale dla tego, że w imię ideału... jak światło z cieniami... wiodą walcę, ciemności mszczą się na nich za przegraną moralną, materyalnem zwycięstwem.

— To okropne!

— Tak było i będzie I ja też same koleje przeszedłem. Patrz na mnie, jestem bliski grobu. Girlandy wawrzynowe, któremi czas jakiś... krótką chwilę... wieńczono moje skronie, dawno już uwiedły. Potem torturowała mnie złość i zawiesz ludzka, potem mnie zapomniano... przypomniał sobie, kiedy na nadgrobkę potrzeba będzie wypisać wyrazy wdzięczności. Nie długą mam już drogę przed sobą i nie spodziewam się zmiany... Chociaż człowiek upada niekiedy pod brzemieniem ciężkiem, wnet się jednak krzepi wiarą i podnosi... Wszyscy iść musimy do celu... a cel i po za grób sięga; tak tu, ze względu na bliźnich, ojczyznę i jej

przyszłość, jak tam dla nas samych... Nie można zatem się smucić i rozpaczać.

— Więc i Staś mistrzu ma cierpieć i iść dalej? —

pytała Jania, tłumiąc łkanie w piersi.

— Byleście szli razem, bo to jego siła. Przeznaczeń swoich nie zmienicie lekkoduchy... Tak was podobno nazywają! — Uśmiechnął się dobrodusznie. — Lekkie duchy... bo wzlatujecie nad ziemię.

Nastała cisza.

Artysta pogрузzył się w dumaniach. Wspomnienia z lat minionych jedne po drugich budziły się w jego umyśle. Przesuwały się w pamięci korowodem to wesołym to rzewnym, to jasnym to chmurnym naprzemian. Wszystkie — czarne czy świetlane — wydawały mu się teraz drogie, bo starzec od przyszłości niczego się już nie spodziewał, a na skrzydłach ducha lecąc wstecz, z otchłani przeszłości wynosił obrazy, takie cudne, takie piękne, czarem wyobraźni upoetyzowane, odległością uszlachetnione, rozgrzane biciem serca odmłodzonego na chwilę.

Jania oparła głowę na rękę i dumiała także. Łzy wolno spływały po jej twarzy bladej. Myślała o Stasiu. Serduszko jej, pękające z bólu i smutku, nim tylko było przepełnione, nim jednym zajęte.

— Ściemniać się już zaczyna... Odpocząłem — rzekł Artur. — Wstańmy; odprowadzę cię do domu.

— Chodźmy — odparła Jania, ocierając rosę łez perlących się w jej oczach.

Powstali.

Stary malarz podał ramię towarzysze i podążył ku drzwiom wchodowym.

Naprzeciw nich szedł Urban. Niepodobna było go ominąć. Zresztą „pośrednik“ — jak zawsze bezczelny — sam się narzucił i powitał Stanisławową ukłonem.

— Pani przyszła zobaczyć obraz swego męża?
Jania ust nie otworzyła, tylko pociągnęła pana Artura i przyspieszyła kroku.

— Bardzo interesujący....

Jania milczała jak zaklęta. Wymijając pułki, podstawy i stoły, założone starożytnościami, przybliżała się z ciężko wlekącym nogi artystą do wyjścia.

— Trudno będzie go jednak sprzedać! — mruknął Urban, zniecierpliwiony milczeniem ofiary.

W wyrazach jego, wymówionych niby grzecznie, dźwięczał cały ogrom tajonej złości i nienawiści.

W tej chwili Jania i Artur zniknęli w ciemnym kurytarzu za kasą wystawy, pożegnani przy drzwiach wojskowym ukłonem i uśmiechem pełnym życzliwości wyprostowanego, poczciwego Michała.

Urban patrzył przed siebie czas jakiś nieruchomy. Potem, wściekły, wyciągnął za nimi rękę z gestem i szepnął:

— Jeszcze harda!... O! ci ucziwi!... chciałem powiedzieć... lekkomyślni ludzie, to plaga prawdziwa!

Przeszedł się po chwilowo bezludnym pokoju.

— Ręczę, że jutro nie będą mieć na obiad, bo Silberstein zabierze wszystko.... Już nic nie zastawia, nie sprzedadzą, a moja rzecz, aby obrazu nikt nie kupił.

Jakby sobie coś przypomniał, sięgnął żywo w zanadrze.

— Nie trzeba czasu tracić.

Wy dobył z bocznej kieszeni surduta list w zaklejonej kopercie i zawołał:

— Michał!

— Słucham łaski pana — rzekł ex-żołnierz, powstając z krzesła.

Zbliżył się miarowym krokiem, wyprostowany i sztywny. Urban mu list podał.

— Zbiegnij zwawo na dół i daj posłańcowi, aby natychmiast zaniósł podług adresu.... Rozumiesz, natychmiast.

— Słucham łaski pana.

Zatoczył pół obrotu z automatyczną precyzją — jakby cyrklem zakreślił — i wyszedł.

— Po tym liście, nabazgranym babskiem pismem Pittoriniego, Franciszek tu wpadnie jak bomba... i pęknie jak bomba.

Uśmiech złośliwy wykrzywił mu usta. Poprawił nerwowym ruchem ręki okulary na nosie i zatarł dłonie.

Goldenkrantz — widocznie zachwycony „Fortuną“ — wytoczył się wraz z żoną z galeryi obrazów.

— Już ja ci mówię Fela, co malowanie śliczne.... Bardzo mi się podoba.

— Ale nie nabywaj tak od razu. Cena za wysoka.... Poczekaj; przeczytaj co gazety napiszą.

— Co mnie gazety obchodzą; śmieję się.... hi, hi, hi.. z ich zdania Mnie się podoba, to dosyć. Kompozycja.... jakże się to nazywa..., perspektywna. Dużo powietrza.... o! perspektywna zupełnie! Patrzyłem na nią przez dziurkę w kułaku. Koloryt taki, że zdaje się.... że wszystko rusza się, żyje.... Bawi mnie, zajmuje.... to grunt.

— Zrobisz jak zechcesz.... lękam się jednak, abys się nie naraził na śmieszność.

— Już.... hi, hi, hi.... ty tylko na śmieszki mnie nie wystawiaj, a o reszcie to ja sam myślę.

Urban nie słyszał rozmowy małżonków, ale ujrawszy ich w pierwszym salonie, szybko ku nim poskoczył.

— Cóż? — spytała go pani Felicja — a przyrządzone widowisko?

— Chwila przedstawienia się zbliża.

— Więc to ten... hi, hi, hi... przeklęty hrabia będzie skompromitowany? — zagadnął bankier.

— On i ktoś jeszcze.

— Zmrok zapadać zaczyna. Jeśli spektakl się spóźni... jakże zobaczymy? — badała ciekawie kokietka.

— Niech się pani nie obawia; pamiętam o wszystkim... będzie i światło.

Zwrócił się w głąb, dojrzał bowiem Bolka i Julka, przedstawiających kasyerce swoje stałe, dziennikarskie bilety wejścia na wystawę.

— A! Otóż grono widzów zwiększone.

— Moje konduktory... hi, hi, hi.

— Nasi krytycy — rzekł Urban z ironiczną powagą.

Postąpił parę kroków naprzeciw przybyłym i podał im rękę.

— Jak się macie. Cóż?.. recenzje napisane?

— Ja schlastałem krótko ale jędrnie — mówił Bolesław. — Wprawdzie nie widziałem obrazu skończonego, ale z tego, co już można było sądzić przed paru tygodniami, wiem, że zabrnął w idealizm, który dziś arcydzieł nie stwarza i stworzyć nie może.

— Powiedz raczej, w naturalizm brudny — przerwał Julek. — Ja nie miałem także zaszczytu oglądać „Fortuny“ skończonej, bo jej twórcy bronił do niej przystępu zazdrośnie, ale to, co poznałem, było dla mnie dostateczne. Wytknąłem mu też surowo szkaradę ohydneho kierunku, któremu hołduje, i dowiodłem, że utwór jego jest lichy, bo poddaje się wpływowi realizmu bez granic. Muszę stać na straży czystości naszej sztuki i bronić jej od gwałtów niepowołanych kapłanów.

Pośrednik nie dał mu dłużej deklamować.

— Dosyć, że obaj zmięszaliście Stanisława i jego obraz z błotem! Tego mi tylko było potrzeba, dzielne

— Was chłopaki!... No! jest tu i wasze bożyszcze —
dodał, wskazując oczami Felicyę.

Opuścił reporterów i wrócił do Goldenkrantzów.

— Na przyobiecane widowisko musimy poczekać
trochę, ale nie tu.

Podał z wymuszoną galanterią ramię bankierowej,
mówiąc do mężczyzn:

— Proszę panów z sobą do gabinetu dyrektora
muzeum, gdzie znajdziemy znajomych. Tu tymczasem
odbędą się przygotowania do *mise en scène*.

Wsunął się w ciasne drzwiczki, przeprowadzając
przez nie ostrożnie panią Felicyę. Goldenkrantz, Ju-
liusz i Bolesław weszli za nią do kancelaryi Pittori-
niego, doprowadzonej do względnego porządku i rozja-
śnionej świecami płonącymi w dużych, kilkoramiennych,
bogatych kandelabrach, przyniesionych przed chwilą
z mieszkania Urbana. Kilka osób, znajdujących się już
w pokoju, powitało nowoprzybywających z widocznym
niezadowoleniem. Miny zgromadzonych były kwaśne.
Wszystkim ciążył przymus asystowania przy czemś
nieznanem, co aranżował taki niegodziwiec jak Urban,
nikt jednak nie śmiał sprzeciwić się jego woli, a nawet
wymknąć się cichaczem.

— Co to będzie? — pytano się wzajem na ucho.

— Nic nie wiemy. Urban nas sprowadził...

— Zapewnia, że pokaże coś interesującego.

— Lękam się, czy pośrednik nie wplącze nas
w jaką kabałę.

— Ma podobno cenne starożytności do nabycia.

— Ja nie kupię.

— Kupić nie mogę.

— Ale gdzie z.ś... hi, hi hi... mówi, co pokaże
komedyę.

— Tem gorzej.

— Tem lepiej.

— Wymówić mu się nie mogłem.

— Mam ważny interes w Petersburgu, bez jego interwencji nie potrafiłbym go załatwić pomyślnie.

— Mnie i w Warszawie może bardzo zaszkodzić.

— Przecież w komedyi.... jeśli będzie jaka.... nie potrzebujemy brać udziału ?!

— Że zobaczymy, toć jeszcze nie grzech przecie!

— Nikt tego za złe nam wziąć nie może.

— Od wszelkiej niegodziwości ja ręce umyвам.

— I ja także.

— Jak Piłat.

— Cóż robić, kiedy musimy odgrywać rolę Piłatów.

Cichym szeptem zmieszanych głosów brzmiał pokój Pittoriniego, a pan dyrektor tymczasem wraz z organizatorem intrygi wysunął się na moment, aby wydać polecenia kasyerce.

Wszystko to Józefowi było nie na rękę. Cygan lubił zarobić, bo żyć i hulać musiał, ale w szkodzeniu bliźnim nie znajdował rozkoszy. Niezły człowiek w gruncie, chociaż zepsuty biedą i podejrzanem towarzystwem, ulegał koledze pod naciskiem przewagi, jaką Kurta jeszcze w szkołach na nim zdobył i utrzymać dotąd potrafił. Nie miał dość siły woli, aby się oprzeć namowom, szeleszczącym argumentom wyjętym z pugilaresu i błyskotliwym nadziejom, jakimi Urban migał mu przed oczami.

Nieukontentowany i chmurny, informacyom lakonicznym dawanym przez „pośrednika“ kasyerce tonem rozkazującym, przytakiwał tylko skinieniem głowy. Wracając z kasy do kancelaryi, spostrzegł, że woźny gdzieś się ulotnił, że nie siedzi na swoim miejscu.

— Michał! — zawołał — Michał!

Nawet głuchoe echo pustych salonów nie odpowiedziało mu na wołanie.

— A ten gdzie się podział *per Baccho!*

— Posłałem go z listem, ale wrócić już był powinien, powiedziałem bowiem, aby oddał pismo posłańcowi. Lecz mniejsza o niego; nie jest nam potrzebny.... Poszedł pewno do szyneczku i trąbi.

— Mylisz się.... to filozof wielki, nie zagląda do butelki.

— Bo nie ma za co. U ciebie woźny na wódkę nawet nie zarobi.... Może kto z gości wsunął mu dziesiątkę w łapę, więc poleciał za nią się pokrzepić. Słabość natury ludzkiej! Stary żołdat za kołnierz nie wyleje.

— Nie, nie.... U mnie mu się dobrze dzieje.

— Powiadam ci, że nam niepotrzebny, nie ma zatem o kogo się frasować. Kiedy ptaszki będą już w samotrzasku, kasyerka drzwi zamknie na klucz i wyniesie się cicho.... Ty masz klucz drugi?

— Mam.

— Wszystko zatem w porządku. Chodźmy bawić gości.... Tylko proszę cię, nie krzycz po swojemu zbyt głośno, bo gotów jesteś zachwalając swoje muzeum donośnie, spłoszyć mi moją zwierzynę.

— Ja dziś nie do krzyku! — mruknął Pittorini markotny.

Już nawet nie chciało mu się wygłosić rymu „do zwierzyny“ który jednak z przyzwyczajenia kręcił mu się na języku.

Pierwszy — bez ceremonii — wszedł do kancelaryi. Urban tym razem nie zważał na wyraźny objaw nieuszanowania i poufałości niewolnika. Zamknął za sobą drzwiczki szczelnie z obawy, aby światło, wydo-

bywając się przez szparę, nie zdradziło licznego zgromadzenia w pokoju dyrektora.

Zaledwie uczynił zadość środkom ostrożności, a już przed stołem kasyerki zjawił się Jerzy.

— Proszę o bilet — powiedział przybyły rzucając pieniądze i po chwili, niby od niechcienia, zapytał: — Czy muzeum będzie długo otwarte?

— O! jeszcze co najmniej godzinę, proszę pana — odparła przewlekłym głosem niemłoda kobieta, spełniająca rozkazy, wydane przed kilku minutami przez „pośrednika“ i poparte mileżącym kiwnięciem głowy jej chlebodawcy.

— Czy jest kto w salonach?

— Nie uważałam.... ale zdaje mi się, że nie ma nikogo.

Na wystawie panowała szara półjasność zimowego popołudnia, chylącego się ku coraz bardziej w zmrok zapadającemu wieczorowi. Hrabia wbiegł do pierwszej galeryi, następnie do drugiej.. Wszędzie było pusto.

— Nie ma jej — szepnął — może nie przyjdzie. — Lecz po chwili dodał: — Przyjść musi.... Ona umie dotrzymać słowa.

Niecierpliwym, wzruszonym usiadł na sofie, przykrytej perskim kobiercem. Tętna w jego skroniach waliły jak młoty kowalskie.

Nie upłynęło i ćwierć godziny nużącego dla młodzieńca oczekiwania, kiedy Ludwika weszła do pierwszego salonu muzeum. Niespokojnym wzrokiem rzucała w około. Już zamyślała cofnąć się, uciec — gdy Jerzy posłyszał szelest sukni jedwabnej. Zerwał się z siedzenia żywo, zbliżył do kuzynki, uwolnił z futrzanego zarękawka jej śliczne rączki o długich, arystokratycznych paluszkach, ujętych w miękkie, kastorowe rękawiczki. ścisnął je w swoich dłoniach gorących i chciał drzącą

i zmięszaną wprowadzić do galeryi rzeźb i obrazów.
Ona mu się oparła.

— Nie, nie.... Tam nie pójde, tu pozostanę.

— Lękasz się... obawiasz ?

Nieostrożne wyrazy hrabiego obudziły wrodzoną jej dumę, a zarazem przywróciły spokój i władzę nad sobą.

— Nigdy niczego się nie lękam, ale pragnę tu pozostać.

— Ztąd rozmowę naszą usłyszeć mogą.

— Dlatego też właśnie tam nie wejde. Co mówię, mówię śmiało, choćby przed całym światem. Wszyscy mają prawo mnie podsłuchiwać.

— Aniele drogi!... chronię cię od zguby.

— A kusisz do zguby.... Nie staraj się mnie wciągnąć do drugiego salonu, bo pomimo, że dałam przyrzeczenie, iż poświęcę dziś panu godzinę sam na sam, pomimo że danego słowa dotrzymywać lubię, wrócę zaraz do domu.

Jerzy rączki jej drobne z rąk swoich wypuścił.

— Tu siądę — rzekła i rzuciła się na sofę, na której przed chwilą czekał na nią hrabia.

Zapanowało milczenie. Przerwała je Ludwika.

— Żadałeś odemnie *rendez-vous* Przystałam, pod warunkiem, że będzie pierwszym i ostatniem zarazem. Zapewniałeś kuzynie, że masz mi coś ważnego do powiedzenia... Słucham.

Don Juan nic nie odpowiedział. Blondynka urocza tupnęła nóżką niecierpliwie.

— Słucham!... — powtórzyła

Jerzy zdawał się na coś oczekiwać. Stał niemy, jak posąg skamieniały, a wzburzony wewnątrz. W oczach jego płonął żar namiętności, nad którą już nie panował, a jednak rachował się jeszcze widocznie

z jakimiś względami przyzwoitości, czy też warunkami materyalnemi schadzki, bo z roztargnieniem patrzył na kuzynkę, a uchem badał każdy szelest, dolatujący od drzwi wchodowych.

— Słucham! — zawołała adwokatowa z wzrastającą niecierpliwością. — Czas upływa.... Proszę mówić.

Ciche skrzypnięcie wolno zamykających się podwoi powróciło hrabiemu przytomność i rozjaśniło krwią nabiegłe lica. Skrzypnięcia tego Ludwika dosłyszeć nie mogła, bo właśnie w tej chwili, rozgniewana — a może i znudzona — uderzyła znowu okutym koreczkiem swego węgierskiego, futrem przy łydce obramowanego bucika, o posadzkę. On zaś prawdopodobnie i a nie czekał. Dwa słabe odgłosy zmieszały się z sobą i wzajemnie zagłuszyły. Tylko Jerzy — ponieważ stał i połową twarzy zwrócony był ku drzwiom — mógł dostrzedz, wśród zgęszczających się cieni, jak podwoje zbliżały się powoli do siebie, potem zwały się szczelnie, spojone zasówką, poruszoną delikatnym obrotem klucza w zamku.

— Czy pan do mnie przemówić raczy? — pytała Ludwika, oburzona tak długim milczeniem.

Jerzy rzucił się przed nią na kolana.

— Kocham cię Ludwiko!

Młoda kobieta odsunęła się z nietajoną odrazą.

— Zabroniłam panu odzywać się do mnie w ten sposób.

— Nie doprowadzaj mnie do rozpaczyny.... Czy nie widzisz jak cierpię.

— Żal mi pana, to dosyć. Jeśli zgodziłam się na dzisiejszą schadzkę, to dlatego jedynie, żeby cię namówić do rychłego wyjazdu. Myślałam, że się bawisz jak lekki paryski motylek, więc i ja się bawiłam; ale kiedy od pewnego czasu bierzesz rzeczy tragicznie,

nie pozostaje ci nie więcej drogi kuzynie, jak upakować się, pożegnać nas wszystkich grzecznie... i wyjechać.

— Szydzisz niedobra.

— Radzę.

— Opnścić ciebie nie mogę..., wolę umrzeć!

W wybuchu tym brzmiała taka prawda, w spojrzeniu młodzieńca taki zapal i ogień gorączkowy, że Ludwika uczuła się wzruszona do głębi. Rączkę swą, rozebraną z rękawiczki, położyła na rozpalonem czole kuzyna i przemówiła doń łagodnie głosem dźwięcznym, prawie łzawym drżącym.

— Jerzy! to szaleństwo!... Grzechem jest, zgoneń straszyc przyjaciół. Sam chyba nie wierzysz słowom, jakie wymówiłeś przed chwilą... Ja, śmierci twojej nie żądam; przeciwnie, pragnę żebyś żył długo i był bardzo... bardzo szczęśliwy... za mnie i za siebie, za nas dwoje... ale nie wymagaj, abym przez życzliwość dla ciebie zdeptała moje obowiązki. Jestem żoną innego... twoją kochanką być nie mogę.

— Przesady! zawsze przesady!... Słuchaj Ludwiko! wiem żeś mi przychylna, mówi mi to moje serce, które do ciebie należy... Rzućmy ten kraj zimny i głupi, w którym swobodnie kochać się nam nie wolno. Zawiozę cię pod nieba wiecznie turkusowe, nad morza mieniące się barwami opalu...

Sztuczna i naśladowana poezya wyrazów Jerzego, chociaż wygłoszona z namiętnością gwałtowną, ochłodziła znowu młodą kobietę. Roześmiała się głośno.

— Ty, wytworny Paryżanin, śpiewasz mi pieśń Mignon... i chcesz, żebym ci wierzyła. — Zanosiła się od chichotu, chociaż w śmiechu tym dźwięczała nuta przymusa i dziwnego jakiegoś rozczarowania. — No, dalej! nuć Trubadurze... Nie masz mandoliny do akompaniamentu... Nic nie szkodzi; ja ci wtórować

będę... Jedziemy do boskiej Italii, tam gdzie pomarańcza dojrzewa, gdzie laur zakwita, gdzie cichy cyprys nie drży od powiewu Zefirów... Cóż jeszcze!... A!... Gdzie muł w mgłę szuka skalistej drogi, a marmurowe twarze... — Tu głos jej zniżył się i z śmiechu przeszedł w tłumione łkanie — ... a marmurowe twarze, patrząc w nasze, wyczytałyby na nich wstyd tylko i bańbę.

— O! nie szydź, nie wyśmiewaj! Dokąd każesz pojechać... pojedę, byle z tobą razem. Raj w około ciebie stworzę, czy nad neapolitańską zatoką, czy nawet w Paryżu... Tak, pędzej w Paryżu. Tu pozostać nie możesz... tu duszno, ciężko. Sfera, w której żyjesz, nie twoją sferą...

— A jaką ty mi wybierzesz, do jakiej myślisz wprowadzić? — spytała Ludwika smutnie.

Młody człowiek zamilkł.

— Widzisz. Pojąłeś przecie cały ogrom swego szaleństwa... Nie chcę powiedzieć: egoizmu. Wydrzećbyś mnie pragnął z kółeczka, do którego przywykłam, w którym mi prawie dobrze... prawie miło, chociaż nie arystokratycznie, na to, abym potem nie należała do żadnego świata, aby mnie z każdego wyłączono.

— Czyż miłość nasza nam nie wystarczy? czy potrzebujemy świata i ludzi?

— Ja może nie, ale pan tak. Młoda jestem i niedoświadczona, wiem jednak, że miłość, podobna twojej, trwa nader krótko. Czyż Stanisław nieraz mi nie mówił, że kto jak ty kocha... tylko zmysłami... jutro ochłodnie, a pojutrze porzuci i zapomni.

— O! ten Staś przekłety! — zawołał Jerzy, zaciskając pięści.

— Staś mówi prawdę. Zresztą nie o niego tu chodzi... Mój kuzynie, żeby dopełnić szaleństwo do jakiego

pragniesz mnie skłonić, potrzeba kochać... a ja nie kocham.

— Kłamiesz! — krzyknął Don-Juan rozdrażniony i dotknięty równie w swej miłości własnej, jak w namiętności niezaspokojonej, palącej mu krew wulkanizmem zarzewiem

Jerzy, nie był ani zły ani lekkomyślny wgruncie, miewał nawet czasem instynkta szlachetne, ale wychowanie zagraniczne spaczyło jego pojęcia moralne. Z kobietą, którą kochał — a raczej pragnął — wszelki środek dopięcia celu, wydawał mu się godziwy. Przystając na zdradnie — a niby niechętny, pół żartem, bez wymienienia nazwiska ofiary — podsunął mu kiedyś przez Urbana plan użycia muzeum Pittoriniego za miejsce schadzki miłosnej, myślał, że skoro tylko zdoła namówić Ludwikę, aby o zmroku przybyła na wystawę, najniezawodniej zwycięży wszystkie jej parafiańskie skrupuły. Był niemal pewny, że jest przez nią kochany; że śliczna kuzynka — opuszczona od męża — dlatego tylko dotąd nie uległa, bo ją chroniła tarcza przesadu, jego studencka dla niej słabość i warszawskie warunki życia pod szkłem. Dość zatem odzyskać dawną czelność i odwagę, wynaleść bezpieczne schronienie, w które oczy ciekawych nie zajrzą — z kąd dzięki kluczowi, jaki mu dał „pośrenik“ wysunie się niespostrzeżony, kiedy zechce, wyprowadzając z sobą uwiedzioną — aby atrakcyja magnetyczna — nie dusz niestety! — odniosła tryumf zupełny. Teraz, zaskoczony niespodziewaną i niezrozumiałą dlań opozycją, stracił przytomność, a co gorsza i polor gentlemana.

— Kłamiesz! Kłamiesz! — powtórzył dwukrotnie. Ludwika spojrzała na niego ze zdziwieniem i ruchem pełnym godności odsunęła go od siebie; poczem powstała z sofy blada i oburzona. Przybyła na rendez-

vous spokojna, pewna siebie, jak przyjaciółka, jak krewna, w misji opiekuńczej, anielskiej, nawrócenia na prostą drogę błędzącego i wyprawienia go z powrotem zagranicę. Wszystko to z poświęceniem własnej osoby, bo ją przecie w nudach rozrywał i bawił niekiedy, a od nieporozumienia z Goldenkrantzem w pracowni Stanisława mniej ją nawet drażnił, nie nadskakiwał bowiem pani Felicji tyle, co dawniej. W pierwszej chwili pojąć nie mogła, dla czego człowiek dystyngowany, niedawno jeszcze taki wytworny w obejściu, taki uległy i delikatny stał się nagle grubianinem. Nie domyślała się, dokąd zalotna gra z namiętnością ją zaprowadzi i w smutnym doświadczeniu przekonała się dopiero, że żądze podobne do żądz Jerzego zamieniają ludzi w zwierzęta.

— Żegnam pana na zawsze — rzekła z dumą.

Młody człowiek zerwał się na równe nogi i przytrzymał ją za rękę.

— Przepraszam.... Głowa moja w ogniu.... Jestem szalony, ale ty mnie do tego stanu doprowadzasz swoim oporem.... Przebacz mi; proszę, błagam, zaklinam.

— Przebaczam, ale żegnam.

Wyrwała rączkę ze ściśniętych konwulsyjnie dłoni Jerzego i zmierzała ku drzwiom.

— Chcesz wyjść?... nie wyjdiesz!

Zaczerwieniony, trzęsący się jak w febrze zagroził jej drogę, rozkrzyżowawszy ramiona.

— Niech się pan ustąpi.... ja wyjść ztąd muszę.

— Powiedz, że mnie kochasz. a ustąpię.

Objął ją wpół i do piersi silnie przycisnął, ale Ludwika wysunęła mu się zwinnie z objęcia.

— Lubiłam pana dawniej jak kuzyna, jak brata.... dziś się nim brzydzę.

— Tak! dobrze — syczał groźnie, chociaż intonacji swego zachrypniętego nagle głosu pragnął nadać tylko akcent ironiczny — a męża pani kocha?

— O! cieszę się, że mnie pan o to zapytał. Kocham, kocham, kocham; tylko jego jednego kochałam i zawsze kochać będę. Nie chciej mnie pan przerazić swoim strasznym wzrokiem, ja się niczego nie lekam i szczerze mówię prawdę. On mnie także kocha... rozumie pan... on mnie kocha. Obecnie wiem o tem; i w miłość jego wierzę. Niedoświadczona, kapryśna, rozpieszczona i popsuta przez męża, życzyłam sobie może tego rodzaju dowodów przywiązania z jego strony, jakie pan tu składa, bo nierozumiałam jak są niemile, jakie ohydne i wstrętne. Dziś mi pan ozy otworzył; dziś pan powraca mi mnie całą. Ledwie do domu przybędę, rzucę się w jego ramiona, bo czuję, że tylko w nich szczęście prawdziwe... rozumie pan, moje szczęście... chociaż nie ściskają tak gwałtownie i namiętnie jak pan przed chwilą uściskać mnie pragnąłeś.

— Milcz pani!... Przestań mi urągać, bo nie wiesz jeszcze, co cię czeka — krzyknął Jerzy zdławionym głosem, zataczając się jak pijany.

— O! niestety, gdybym sama nie poczuwała się do winy, wiedziałabym, co pana czeka — odparła z naciskiem i pogardliwie.

Zmrok zamieniał się w noc zupełna.

Ludwika rozumiała, jak położenie jej staje się dwuznaczne wobec szalonego — szalonym bowiem go tylko mieniła — który nie odstępował jej ani na chwilę, słaniając się za nią chwiejnym i niepewnym krokiem, gdzie się tylko zwróciła. — Ale niebezpieczeństwa istotnego nie przypuszczała jeszcze. Czysta jej dusza nie domyślała się, do jakiego moralnego wypadku i wyzucia się z człowieczeństwa doprowadzić mogą

mężczyznę wzburzone zmysły, nieokiełznane wolą i zasadami.

Zręcznie wymijała Jerzego w pośród licznych i gęsto ustawionych sprzętów muzeum, zdążając do drzwi co najspieszniej. Dopiero wtedy, kiedy sparła rękę na klamce i szarpnęła nią kilkakrotnie, spostrzegła, że są zamknięte.

Przeraziła się i zmięszała nagle. To sam na sam z młodym człowiekiem, przy drzwiach zamkniętych, przedstawiło się w jej umyśle jak coś co hańbi i poniża okropnie, co dumną i niewinną równa z ostatnimi z kobiet, z wydziedziczonemi, snującemi się tam... za oknem... po ulicy, po wydeptanym śniegu, na chodniku. Oparła się o podwoje, czuła bowiem, że jest bliską omdlenia. W oczach jej migały tęczowe błyskawice, ból nieznośny ścisnął serce, w gardle zasychało... ale całą mocą moralną, na jaką zdobyć się była w stanie, zapanowała nad osłabieniem. Zwrócona twarzą ku postaci hrabiego, niejasno rysującej się na ciemnym tle pokoju, rzekła z udanym spokojem, głosem prawie stanowczym i rozkazującym :

— Proszę o klucz.

Jerzy milczał.

— Jeśli choć iskra honoru tleje jeszcze w pańskiej piersi... daj mi pan klucz.

— Zamknięto nas z zewnątrz. Kto zamknął... ten otworzy!

— Pan zamknąłś.

— Nie ja.

— Czy pan wie, jak się postępek taki u nas nazywa?

— Nie chcę wiedzieć.

— Nikczemnością.

— Może.. może, ale to niekczemność, co nie plami! Igrałaś z mojem sercem i zapaliłaś w niem pragnienia, których ugasić teraz nie zdołasz dumnem oburzeniem lub morałem. Sama przypisać sobie musisz winę tego co się stało. — Zbliżył się do niej gorejący cały. — Słuchaj!... jesteśmy sami, nikt nas widzieć nie może, nikt nie domyśla się nawet, że tu jesteśmy. Kocham, a namiętność moja usprawiedliwia mnie całkowicie.... Ty mnie kochasz także, chociaż wypierasz się swej miłości....

-- O! nie bluźnij pan.... nie kocham cię wcale. Jerzy wybuchnął gwałtownie.

— Nie kochasz, powiadasz.... Dobrze, zgoda... więc nie wypuszczę cię ztąd do rana.... Nie kochasz!... Zobaczymy, czy ci, co nas jutro tu zastaną, temu uwierzą.

W tonie, którym wymawiał ostatnie wyrazy, dźwięczała nietylko wściekłość bezprzytomna, lecz zarazem taka stanowczość dzika, tak niezłomne postanowienie, taki szal wzburzonych zmysłów, że nieszczęśliwa kobieta, dotąd mężna i dumna, zwątpiła o swojej przewadze nad zezwierzęconym młodzieńcem. Łzy trysły jej z oczu; mimowolnie przyklękła i wyciągnęła dłonie do swego prześladowcy.

— Jerzy! zlituj się — błagała, łkając — wypuść mnie, otwórz drzwi.... Przebaczę ci wszystko: podstęp, okrucieństwo, brak delikatności... tylko pozwól mi wyjść ztąd zaraz.

— Nie.... nie.... pozostaniemy razem do rana — powtarzał młody człowiek, w którego duszy, rozgrzana krew, krążąca w żyłach jak wrzący kipiątek, zagłuszyła sumienie.

Wtem poza plecami Ludwiki — z przeciwnej strony drzwi wchodowych, w kurytarzu ciemnym, wiodącym

do kasy — dały się słyszeć kroki, jeszcze dalekie, błędzące widocznie, bo odgłos ich to przybliżał się to oddalał — i równocześnie na progu galeryi rzeźb i obrazów ukazał się Stanisław. Głowę nad nim górował Michał, trzymający zapaloną latarnię w ręku.

— Zbawco mój! aniele z nieba! — zawołała Ludwika, zrywając się z klęczek. Poskoczyła ku szwagrowi z wyciągniętymi ramionami.

— Ty! zawsze ty na mojej drodze! — wrzasnął Jerzy.

— Michale! weź tego pana pod rękę i wyprowadź bocznemi schodami.

— Słucham łaski panicza.

Jerzy osłupiał.

Niespodziane ukazanie się Stasia na progu komnaty, która zdawała się nie posiadać osobnego wejścia, zimna krew i spokój malarza, głos rozkazujący a pełen powagi, bierne posłuszeństwo ex-żołnierza, który, nie namyślając się długo, ścisnął w swych rękach, jak w kleszczach żelaznych, delikatne i starannie wypielęgnowane dłonie Don-Juana, oddziaływały na ostatniego w sposób przygnębiający. Nie bronił się, nie opierał, nie targał, tylko złamany wewnętrzną, wyczerpującą gorączką i przewagą sił fizycznych woźnego, dał się wciągnąć do drugiego salonu. Przechodząc jednak koło Stanisława, mruknął, pieniać się w bezsilnej złości:

— Podły!... Rozmówimy się jutro.

— Milcz. Obrazić mnie, po tem, coś uczynił, nie możesz, nie jesteś w stanie... Chroniąc ją i ciebie ratuję, bo za tamtymi drzwiami czeka mąż... Rozumiesz.

Jerzy zwiesił głowę na piersi, Michał zaś — widząc że nie stawia oporu — wyprowadzał go z pewnemi względami i uszanowaniem.

— Niech łaski pan hrabia uważa, żeby się nie potknąć albo nie uderzyć... Tam trzeba ostrożnie, bo ciemno.

Zniknęli za drzwiami — dotąd dla oczu wszystkich zamaskowanymi piecem i starym gobelinem, który, zwieszając się od sufitu do posadzki, zupełnie je zakrywał.

— Nie lękaj się pani — rzekł wtedy Staś do tułacej się do niego Ludwika — za moment i my wyjdziemy.

— Jakże zdołam ci się wywdziękzyć... przyjacielu, bracie!

— O! nie mówmy o wdzięczności!... cóż nadzwyczajnego zrobiłem? Szczęśliwy wypadek kierował memi krokami i nic więcej. Miałem nawet przyjść wcześniej, aby przewiesić mój obraz fałszywie oświecony, ale w domu zatrzymały mnie trochę dłużej kłopoty. — Urwał nagle i poprawił się. — To jest nie kłopoty, ale wizyta... odwiedziny pana Silbersteina, który miał do mnie ważny interes... Dlatego spóźniłem się... Przy świetle latarni, z którą na mnie czekał Michał na dole, dostrzegłem, jak Franciszek przechodzi przez podwórze, otulony w futrze. Nie chciał prawdopodobnie, aby go poznano, bo twarz zasłaniał podniesionym kołnierzem, chociaż na dworze odwilż, prawie ciepło... Jakieś przykre przeczucie mnie tknęło... On tu, o tej porze! . Patrzyłem, jak wbiegł zadyszany na schody główne, prowadzące do muzeum. Nie zauważył mnie... jestem tego pewny... zaraz bowiem skręciłem żywo na lewo i bocznymi schodami... tem skrytem wejściem, od którego tylko Michał klucz posiada, tu się dostałem... No... i dzięki Bogu... zdaje się, że przyszedłem na czas...

— Aby ocalić mój honor — szepnęła smutnie Ludwika — honor, który sama, lekkomyślnie, naraziłam

na tak groźne niebezpieczeństwo.... O! co za nauka!
co za straszna nauka!

— Nie bez korzyści, droga pani.

— Czy się tylko na tem skończy!.. Lękam się
obawiam... jakiegoś nowego ciosu!

— Obawa próżna.... już ci nie nie zagraża.

W tejże chwili, w pierwszym salonie muzeum,
ktoś z zewnątrz poruszył klamkę.

Stanisław i Ludwika zamilkli

Po krótkiej pauzie rozległo się silne uderzenie
w podwoje, jakby się do nich ktoś pięścią dobijał. Po
pierwszem nastąpiło drugie i trzecie. Potem uderzenia
sypały się gradem z wzrastającą siłą i gwałtownością.

Ludwika drżała jak liść poruszany wiatrem.

— To on... to Franio... uciekajmy! — szepnęła,
a ząbki jej, równe i białe jak perły, dzwoniły cicha
harmonię strachu.

Michał powrócił z latarnią.

— Nie traćmy czasu — powiedział Staś. —
Chodźmy.

Podał ramię przerażonej i drżącej „gołąbce”,
uchylił gobelin i wysunął się z nią razem na ciemny
kurytarz. Woźny zamknął za sobą drzwi na klucz i ru-
szył przodem, przyświecając na wazkach i brudnych
stopniach bocznych schodów.

— Powrócisz głównymi schodami — rzekł do
niego półgłosem Stanisław.

— Słucham łaski panicza.

— Gdyby się spostrzeżono przypadkiem, że ktoś
był na wystawie, powiesz, że ja przyszedłem obraz
przewiesić... Rozumiesz?

— Rozumiem, proszę drogiego panicza.

— O tamtym panu... ani o pani... nie wspomnisz
i słowa.

— A ino... nie wspomnę.

— Liczę na ciebie, mój dobry Michale.

— Przecie panicz wie, że mnie niełatwo gębę odmurować, kiedy ją po sołdacku zacisnę.

Staś podał rękę swemu ex-towarzyszowi od sape-rów. Woźny, wyprostowany, sztywny, błysnął radośnemi oczami, gorejącemi jak świece jarzące.

— O! paniczu!

W tym jednym wyrazie, w tym krótkim wykrzykniku, który wyrwał się z szerokiej piersi starego żołnierza, mieściło się stokroć więcej uczucia, serdeczności i prawdy, niż w tysiącnych komplementach i wyznaniach sympatyj, jakimi darzono niegdyś malarza, kiedy był jeszcze bogatym.

— Możemy być zupełnie spokojni — rzekł Stanisław do Ludwiki, opierającej się na jego ramieniu — Nie ci już droga pani nie grozi... Za moment zbędziesz się wszelkiej obawy.

Zeszli na podwórz. Michał im furtkę w bramie otworzył.

Znikli na ulicy w cieniach nocy.

Tymczasem na górze — w pokoju dyrektora muzeum — gwałtowne stukanie, przerywając dość wesołą i ożywioną rozmowę, wywołało popłoch niemal powszechny. Nie potrzebujemy chyba wskazywać Urbana i Pittoriniego, jedynych nieprzerażonych ani zdziwionych łomotem.

— Co to jest? — pytano — co to znaczy?

— Nic... nic. To znak, że komedia się rozpoczyna — odparł pośrednik, poprawiając na nosie okulary.

— Komuś widzę bardzo pilno — powiedziała Felicya — kiedy się dobija tak mocno.

— Pójdziemy mu otworzyć... Weźmy z sobą światło. — Urban uchwycił kandelabr w dłonie. — Może

kto zechce drugi potrzymać; lepiej widzieć będziemy...
A! Julek podejmuje się obowiązku tragarza oświecenia!
To dobrze... to jego rola. Pan zaś panie dyrektorze,
jako gospodarz, idź naprzód z kluczem.

Pittorini, wzruszając ramionami z niezadowoleniem, uczynił zadość poleceniu, wygłoszonemu pozornie słodko, w istocie... tonem rozkazu. Za nim cała czereada przecisnęła się przez wązkie drzwiczki do pierwszego salonu.

— Nie ma nikogo — szepnęła Urbanowi na ucho pani Felicya, obejrawszy się na wszystkie strony. — Nie ma nikogo; zawiodłeś pan nasze oczekiwania.

— Ukryli się w przyległym pokoju — odparł pośrednik, oczami wskazując galerję obrazów. — Jak na osobę, pełną zręczności i dowcipu, za jaką panią uważam, nie spodziewałem się takiej przenikliwości w podobnych awanturach.

Bankierowa przygryzła jak koral różowe wargi. Zrozumiała brutalny przycinek, tryumfującego niegodziwca, który pewny swojej zemsty już się z nikim nie żenował.

Stukanie nie ustawało.

— Kto tam? — spytał Pittorini, wkładając klucz w zamek.

Nikt nie odpowiedział, tylko podwoje zadrżały pod silniejszym od poprzednich uderzeniem.

— Zaraz, zaraz... cóż tak pilnego?

Zasuwa zgrzytnęła i drzwi się rozwarły.

Blask świec w kandelabrach padł na bladą i zmienioną twarz Franciszka, stojącego w futrze, spadającym mu z ramion. Wyglądał tak okropnie i groźnie, że Józef cofnął się kilka kroków w tył, a nikt z obecnych nie śmiał ust otworzyć. Urban nawet usunął się na bok, aby przepuścić adwokata.

Franciszek, nieprzytomny, wzruszony nie zważał na gromadkę ciekawych. Wyrwał kilkoramienny świecznik z rąk Juliusza i wpadł do pierwszego, później do drugiego salonu. Wszędzie, w najtajniejsze zakątki zaglądał szklannem, rozszerzonym okiem... Szukał, przyświecając sobie kandelabrem. Nic nie znalazłszy, oddychał ciężko, jakby dla pozbycia się ciężaru, przysiadającego mu piersi. Urban i Pittorini krok w krok postępowali za nim. Inne osoby nieruchome, zdziwione, milczące, pozostały w tem samym miejscu i w tych samych pozach, w jakich zastało je nagle wtargnięcie adwokata. W miarę jak poszukiwania nie odnosiły żadnego rezultatu, nieukontentowanie, zawód i złość malowały się coraz wymowniej na licach Urbana, twarz zaś Franciszka wypogadzała się, okrywając zwykłym, trochę surowym i samolubnym, lecz zarazem poważnym, pełnym godności spokojem.

— Nie ma nikogo — powtarzał w duchu. — Oszukano mnie; napędzono niepotrzebnego strachu.

— Patrz no panie dyrektorze — zawołał „pośrednik“, niemogący ukryć swego niezadowolenia i irytacji — a to co?

Pittorini promieniał radością, odrzucając żwawo na tył głowy niesforną czuprynę, wciąż zwieszającą mu się nad brwiami. Cieszył się, że kabała nie powiodła się Kurcie i że ex-koleżka naraził się wobec tylu osób na śmieszność.

— To — odparł — wszakże pan widzi... gobelin.

— Lecz uchylony?

— Bo go ktoś uchylił.

— Ba!... Za nim są drzwi.

— Są... i cóż?

— Dokąd prowadzą?

— Na boczne schody... do noszenia wody.

— Jeśli ten ktoś, kogo pan mecenas szuka... bo zdaje mi się, że pan mecenas kogoś szuka... był tu istotnie, to mógł wyjść tędy.

— Tak... ale musiałyby *per Baccho* mieć klucz potemu, bo i do rajy, bez klucza nie puszczają.

Rym go tym razem zawiódł niemiłosiernie. Z radości, że „psi figiel Kurty“ dyabli wzięli, język mu się splątał. Zamiast „kadencyi“ przyszła na myśl gadka o owych grzechach, które do niebios nie dają przystępu — i wybiegła na usta przekształcona, poturbowana cokolwiek w trawestacyi, ale po cygańsku zastosowana do okoliczności.

— A któż klucznikiem od rajy pańskiego? — ciągnął dalej indagacyę Urban, odzyskujący rezon i swobodę umysłu, nie wątpił bowiem, że Ludwika i hrabia temi drzwiami uciec musieli.

Franciszek słuchał uważnie, a czoło jego pokrywało się znowu chmurami.

— No, klucznikiem — odpowiadał Pittorini, także mieszający się trochę, myślami jakie nasunęły mu się niespodzianie —.... klucznikiem Michał, mój woźny.

-- Podobno go nie ma w muzeum.

— Wszedł przed godziną.

— Kto wie?!... kto wie!?!... — mruzczał Urban, jakby do siebie — może w porozumieniu z osobami, jakie się tu znajdowały, ułatwił im ucieczkę... Wypuścił gruchającą parę.

Aluzya była zbyt wyraźna!... Oczy Franciszka cisnęły błyskawicami.

— Przepraszam pana panie dyrektorze — rzekł hamując uniesienie — że wpadłem tak późno i tak niegrzecznie do pańskiego muzeum, ale otrzymałem bilecik anonimowy... jakich od pewnego czasu otrzymuję mnóstwo. Bilecik ten, donosił mi, że zastanę tu złodzieja,

okradającego kogoś z honoru... kogoś, co mnie blisko obchodzi. Tymczasem przekonałem się, że anonim kłamał. Wprawdzie złodziej, może się tu jeszcze gdzie znajduje, ale ponieważ honor nietknięty, ponieważ podstępny rzezimieszek go nie skradł, więc nie myślę szukać winowajcy, nie myślę kazać go aresztować. Ostrzegam tylko... że w razie recydywy... więzienie go nie minie.

Urban do krwi przygryzł usta.

Od wewnętrznego gniewu, który nim miotał, dygotała mu ręka, trzymająca kandelabr. Płonienie świec, od tych wstrząśnięć i poruszeń, migwały w powietrzu długimi, sinawemi językami.

Pośrednik nie zdradził jednak słowem swego rozdrażnienia. Spokojnym krokiem wrócił do pierwszego salonu, z którego już prawie wszyscy zaproszeni lub gwałtem przytrzymani na wystawie, wymknęli się cichaczem, usłyszawszy, wyrazy wymówione przez adwokata. Pozostali tylko: Goldenkrantz, Juliusz, Bolesław i Felicja, której ani mąż, ani „konduktory“ nie mogli skłonić w żaden sposób do opuszczenia muzeum i wycofania się z awantury zdającej obracać się na niekorzyść jej organizatora i głównego reżysera.

Urban, nic nie mówiąc, siedł niemal na oślep przed siebie, okulary bowiem niepoprawiane — z powodu świecznika w ręku — przekrzywiały się nieustannie. Nadto rozdrażnienie wewnętrzne, gniew, wściekłość, dusiły go, dławily. Nie chciał i nie mógł wybuchnąć. Zdradzić się nie lękał; pragnął jednak nie dostarczyć przeciwnikowi prawnego dowodu zdrady.

Raptem noga jego potrafiła o coś puszystego. Schylił się i podniósł miękki przedmiot, leżący na posadzce. Był to zarekawek futrzany, a w nim chusteczka batystowa z cyfrą *L*, uwieńczoną koroną hrabiowską.

— Panie mecenasie, panie mecenasie — rzekł nagle z twarzą rozjaśnioną złośliwym, tryumfującym uśmiechem — może to rzecz skradziona, której pan szuka?!

Podał zarękawek Franciszkowi.

Adwokat zbladł w pierwszej chwili; potem zaczerwienił się gwałtownie.

Zapanował jednakże nad silnem wzruszeniem.

— A tak właśnie... Dziękuję panu. Żona moja zgubiła mufkę i chustkę, kiedy dziś razem zwiedzaliśmy muzeum... Bardzo się cieszę, że ją znalazłem.

Na te wyrazy wszedł Michał na wystawę.

— Jest i woźny, który znikł jak kamfora — zawołał pośrednik. — Wszystko się dobrze zdarza... Chodźno tu bliżej Michale

— Słucham łaski pana.

Ex-żołnierz, miarowym krokiem przymaszerował na środek pokoju, sztywny i wyprostowany jak zwykle.

— Kto był teraz, przed kwadransem, w galerii obrazów? — zapytał go Urban.

— Panic... — poprawił się — pan Stanisław... Przewieszał swój obraz.

— I wyniósł się drzwiami zasłoniętymi dywanem.

— Tak, proszę łaski pana.

— Zagadka rozwiązana... Byłem tego pewny — syknął Urban ze złośliwym naciskiem, a słowa jego odbiły się w mózgu męża Ludwiki złowróżbnem echem.

Krew uderzyła Franciszkowi do głowy. Już więcej nie władał sobą.

Nerwowym ruchem palców skurczonych przycisnął zarękawek do serca, które omało nie wyskoczyło z łona, tak szamotało się gwałtownie, przejęte bolem i rozpaczą. Zawinał się w futro, dotąd ciągle niedbale

zwieszające mu się z ramion i nie rzekłszy i słowa, wybiegł z muzeum.

— Cóż?... nie udało się jak widzę — szepnęła Felicya do ucha pośrednikowi.

— Ależ przeciwnie łaskawa pani. Udało się nadspodziewanie; stokroć pomyślniej niż przypuścić mogłem. Dwie zwierzyny padły od jednego strzału.

Zatarł ręce, poprawił okulary i śmiał się głośno, śmiechem nieprzyjemnie słuch drażniącym.

— Nie rozumiem — powiedziała bankierowa.

— Zrozumie pani z czasem. Teraz chyba nie mamy co tu robić więcej.... Żegnam całe zgromadzenie.

Uklonił się z lekceważeniem.

Zanim Goldenkrantz, jego żona, Bolek i Julek zdążyli przemówić, już był za drzwiami. Zbiegł po schodach gwizdząc aryjkę finałową z najnowszej operetki. Na ulicy wsiadł w dorożkę kazał się odwieść do Re-sursy, zadowolony z dnia, którego użył tak dobrze.

Goldenkrantz z pełni płuc odetchnął. Przymus asystowania przy niemiłej scenie, od początku do końca, był dlań nader przykry i ciężki.

— Oszust! złapał mnie na to, co hrabiego skompromituje! — mruknął z wyrzutem wewnętrznym — Felo! Słuchaj — obrócił się do swojej małżonki, niezadowolonej z połowicznego rozwiązania drażliwej sytuacji — tego, co się tu działo, nie powtórzysz nikomu. Chociaż nie mam pojęcia, co ten łotr tu intrygował, domyślam się, że chciał szkodzić uczciwym ludziom. Ja nie życzę sobie, coby naszym kanałem rozeszły się plotki.... Surowo zakazuję!... A i wy konduktory.... rozumiecie.... sza, bo inaczej....

Musieli zrozumieć, zajęli bowiem flankowe stanowiska przy pani Felicyi.

— Panie dyrektor... hi, hi, hi... pan wie, że ja często kupuję obrazy...

Nie potrzebował jednak skończyć perory, w której pragnął zalecić cyganowi milczenie, gdyż Pittorini — zaledwie kroki „pośrednika“, przestały się rozlegać, naprzód w kurytarzu, a później na schodach — jak policznik pofolgował oburzeniu, które go dławiło. Trzy razy wydał policzki jak banie i trzy razy uderzył się po nich dłonią z hałasem. (Może myślał w duchu, że i siebie tym sposobem karze.) Poczem, przykładając palec do powiek i podnosząc je w górę tak aby białka rozszerzyć, krzyknął :

— Oko!... oko! Zapomniał że *anche io son pittore*. Leć... leć czaracie, Lucyperze na złamanie karku.

— Dobrze mu pan... hi, hi, hi... życzy, panie dyrektor.

— *Per Baccho!* czyż na to nie zasługuje?.. Pan Bóg, chociaż czasem nierychliwy, musi być dla takich gadów sprawiedliwy. Kto jak Kurta nosi się z czarną duszą, tego, jeśli nie ludzie, to dyabli zdusić muszą.

Wobec równie stanowczych oświadczeń, nowi alianci Urbana: pani Felicya, realistyczny Bolesław i idealny Juliusz, uznali filozoficznie za stosowne zapomnieć o języku w gębie.

To pono zwykła kolej wszelkiej zdrady. Łatwo traci ona obrońców. Narzędzia jej nie mają współczucia dla dłoni, co nią kieruje i głowy, co ją układa.

Goldenkrantz ścisnął Józefa za rękę, potem wziął nieukontentowaną połowicę pod ramię i potoczył się ku wyjściu, w towarzystwie konduktorów, flirtujących przy bankierowej jak księżyce na niebie flirtują w około planet, siejących złote lub srebrne blaski. Dyrektor muzeum, prawdziwemu protektorowi sztuki — który mu nieraz dał zarobić — kłaniał się prawie do kolan.

Przy drzwiach i Michał powstał z krzesła, salutując mijającą go gromadkę z precyzyą żołnierską.

Bankier spojrział ze wstrętem na siedzenie, z którego podniósł się woźny, było bowiem wyrobione z rogów jelenich, a tych — z powodu ich przenośnego znaczenia — nienawidził serdecznie; ale na człowieku tak wysokim, sztywnym i jak słup prostym, wzrok jego spoczął mile. Wyciągnął z kieszeni rubla drobnemi i wsypał je w dłoń byłego sapersa.

— Chwat z wasana! — zawołał; a odwracając się do Felicji, dodał: — Pyszny woźny!

Biedny Michał, ucieszony sutem napiwnem, nie domyślał się nawet, jakiego piwa nawarzył „kochanemu paniczowi“.

XXV.

K r y z y s.

Pracownia Stanisława, którą poznaliśmy w chwili jej świetności, dziwnie smutnie wyglądała tego wieczora. Komornik w asystencyi świadków, oraz pana Hersza Silbersteina (strohmana Kurty) i Szmula Eichelesa -- faktora „pośrednika“ — wyniósł z niej wszystko, co tylko jakakolwiek, wartość posiadało. Mała lampka kuchenna, stojąca na zydlu sosnowym, słabym płomykiem oświecała nagie ściany, puste kąty, parę stalug, stos studyów z natury i szkiców, pogardzonych przez wierzących, wreszcie odarte z dywanów deski estrady.

Na nich siedziała Jania, obliczająca ze stojącą obok niej Katarzyną, coby się dało na jutrzejszy obiad ugotować za cztery złote polskie, jedyny kapitał, jaki jeszcze w kieszonce posiadała.

— Et! co tam jutro proszę pani... Jutro w rękach i łasce Boskiej; dziś jeszcze wartoby przyrzędzić kolacyę — mówiła wierna służąca, charakterem do lekkoduchów zbliżona — bo jak pan powróci z miasta, będzie pewno głodny.

— W domu nie mamy zapasów; szczypty herbaty nawet nie znajdzie.... Zresztą zabrali nam samowar.

— O samowar mniejsza, pożyczę u sąsiadki, a herbaty poszukam także u dobrych ludzi. Zostało jeszcze parę jaj od wczoraj, więc usmażę omlecek.... Pan to lubi.

Na tę naradę wszedł Stanisław.

— Omlet! herbata! toż to uczta Lukullusowa! — zawołał wesoło.

Siadł na stopniach estrady obok żony, objął ją za szyję i złożył na czole Jani głośny pocałunek; równocześnie spostrzegł na jej rzęsach łyzy świeże.

— Płaczesz?!... O! jakże to dla mnie bolesne. Cierpisz dla mnie i przezemnie.

- Nie; nie cierpię już wcale. Widzisz... uśmiecham się — i to mówiąc, otworzyła blade a śliczne usteczka, ukazując w nich dwa rzędy ząbków, które pomimo że nie tak kraśnie jak dawniej oprawione, błyszczały jednakże, jakby były z kararyjskiego wyrzeźbione marmuru. — Cieszę się, żeś wesół.... pewno dobre przynosisz nowiny. Powiedz... może masz nadzieję sprzedania „Fortuny“?

— Niestety! dotąd nie, chociaż nie wątpię, że i na to rychło przyjdzie kolej. Lecz teraz raduję się przede wszystkim z innej, ważniejszej przyczyny. Oto dowiedziałem się na pewno, że Ludwinia nie kocha Jerzego.... Podejrzenia nasze były płonne.

— Oh! to dobrze! to bardzo dobrze!... Jesteś lepszy odemnie; kiedy ja pogrążyłam się cała w naszych kłopotach, ty myślisz o drugich i cieszysz się ich szczęściem.

— Alboż sam nie jestem szczęśliwy?!

Urwał nagle. Cień wyrzutu zasępił jego źrenice.

— Gdybym był pewny, że nasza bieda nie jest dla ciebie zbyt ciężką, to wiedząc, że mnie kochasz, że mnie nie potępiasz, nie lekceważysz jak inni, jak twój brat.... uważałbym się istotnie za najszczęśliwszego z ludzi.

— Nie troszcz się o mnie Stasieczku, bo ja, posiadając złote serce mego lekkoducha, niczego więcej nie pragnę. Tobą się tylko martwię; widząc cię jednak odważnym, czuję się uspokojoną.... Patrz; już mam oczy zupełnie suche. No weź się do czytania albo do rysowania, a ja tymczasem pójdę z Katarzyną dokończyć naszej narady w kuchni.

— Tylko nie gotuj sama, bo mi twoich łapek szkoda.

— A od czego stare rękawiczki, ślady dawnej za-
możności! Posiadam ich ze dwa tuziny.... Przywdzieję
jedne....

— Ale i twarzyczka od ognia uciepć może.

— O! nie lękaj się; twarzyczkę Katarzyna zasłoni....
Prawda Katarzyno?

— Ha! Bogać prawda moja paniusiu złota.

— Gdybym była złota, Silberstein i Eicheles pewnoby mnie zabrali.... Ale pletę tu trzy po trzy, a to kolacyi nie przyspieszy.... Już odchodzę.

Na pożegnanie pocałowała męża, prawie uspokojona pogodą, jaka błyszczała na jego czole.

Niech co chcą mówią pesymiści, lecz spełnienie dobrego uczynku opromienia lica jakimś światłem pięknem, które zaciera i wygładza nawet zmarszczki, poorane najcięższą z trosk — troską o chleb powszedni.

Stanisław, po odprowadzeniu Ludwiki z wystawy do jej mieszkania, za dwadzieścia groszy — brzęczących jeszcze w portmonetce — kupił dwa dzienniki.

Czytanie gazet wieczorem — do którego nawykł w Paryżu — stało się dlań konieczną potrzebą.

Przysunął zydelek z lampką do stopni estrady, wyjął zadrukowaną bibułę z kieszeni i rozwinął dwa duże — jeszcze mokre — arkusze.

Zamyślony o zdarzeniu, w którym niedawno brał czynny udział, nie uważał, jakie pisma dała mu panna w kiosku. Były to: „Wieczność“ i „Zasady“.

Jakby los pragnął zażartować z jego dobrego humoru i wesołego usposobienia, w jednym i drugim mieściły się już sprawozdania o „Fortunie“.

Gdyby nie przemożna interwencya Urbana, artykuły krytykujące obraz, ukazałyby się prawdopodobnie za kilka tygodni — a może nawet za kilka miesięcy — bo dzienniki nasze nie lubią się spieszyć z wygłoszeniem zdania o utworach sztuki; lecz tym razem „pośrednik“ pragnął zdyskredytować dzieło Stanisława. Wiedział, że nie skuteczniejszego w tym celu, jak w okamgnieniu źle usposobić publiczność przez złośliwe recenzye, pomieszczone natychmiast po wystawieniu w muzeum nieznaney ogółowi kompozycyi. Zwykle leniwe i ociągające się pióra Bolesława i Juliusza, dziś lekkie, lotne i chyże — jakby poruszone parą — usłużnie uczyniły zadość gorącemu życzeniu zaciętego wroga naszego bohatera.

Dziwna rzecz, jak często ludzie głupi, zupełnie pozbawieni zdolności — którzy czegoś dodatniego nie są w stanie przyzwoicie napisać — umieją w danej chwili, podrażnieni gniewem lub interesem, stworzyć prawdziwe arcydzieło złośliwości i szykany.

Jedna i druga krytyka — pomijając zupełną niesłuszność zarzutów — napisane były doskonale; pełne werwy, dowcipu, gryzącej satyry. Żółć sączyła się z nich obficie; ale żółć ta, tryskająca niemal z każ-

dego słowa, ulewała się w formę tak żywą, bogatą i barwną, że niezawodnie nie tylko czytającą publiczność przekonać, ale nawet mistrzów i robotników produkcji literackich zachwycić, zająć i w podziw wprowadzić mogła.

Zkąd Bolek i Julek — umysły śmiesznie niskie i karykaturalnie płaskie, — zdobyli się na takie artykuły?... to już pozostanie zagadką twórczości.

My ją tłumaczymy sobie w sposób następujący.

Do ganienia, szydzenia, wyśmiewania i czernienia wystarczy trochę rutyny, zręczność i wprawa rzemieślnicza, fotograficzne użycie sadzy, zaczerpniętej z lichego otoczenia i obserwacji, choćby najpowierzchowniejszej. Piękno i dobro potrzeba wyjąć z własnego mózgu i z własnego łona, a jeśli ich tam nie ma.... no, to i Salomon — jak wiecie — z próżnego nie należy. Tylko talent prawdziwy, posiada — w naszym przekonaniu — moc stwarzania dzieł dodatnich, postaci pięknych i dobrych, myśli, przynoszących korzyść społeczną.

W każdej innej epoce życia, recenzje tego rodzaju, jak pomieszczone w „Wieczności“ i „Zasadach“, nie dotknęłyby Stanisława. W każdym innym razie uśmiechnąłby się po przeczytaniu i w moment potem zapo-
wiedziwie, że je czytał, przebacząc autorom, tyle razy uciekali się do jego moralnej i materialnej pomocy, a on im jej nigdy nie odmówił. Chętnie dzielił się z nimi sercem; dopóki zaś był w stanie im groszem. Obecnie, dotkliwie uczuł jadowite, zaprawione pociski, równie realisty jak idealisty, niezgodnie, a jednak jednomyślnie, potępiają „fortunę“..... Tyle nadziei w niej pokładał. Obraz, który w muzeum Pittoriniego, był dlań jedyną deinku. Od sprzedaży zależała cała jego przyszłość, szczęście Jani, chleb powszedni... wszystko

— Na mój gmach z kart powiał wiatr zimny i wali kruchą budowę — szepnął cicho.

Zmiał w dłoni obie gazety i w kął je cisnął.

Powstał i zaczął się przechadzać po pracowni, pogrążony w przykrych dumaniach.

— A może to prawda, że nie mam talentu... może nie powinienem malować!

W takich chwilach, takie myśli przychodzą zawsze do głowy. Zwątpienie w siebie samego, w własne siły, wkrada się jak gad do serca strapionego, ściska je swemi węzowemi splotami, gryzie, szarpie, żywotną krew wysysa.

— Cóż pocznę? — monologował biedak dalej — jestem za stary, aby innego nauczyć się fachu... Nie pragnę sławy, rozgłosu, uznania, tylko pracując sumiennie, z czcią i miłością dla sztuki, żądam od współziomków kawałka chleba... nie dla mnie.

Chmury siadły mu na niedawno jeszcze pogodnym i jaśniejącem czole... Cierpiał okropnie.

W odrętwieniu bolesnem i nieznośnem upływały dlań minuty. Tonął jakby we śnie jakimś czarnym, przedstawiającym mu świat cały, podobny do olbrzymiego, posępnego, wzburzonego morza, w pośród którego nie było dlań ani jednej zielonej wysepki, ani jednego gościnnego lądu, któryby go po rozbiciu przyjąć pragnął.

Nagle przypomniał sobie Janię. Pomyślał, jakąby jej przykrość sprawiło przeczytanie recenzji w gazetach. Wziął lampkę w rękę, wyszukał zmięte dziennik i podarł je w drobne kawałki.

Może w tym czynie mieściło się trochę fałszywego wstydu i upokorzonej miłości własnej, lecz stanowczo, nad temi dwoma uczuciami, późniejszej natury, dominowała troskliwość o ukochaną istotę. Lękał

się dla niej zmartwienia z powodu tak niespodzianego rozczarowania.

Wtem doleciał go odgłos dzwonka, szarpniętego silnie i nagle.

Jakieś niemiłe przeczucie go tknęło.

— Nowa przykrość!... ręczę. — Jak błyskawica przebiegła mu ta myśl przez głowę. — Złe samo jedno nigdy nie przychodzi. Za pierwszym, wleką się inne, jak orszak pogrzebowy.

Dlatego jednak właśnie, że był pewny, iż go coś znowu dotknie boleśnie, poskoczył szybko, aby żonę uprzedzić, sam cios przyjąć, a uchronić od niego Janię.

Kiedy wpadł do przedpokoju, usłyszał jej głos w kuchni:

— Dzwonią... a my tu jak na złość obie kucharowaniem zajęte.

— Nie wychodź... Otwieram... To pewno do mnie.

Zakręcił kluczem i odsunął sprężynę zatrasku. Osłupiał.

Przezucie pewno go nie omyliło, za otwartymi drzwiami stał Urban i jakiś nieznanomy mężczyzna, wyglądający dystyngowanie.

— Czy tu mieszka pan Mowelski? — zapytał „pośrednik“, udając, że nie poznaje Stanisława.

— Ja nim jestem. Czem panom służyć mogę?

— Pan daruje, że przebywamy o tak spóźnionej godzinie, ale mamy malutką sprawę honorową do załatwienia.

— Proszę mówić ciszej — rzekł malarz półgłosem. — Niech panowie wejść raczą.

Wprowadził gości do pustej pracowni.

Urban rzucił okiem po komnacie i jej nagich ścianach, uśmiechając się złośliwie, z nietajonem zadowo-

leniem. Uśmiech ten Staś dostrzegł i poraz pierwszy może uczuł się zmieszany i zawstydzony swoją biedą.

— Przepraszam, że nie mogę panom służyć wygodnem siedzeniem, ale... — zastanowił się i po chwili dokończył kłamstwem — ...przeprowadzam się, i ztąd nieporządek, jaki panowie tu u mnie zastają.

— Nie nie szkodzi; my na krótko — odparł Kurta. — Ja... zdaje się, że nie potrzebuję wymieniać mego nazwiska?

Artysta potakująco skinął głową.

— Ja... i pan Zawolski — wskazał ręką na towarzysza — mamy polecenie, żądać od pana w imieniu hrabiego Jerzego honorowej satysfakcyi, za obrazę, dziś pono mu wyrządzoną.

Towarzysz Urbana, uznając słuszność prośby, uprzejmym gestem zdawał się na nią przystawać, Kurta jednakże podnosił wciąż głos, pragnąc widocznie, aby go słyszano w całym mieszkaniu. Szczęściem nieakustyczność, niemal zawsze właściwa pracowniom malarskim i dość znaczna odległość od kuchni, krzyżowały złośliwe zamiary „pośrednika“. To, co mówił, dolatywało ucha Jani tylko jako gwar nieokreślony, bez treści, bez wyrazów.

— Przed godziną, hrabia Jerzy przybył do Re-sursy Kupieckiej, gdzie znajdowaliśmy się z panem Zawolskim, i prosił, abyśmy jego sprawę... podobno bardzo drażliwą... wzięli w nasze ręce.

Pomimo wrodzonej mu gościnności, Stanisław nie mógł ukryć odrazy i wstrętu, jakimi był przejęty dla ex-kolegi, nie odpowiedział zatem na jego przemówienie i zwrócił się do drugiego sekundanta.

— Racz mi łaskawy panie wskazać swój adres, a jutro przyszlę moich świadków.

Zawolski wyjął list wizytowy i podał go artyście.

— Więc pan przyjmuje nasze wyzwanie, zgadza się pan na pojedynek? — ciągnął donośnie Urban, poprawiając okulary.

— Raczenie panowie wybaczyć, że tu w szerszą rozmowę wdawać się nie chcę i nie mogę. Wybrani przezemnie świadkowie otrzymają moje pełnomocnictwo i porozumieją się z nimi we wszystkim.

— Słusznie, słusznie — rzekł Zawolski — Trzymasz się pan ściśle form i przepisów pojedynkowych, obowiązujących ludzi honoru... i masz rację zupełną. Panie Urbanie! nie potrzebujemy nudzić dłużej gospodarza, zwłaszcza, że po tem, co nam powiedział, zakrawałoby to na niedelikatność. Wychodźmy.

Ton mówiącego był tak stanowczy, że Kurta — chociaż niezadowolony z przyzwoitego zachowania się towarzysza — nie śmiał dłużej przeciągać wizyty.

— Zatem czekać będziemy do jutra.... Do której, jeśli wolno zapytać?

— Do czwartej.

Ukłonili się sobie wzajemnie.

Malarz towarzyszył im do przedpokoju i wyprowadził nawet na schody, poczem zamknął za nimi podwoje.

Jania uchyliła drzwi od kuchni.

— Kto to był Stasieczku?

— Pan Zawolski.... i jego przyjaciel. Zapomniałem nazwiska.... Przyszli zamówić portret.

Pierwszy raz kłamał przed żoną.

— Znałeś tych panów?

— Nie. Teraz mi się dopiero przedstawili.

Wrócił do pracowni, wzburzony cały.

Pojedynek ten spadał mu jak cegła na głowę. Nie przypuszczał, aby Jerzy posunął się do podobnej ostateczności, zwłaszcza że zażyłe stosunki do dnia

dzisiejszego nie były między nimi zerwane. Pogrózkę, jaką niefortunny Don-Juan — niespodzianie przezeń zaszachowany — rzucił mu w muzeum, uważał za fanfaronadę wobec pięknej kobiety lub za chwilowy wybuch gniewu, który rozważa łatwo ochłodzi i ukoi. Tyle razy już przeszkodził Jerzemu w jego podstępnych zasadzkach na Ludwikę, że przez myśl mu nawet przejść nie mogło, aby rozsądny i pozornie wcale zimny młodzieniec, dzisiejszą przegraną wziął tak gorąco do serca.

Stanisław przechadzał się po pustem atelier szerokimi krokami.

— Pojedynkować się z tym szaleńcem — dumiał dlaczego? poco? Chyba, żeby skandalicznym rozgłosem zaszkodzić Ludwice... a może i Jani... bo ogół chętnie szukający winy, znajduje ją najczęściej w najniewinniejszych... Jedną albo drugą oskarżą niezawodnie... Fatalna sprawa!.. Ręczę, że to ten nędznik musiał go namówić do wyzwania... Ale że też Jerzy, zwykle taktowny i ostrożny, odkrył przed nim tajemnicę swojej namiętności; że zwierzył mu się, iż to ja nie dałem mu spełnić nieszlachetnego czynu!

Staś odgadł po części prawdę, nie domyślał się jednak całego złego. I nie dziwnego... nie wiedział bowiem, że to Urban ułatwił Jerzemu schadzkę na wystawie, nie dając nawet poznać po sobie, że pewny jest, iż hrabia wciągnie na nią zdradnie lekkomyślną Ludwikę, że na *rendez vous* sprowadził licznych widzów, ukrywając ich w pokoju Pittoriniego, że oddawna podpatrzywszy i zbadawszy stosunki domowe Franciszka i Ludwiki, znając wybornie ich charaktery i usposobienia, skrycie dyrygował całą intrygą i wszystkie jej nici dotąd trzymał w dłoni. Już to przyznać należy, iż „pośrednik“ o ile tylko mógł — w szczupłych ramach

warszawskiego życia towarzyskiego — wyzyskać sytuację, o tyle wyzyskał ją jak najzręczniejsz dla swoich planów. Złośliwy dla wszystkich bez wyjątku, prowadził jednak rzecz całą tak, aby przeważnie dokuczać i szkodzić malarzowi; po nim — już w niższym stopniu — Ludwini i Jani. Licząc na podejrzliwość adwokata, skierowaną insynuacjami, pogłoskami i anonimami, nie ku wytwornemu kuzynkowi — służącemu Kurcie za sprężynę i narzędzie — lecz ku Stanisławowi, głównemu celowi jego nienawiści, w podejrzliwości tej przedewszystkiem szukał środka zemsty, pewny, że tym motorem wywołana, zawiesić go nie może. Pojedynek — niemal narzucony mu przez Jerzego — przyjął jako akcesoryum, jako dopełnienie, jako szczegół skomplikowanej akcji, nigdy zaś jako rezultat stanowczy. Spowodował go może nawet ironicznymi przycinkami i dalekimi, dość niejasnymi aluzjami do znanej nam sceny w muzeum, lecz nie chciał, aby cyfra, jaką ten przedstawiał miała stanowić sumę rachunku, którym kwitował się z artystą za obrazę. Zgodził się zaś nań chętnie i przyjął sekundowanie dla tego jedynie, że tym sposobem mógł wejść swobodnie do pracowni; tam, własnymi oczami sprawdzić, jak daleko sięga zniszczenie, dokonane przez Silbersteina i Eichelesa, napaść wzrok miłym widokiem swego dzieła — a kto wie? — może już nawet dostrzedz skutki wrogiego i namiętnego zwania się dwóch natur tak różnych, jak Franciszka i Stanisława. Znał słabości ludzkie, wiedział, że nasz bohater posiada serce pełne dobroci, wrażliwsze i czulsze od innych śmiertelników, w nie zaś wymierzył cios ostateczny. Pewnym był nadto, że Staś, tak zewnętrzną swą charakterystyką, zwyczajami i sposobem bycia, bierną cierpliwością i poddaniem się losowi, a nawet rodzajem talentu i manierą malarską należący do epoki

bieżącej, a reprezentujący jej dodatnie pierwiastki, łączy ją jednak mimowiednie z niedawno minionemi czasami romantyzmu, który skrycie tlił w jego łonie. Ten romantyzm cichy i niewybująły, ogrzany ciepłem miłości Jani i religijnością, jaką go ona natchnęła, dawał Urbanowi gwarancję, że pojedynek, na jaki wyzwie Stanisława adwokat, bój na terenie moralnym i uczuciowym, prędzej ofiarę powali o ziemię niż wszelka walka na pistolety. Wychodząc z Zawolskim z pracowni, Urban był pewny, że piorun, który miał zgruchotać artystę, jeszcze w piersi jego nie uderzył, pomimo widocznego zmięszania, malującego się na twarzy Stasia, pomimo śladów zmartwień, na licach jego wrytych.

Szybko po sobie następujące przykrości wprawiły malarza w stan gorączkowy, nie pozbawiły go jednak władzy rozumowania. Na chwilę zapomniał o zawodzie, jaki mu groził dzięki niesprawiedliwym recenzjom Bolesława i Juliusza o „Fortunie“, zapomniał, że pożegnać się będzie potrzeba z miłemi zawsze nadziejami sławy, ze spodziewanem zdobyciem środków materialnych, zapewnić mających byt i utrzymanie jego i Jani, a przytem dać mu możność kształcenia się i czynienia postępów w umiłowanej sztuce, zwrócił bowiem wszystkie siły umysłowe ku awanturze, jaką wytwarzało wyzwanie Jerzego, pragnąc wynaleźć środek uniknięcia skandalu.

— Bić się z nim nie mogę — myślał — Taka walka okryłaby hańbą Franciszka, Ludwinię i Janię... Bóg wie, jakie plotkiby ztąd urosły... Jerzy przecie nie wątpi, iż tchórzem nie jestem... Napiszę do niego list szczery, serdeczny... Nie, nie; chociaż zwyczajem na to nie pozwalają, sam do niego pójdę... Jak się prześpi i gniew pierwszy go minie, przyjmie mnie niezawodnie... Przedstawię mu położenie rzeczy... sam

oceni niemożliwość pojedynku.... Tak.... tak zrobię, tak będzie najlepiej.

Wtem doleciał jego ucha jakiś hałas, głuchem echem rozlegający się wśród nagich ścian pracowni.

Jania wybiegła z kuchni, wołając:

— Stasieczku, jakieś nieszczęście stać się musiało na schodach! Ktoś upadł z trzeciego piętra i stoczył się na dół... Stopnie i posadzka marmurowa.... Boże! Boże! czy się nie zabił!

Stanisław, zbudzony nagle z przykrych marzeń, bez namysłu chwycił palto, kapelusz, wypadł za drzwi i w mgnieniu oka już był na dole.

Na ostatnich stopniach schodów, nawpół siedział, a nawpół leżał Urban.

Widocznie towarzysz — który go odbiegł teraz, aby szukać pomocy — musiał go podnieść z pierwszego upadku i ułożyć w ten sposób.

Kurta wydawał się nieżywy, chociaż oddychał. Z warg rozwartych, odsłaniających zaciśnięte zęby, wydobywał się niekiedy cichy jęk dziwnie żaloszny. Na jasno popielatym marmurze — tu i owdzie tylko uprątkowanym żyłką ciemniejszą lub splamionym okrągłą, białą skazą — spoczywała głowa rozbita, brocząca w niewielkiej kałuży krwi zsiadłej, od chwili do chwili ściekającej ciężkimi kroplami po stopniach. Oczy, pozbawione okularów — które przy staczaniu się ciała z piętr wyższych zlecieć musiały, — oczy niemal martwe, wodziły w około spojrzeniem mętmem, mglistem, jakby w nich gasnął na wieki promień życia i inteligencji.

Wyraz bladej twarzy był okropny. Wykrzywiona bolem, jeszcze złośliwa i groźna, tonęła już w śmiertelnym spokoju bez nadziei

Coś nieludzkiego było w tej masce człowieka, rysującej się ostro na tle popielatych stopni, służących jej za wężgłowie. Zdawało się, że niegodziwe skłonności i występki odbijają się w nieruchomem obliczu jak w zwierciadle. Płynny korał ciemnej, gęstej posoki — koło lic rozlany — uwydatniał silniej ich trupa błądność. Sączył się powoli i spadał — jak w kaskadzie — z pluskiem; tylko nie wartkim strumieniem, lecz kropla po kropelce. Plusk każdej kropli, uderzającej o marmur, dźwięczał ponuro i żałośnie. Płomień gazu, migocący wpośród poręczy schodów, chociaż zmatowany mlecznem szkłem lampy, rzucał na dotkniętego palcem Bożym światło jaskrawe.

Zawolski pobiegł po stróża kamienicy, a nieznałszy go, stanął przed bramą i przywoływał sankarzy, mijających dom z błyskawicową szybkością. Brzęk janczarów, skrzypienie sań i wycie wiatru głużyło wołanie, pogoda bowiem nagle się zmieniła. Zawieja gęstemi tumanami drobnego śniegu zasypywała tlicę

Stanisław przykląkł przy Urbanie, pragnąc ranę jego opatrzeć.

Domyślając się, że tam w górze, na schodach, Jania musi oczekiwać, krzyknął:

— Niech Katarzyna przyniesie mi tu wody zimnej, płótna i szarpi. Sama, proszę cię na wszystko, nie schodź. Obecność moja wystarczy.

Głos jego musiał być stanowczy i rozkazujący, Jania bowiem, nie rzekłszy i słowa, wróciła do mieszkania, aby powtórzyć słudze polecenie pana. Tymczasem malarz podkładał ex-koledze pod głowę kołnierz od wspaniałego futra, które Kurta miał na sobie i krew spływającą tamował i wstrzymywał własną dłonią.

Oczy Urbana, szeroko rozwarte, spotkały się z oczami Śtasia.

Z początku w słup obrócone, zagaste, mętne, patrzyły na kłęzącego bezwiednie i machinalnie, ale w moment potem mgła — rozsnuta w ich duchowej głębi — zaczęła rozpraszać się, rzednać, przepadać. Iskierka myśli zatliła się w zrenicach, po niej druga, trzecia... jak rotowy ogień. Budziły się w nich wspomnienia dawniejsze, chociaż pamięć tego, co stało się przed kilku minutami, nie wróciła jeszcze. Wytężający się coraz bardziej wzrok, rozjaśniał umysł odrętwiony lecz nieumarły.

— Wszakże ten pochylony nademną, to wróg mój, którego nienawidzę — rozważał.

Spojrzał ukosem na dłonie Stanisława krwią splamione i przeraził się mocno.

— Nie zabijaj — wyjąkał.

Dusza taka jak jego, sądziła inne według siebie

— Uspokój się pan — rzekł Staś tonem łagodnym.

Ten ton musiał oddziaływać i na słuch Urbana i przypomniał prawdopodobnie znaną dobroć artysty.

Zmysły — jeden po drugim — funkcyonować zaczynały, niosąc do mózgu poznanie położenia, wyrażając ufność, że ręka, która się nim opiekuje, złego wyrządzić nie jest w stanie.

Wreszcie nadeszła i Katarzyna, trzymająca ostrożnie w dłoniach miednicę z wodą, pod pachą szarpie i płótno.

— Proszę pana, jest wszystko, co pan rozkazał przynieść.

— Cicho.... ciszej — powiedział malarz, kładąc palec na ustach.

Delikatnie obmył ranę — jak to robiła siostra miłosierdzia, którą znał w młodości, — założył szarpami jak umiał i obwiązał płótnem niby bandażem. W czasie tego, Kurta jęknął czasem z bolu lub zadrżał

na całym ciele, ale przytomności nie stracił. Po opatrunku dopiero przymknął oczy, jakby go światło raziło. Bładość, przezroczystsza od poprzedniej, twarz jego powlekła; — zdawało się, że omdlał lub zasypiał.

Zapanowało milczenie.

Urban leżał nieruchomy. Katarzyna, oparta o poręcz schodów patrzyła nań, przejęta jakąś nieokreśloną trwogą, pogrążona w obawie śmierci, która — według jej mniemania — lekkimi skrzydłami unosić się już musiała nad rannym. Nawet i krople krwi ściekać przestały, pluskiem swoim monotonnym nie kłóćąc ciszy; gaz tylko migotał i syczał.

Stanisław klęczał ciągle.

Wargi jego się poruszały; widocznie modlił się w duchu gorąco, bo w zapomnieniu, kiedy doszedł do wyrazów pacierza: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“, mimowoli, bezwiednie, wymówił je dość głośnym szeptem.

— I odpuść nam nasze, jako i my odpuszczamy.... — powtórzył za nim Urban cichuteńko, ale wyraźnie.

Twarz Stasia zajaśniała błogością nieopisaną.

Wtem przybył Zawolski. Udało mu się nareszcie zatrzymać sanki i wyciągnąć stróża kamienicy z sąsiedniego szynku.

— Pan tu? — zapytał zdziwiony, wiedział bowiem, jak jego współsekundant nienawidził Stanisława, oraz wiele złego mu wyrządził.

— Z całego domu lokatorzy wyjechali.... my jedni zatem z żoną mogliśmy usłyszeć łoskot upadku.... Przyśzedłem i opatrzyłem ranę.

— Mówiąc między nami, nie wiele mu się już należy na tym świecie — mruknął Zawolski, ściskając dłoń malarza.

— O! cicho.... Słyszysz, rozumiesz.... dotąd jeszcze nie ma gorączki.

— Tem gorzej.... mniejsza nadzieja uratowania życia; a może i tem lepiej.... bo ludzie po nim chyba płakać nie będą.

— Opowiedz mi pan, jakże się to stało? — przerwał Stanisław, który już przebaczył i prosił dlań Boga o przebaczenie.

— Szedł powoli, ociągał się, zwlekał.... jakby oczekiwał na coś lub na kogoś. Oparł się plecami o balustradę i rozpoczął złośliwą rozmowę, w której jak zwykle nie oszczędzał....

Zwolski spostrzegł się, że dotknął drażliwego przedmiotu, zamilkł więc nagle. Po krótkiej przerwie kończył opowiadanie następującymi wyrazami:

— Nowe, gładkie sukno futra, które miał na sobie, zsunęło się po politurowanej poręczu... Stracił równowagę.... W tenże sam moment prawie pośliznęła mu się noga. Upadł na bok, tak że ręce, zaplątane w fałdach futrzanej algierki, nie mogły mu być do zatrzymania się pomocne. Leciał z szalonym pędem i aż tu — wskazał na plamę krwawą — zatrzymał się dopiero. Podniosłem go i położyłem na stopniach... Ratować ani opatrzeć nie umiałem... Bez wielkiej nadziei, abym go zastał przy życiu, pospieszyłem po stróża i sanie. Mniemałem, że będę nawet zmuszony wezwać komisarza cyrkułowego do konstatacyi prawnej...

— Nie traćmy czasu — przerwał mu Stanisław. — Niech pan zawiezie nieszczęśliwego do domu, ja pobiegnę po lekarza.

— Szczerze obowiązany — rzekł Zawolski, nie wychodząc z podziwu, w jaki go wprawiało współczucie i dobroć artysty, sam bowiem dość chłodno i obojętnie

traktował cały wypadek, jakby ofiara wypadku nie budziła w nim wcale sympatii.

Razem ze stróżem — w trzech — przenieśli ranne-
go do sanek.

Staś zwrócił się do służącej:

— Moja Katarzyno, powiedźcie pani, żeby była o mnie spokojną... wkrótce powrócę.

Sanki ruszyły powoli z miejsca. Siedzący w nich Zawolski podtrzymywał w ramionach bezwładnego, na wpół martwego Urbana — malarz zaś skierował kroki ku pobliskiemu mieszkaniu znanego sobie doktora. Stróż, klnąc zdarzenie fatalne, któremu zawdzięczał niespodzianą ciężką robotę, przyniósł z podwórza kubel wody, szczotkę, ścierki — i zabrał się do zmywania krwi na jasnopopielatych, marmurowych stopniach.

Jeszcze nie skończył, kiedy ukazał się na nich Franciszek — blady, zmieniony, wstrząsany dreszczem nieustannym.

Od czasu, w którym opuścił muzeum, nie był jeszcze u siebie. Gdzie się błąkał?... sam nie wiedział. Gnał raz ku Powązkom, to znowu zawracał ku Belwederowi. Przedewszystkiem nie chciał widzieć Ludwiki. W stanie umysłu, w jakim się znajdował, lękał się ją zobaczyć, żeby nie wybuchnąć, żeby jej nie skrzywdzić choćby wyrzutem tylko, choćby jednym gwałtowniejszym wyrazem. Przywykł czcić „hrabiankę“ jak bóstwo, jak istotę pod każdym względem od siebie wyższą, a przytem kochał ją całą potęgą samolubnej miłości niby na wety po mozolnem życiu oszczędzanej, odkładanej do pomyślniejszej chwili, kiedy przestanie pracować i dorobi się olbrzymiego majątku. Coś go pociągnęło do domu. Przybiegał pod okna pokoju żony. Patrzył, czy się w nich świeci i jakby olśniony blaskiem w tył się cofał. Czuł, że zazdrość jak ptak dra-

pieźny szarpie mu łono, a nie śmiał wejść na górę, aby swej zapalczywości przeciw Ludwini nie zwrócić. Szeptał: „nigdy! nigdy!“ i uciekał w przeciwną stronę miasta. Tysiąc zamiarów, jeden od drugiego dziwniejszych, rodziło się w jego rozpalonej głowie w ciągu bezcelowej peregrynacji, którą odbywał po ulicach zasypywanych śniegiem zawieruchy. Chwilami było mu gorąco nie do wytrzymania, tak, że futro rzucał z ramion i opuszczał do pasa, to znowu podnosił je, obwijał się niem starannie, drżąc przytem jak w febrze. Na sekundę nie wypuścił z rąk zarękawka z chustką. Przyciskał go ciągle do piersi. Czasami ze zwierzęcą zaciekłością gryzł dowód zdrady niewieściej, a czasami okrywał namiętными pocałunkami. Sama woń jego upajała go i męszała mu zmysły. Wreszcie po kilkogodzinnem błędzeniu, zdecydował się widocznie na jakiś zamiar, coś ostatecznie postanowił, bo nagle — aż gdzieś z pod rogatek — ruszył prosto ku kamienicy, zamieszkiwanej przez Stanisława.

Szybko przebiegł trzy piętra — nie domyślając się, że podeptał krwawe ślady — i zadzwonił.

Odgłos dzwonka ocucił go jakby ze snu i przeraził, wrócił mu jednak przytomność. Wydał mu się niespodziany, dotąd bowiem tak był pogrążony w dumanjach i oddany im zupełnie, że machinalnie targnął za rączkę.

Pomyślał o siostrze; a chociaż niemal zawsze mało się o nią troszczył, chociaż egoistycznie poświęcał ją swoim potrzebom, a nawet fantazyom, nie zdawał sobie sprawy, co teraz pocznie w jej obecności, w jaki sposób rozmawiać będzie przy niej z artystą.

Jakby na złość Jania sama mu drzwi otworzyła i wprowadziła do pracowni.

— Ach! Franczku! dobrze żeś przyszedł. Jestem okropnie niespokojną... Przed chwilą na naszych schodach miał miejsce straszny wypadek... a Staś...

— Stanisław w domu? — przerwał adwokat.

— Chciałam właśnie powiedzieć, że go nie ma, z powodu zdarzenia...

— Nie ma! jęknął prawie Franciszek tonem bolesnym. a zarazem pełnym złości ukrywanej niecierpliwości.

— Poszedł po lekarza... na taki czas szkaradny... Ale, co się z tobą dzieje braciszku?

— Nic... nie.

— Drżysz... masz ręce jak lód zimne.

— Zapomniałem rękawiczek...

— Widzę przecież że jesteś mocno roztargniony... Jak wszedłeś byłeś blady, teraz oblałeś się pąsem... Coś przedemną ukrywasz.

— Broń Boże!... Przywidzenie.

— Może chcesz czego?... co mam zrobić?... mów szczerze.

— Pragnąłbym, abyś poszła do Ludwini.

— Czy chora?

— Nie, nie... nie chora.

Na myśl o możliwej chorobie żony wstrząsnął się cały.

— Pewno między wami zaszło jakie nieporozumienie? — badała Jania z czułością.

— Tak... coś podobnego — kłamał zmieszany — małe nieporozumienie, nic nieznaczące.

— Ona dobra jak anioł i piękna jak Madonna Rafaelowska, a ty, zagrzebany w interesach, dajesz jej za mało dowodów miłości, przywiązania...

— Prawdopodobnie masz słuszość! — szepnął Franciszek z westchnieniem.

— Przepraszam ją?... prawda?

— Przepraszę.

— Przrzekasz i dotrzymasz?

— Przrzekam i dotrzymam, ale idź już do niej — dodał zniecierpliwiony — proszę cię... zaraz, natychmiast. Ja tu oczekiwać będę na ciebie... Mam pilny interes do twego męża... Muszę z nim pomówić w sprawie ważnej... bo pewno wkrótce powróci?

— Wróci... A zawsze tylko o interesach myślisz, nawet wtedy, kiedy czujesz, żeś przeszkrobał, kiedy naraziłeś się żonie.

Adwokat spojrział na siostrę dziwnym jakimś wzrokiem.

— No, no.. nie marszcz czoła tak groźnie.. My kobiety, musimy brać stronę kobiet.. Biegnę uspokoić Ludwinę i ciebie z nią pogodzić.

To mówiąc, przywdziała okrycie z grubego, pospolitego materiału, narzuciła czarną, wełnianą chustkę na głowę i wyszła.

Franciszek odprowadził ją aż na schody, jakby chciał się przekonać, że istotnie opuściła mieszkanie, poczem wrócił do pracowni. Zmęczony przymusem, jaki sobie zadawał w obecności siostry, usiadł na stopniach estrady, wyjął woniejący zarękawek z pod futra — którego dotąd nie zrzucił — ukrył twarz płonąca ogniem w dłoniach i pogрузzył się w bolesnych dumaniach.

Okropne było to zamyślenie.

Utonął cały w rozpacz, przepełniającej jego serce, draśnięte w jedno miejsce nieopancerzone egoizmem, tym egoizmem, który daje prawo z dumą i podniesieniem czołem zwać się porządnym człowiekiem, bez ironicznego znaczenia, jakie nieraz do miana tego przywiązujemy. Nie zdawał sobie sprawy, co pocnie, co zrobi. W wyobrażeniach jego o stanie, w którym się

znajduje, panował chaos zupełny. Sąd o nim, oraz rozliczne plany działania, krzyżując się z sobą, naprzemian jedne przed drugimi ustępowały, zacierały się wzajemnie i znowu powracały po chwili, raz jaskrawsze, to znowu zamglone, jak w latarni czarnoksiężskiej barwy i obrazy na szkiełkach, przesuwanych niewprawną a niecierpliwą ręką.

Przybył tu, pałając gniewem przeciw szwagrowi; ułożył sobie, że zażąda od niego satysfakcyi krwawej w sposób straszny i niezwykły, że zmusi go do amerykańskiego pojedynku, który odbyć się ma bez rozgłosu, tajemnie. Komu los śmierć przeznaczy, ten sam sobie życie odbierze. Teraz jednak, rozmowa z Janią zachwiała jego mściwem postanowieniem. Ona — o ile wnosić się godziło — nie podejrzывała wcale męża i bratowej. A gdyby też Staś i Ludwinia byli niewinni!

Serce Franciszka kurczyło się z bólu, to znowu pokrzepione, rozszerzone nadzieją, o mało nie wyskoczyło z piersi; głowa zaś — taka praktyczna, bystra, rozważna, stworzona do interesów, rzutna, a pomimo powyższych przymiotów, nieumiejącą z adwokackim spokojem rozwiązać psychicznych zagadnień życia — o mało nie pękała, jakby ją olbrzym jakiś (siła wyższą!) opasywał żelazną obręczą i ścisnął śrubami przy skroniach, na bijących tętnach.

Stanisław wrócił, a Franciszek nie podniósł w górę twarzy, nie ruszył się z miejsca. Wsłuchany w bolesny rozhowor swoich myśli sprzecznych, nie słyszał, co się w około niego działo.

Bohater nasz nie był także wesoło usposobiony.

Zajęcie się Urbanem i wyszukanie lekarza — który przyhywszy do mieszkania „pośrednika“, znalazł stan rannego bardzo groźnym — chociaż wytworzyły pewną dywersję w smutku, absorbującym moralną

istotę Stasia, nie przerwały jednakże czarnego pasma, monotonnym, nużącym obrotem rozsnuwanego przez wyobraźnię z grubego motka doznanych przykrości, ciosów i zawodów. Rozumiał, że położenie, w jakim się znajduje, pozbawione jest wyjścia. Niczem ludzie się nie mógł, niczego dobrego się spodziewać, a jednak boleść jego nosiła na sobie znamię, niepodobne wcale do piętna, jakie niedola wyciska na duszach pospolitych. Inny zamierzyłby niezawodnie zakończyć nędzę duchową i fizyczną czynem rozpaczny. W mózgu malarza zaświtała wprawdzie myśl samobójczego wyzwolenia, ale na bardzo krótko, serce bowiem odepchnęło pokusę z oburzeniem. Zwątpić w to, w co wierzył, rozstać się z Janią, a tożby to była felonia, odstępstwo, wyparcie się swego sztandaru, mężnie dotąd niesionego razem z krzyżami żywota.

Sztandarem swoim nie popisывał się przed światem, nie rozwijał go dla próżnego blasku, lecz zrósł się z nim naturą swoją prostą, całą bierną wytrwałością swego charakteru, czystością przekonań wolnych od wszelkiej interesowności, w krew zamienionych, stanowiących nierozdzieloną część jego jestestwa. Ten lekko-duch był człowiekiem niewzruszonych zasad, zakorzenionych mocno i bujnie rozkrzewionych na urodzajnym gruncie złotego serca. Ciągłe w sprawach materialnych jak dziecko niepraktyczny, ciągle młody świeżością umysłu i usposobieniem artystycznym, dojrzałym się czuł pełnią szlachetnej dobroci, a dobroć podobna usuwa z serca wszelką ideę występku, chociażby występki — nieszkodząc wprost bliźnim — plamił tylko idealną sferę przekonań i zaprzeczał duchowi, przed którym się Staś korzył.

Przechodząc znane nam koleje, hartował w nich bogaty, przyrodzony materiał uczucia, jak żelazo har-

tuje się w ogniu. Obecnie wyrobiony ostatecznie na anomalię przeciwną kierunkowi chwili bieżącej, nie był przeto bezużytecznym. Wśród rozdarcia powszechnego reprezentował skromnie i cicho ideę miłości i poświęcenia, ideę jedności i zgody, a chociaż wpływ jego bardzo niedaleko sięgał, chociaż zawiesz ludzka, okoliczności i własna lekkomyślność ograniczyły zakres tego wpływu, chociaż pośrednio tylko mógł nim oddziaływać, to co uosabiał i wyrażał, przedstawiało się i brzmiało pięknie, niby ton czysty w dysonansowym, fałszywym akordzie. Lubiący cień, ani myślał o kreśleniu szumnych programów, afiszowanych na rogach ulic, opromienianych światłem elektrycznym. Rządził się złotym sercem i poczuciem piękna; — po starym gościńcu chrześcijańskim szedł do prawdy, wsparty na ramieniu Jani. Czciciel harmonii i ładu, nienawidził frazesu i hipokryzyi. Rzeczywiście skromny, pojmował jednak że spełnia zadanie ważne i uczciwe, wbrew spekulacyi i złości, ciszkających na niego zatrutemi strzałami. Dziś jednak strzał tych, była taka chmara, błękit nadziei i wiary tak się niemi zasnuł, że Stanisław przeląkł się, ażali przesilający się czas nie zgruchocze w przesileniu swoim kierunku, do którego dusza jego przyłgnęła. Gdyby nie nieszczęścia osobiste, mieszające zmysły, pewno nie przypuściłby podobnej herezyi, ale zawody, rozczarowania i niepowodzenia, mają to do siebie, że nawet w takich jak Staś ludziach budzą obawę.

Zdawało mu się, że nigdy jeszcze miara goryczy dlań przeznaczona, nie była tak pełną, że nigdy jeszcze krzywdy, jakich doznawał, nie wyraziły się w rezultatach równie krańcowych. Cierpiał okropnie, podwójnie, za siebie i Janię, — zwłaszcza, iż cierpiąc i znosząc krzyże z rezygnacją, nie umiał się pocieszyć tem, czem niższe, pospolitsze natury pocieszać się zwykły.

Kto inny na jego miejscu, w upadku Urbana na schodach, znalazłby promień nadziei, dostrzegłby palec Boży, wymiar sprawiedliwości, a może nawet rodzaj zadośćuczynienia. Staś zanadto był dobry i zanadto szlachetny, aby poszepnąć: „Bóg go ukarał“. Cień podobnej myśli nie przesunął mu się przez głowę; przeciwnie, scena wzruszająca, w której przed chwilą brał udział, to opatrując rannego, to szukając lekarza, zwiększyła jego smutek i rozdrażnienie. Chmurny, rzewny i przygnębiony moralnie, wszedł do pracowni.

Zobaczył Franciszka, siedzącego na estradzie z twarzą ukrytą w dłonie, ale nie poznał szwagra. Odkaszlnął więc głośno, chcąc zwrócić na siebie uwagę zadumanego gościa. Wtedy adwokat — wychodząc z odrętwienia — podniósł głowę. Błędnym wzrokiem spojrzął na stojącego przed nim malarza. I on w pierwszej chwili nie poznał Stanisława; ale nagle, odzyskał przytomność, a oczy jego napełniły się błyskawicami gniewu.

— To ty nareszcie! — wrzasnął, wybuchając gwałtownie.

— To ty! — zawołał także Staś, wyciągając przychylnie do Franciszka dłonie.

— Precz z rękami!

Staś cofnął się w tył, zdziwiony wyrazem oblicza Franciszka i słowami, które usłyszał. Jakkolwiek przywykł do braku ceremonii i uprzejmości ze strony szwagra, nigdy jednak nie doznał od niego tak srożej i tak brutalnej obrazy. Krew w żyłach artysty zarzwała, ale natychmiast pohamował oburzenie, przeważał bowiem, że zapalczywość adwokata musi być skutkiem jakiejś pomyłki i nieporozumienia. Stał nieruchomo, jak posąg nieruchomy, odrętwiały pod siłą niespodzianego ciosu. Nie domyślał się jeszcze, z kąd nań spadło to nowe, ciężkie dopuszczenie.

— Zdrajco! zdrajco! zdrajco! — powtarzał rozgorączkowany Franciszek -- więc prawdziwemi były pogłoski, które dochodziły tu o tobie z Paryża, więc istotnie jesteś nikczemnym rozpustnikiem bez sumienia. ..

Malarz zatrzęsł się cały, jakby uderzony piorunem.

— Co mówisz? — krzyknął głosem zdławionym i postąpił parę kroków naprzód.

Teraz Franciszek cofnął się, przerażony widokiem posiniałej twarzy Stasia.

— Co mówię?... Wiem wszystko.. Mam dowód.

Cisnął w piersi Stanisławowi zarękawek futrzany z chustką.

— Byłem na wystawie... Ludwini nie posądzam i nie obwiniam... Ty jeden mi odpowiesz, krwią zapłacisz zniewagę... boleść straszną, jakiej obecnie doznaję...

Na widok zarękawka, promień światła błysnął w zmęczonym strapieniach mózgu artysty.

Zrozumiał, co spowodowało stan okropnego wzburzenia, w jakim znajdował się Franciszek, chociaż dotąd nie zdawał sobie sprawy, dlaczego żal jego i gniew na nim się krupią. Pobłażliwy j... miały dla uczuć i namiętności ludzkiej... gwał przyjazne dłonie do szwagra i rze wości:

— Ależ ona niewinna!

— Wiem, że niewinna — szeptał sem Franciszek, wmawiając poniekąd w nisława wiarę w żonę, chociaż prawdę... nie jego obecne było bardzo dwuznaczne i wątpli.

Na niewinność jej nie potrzebuję twego świadectwa.. ale ty niegodziwcze, który chciałeś ją obalamować, wydrzeć mi jej serce...

— Jako?... Mnie... mnie posądzasz?!

Okrzyk ostatni, wrywając się z piersi Stasia, wyraził takie zdziwienie, taką szczerłość, tak wymowne zaprzeczenie w nim dźwięczało, że adwokat zastanowił się, a nawet ochłonął na chwilę. Patrzył mu w oczy, jakby w źrenicach jego chciał wyczytać prawdę, sięgał wzrokiem do głębi duszy, w grze fizynomii szukał rozwiązania udręczającej go tajemnicy.

— Powtarzam, że wiem wszystko — mówił tonem sędziego śledczego, badającego zbrodniarza — tak... tak... wiem wszystko, nie uciekaj się zatem do wykrętów.

Twarz Stasia, przed sekundą jeszcze posępna i chmurna, wypogodziła się niemal zupełnie.

Już chciał całe zawikłanie wytłómaczyć, kiedy nagle przyszło mu na myśl, że sekret Ludwiki do niej tylko należy, że honor i delikatność zabraniały mu go wyjawić przed mężem, zwłaszcza, że wyzwanie Jerzego zamykało mu także usta i nakazywało milczenie bezwzględne. Wobec groźby pojedynku — dotąd niecofniętej — nazwisko Don-Juana nie mogło być wymienione.

Biedny Staś, skrępowany tyłu moralnemi więzami, zużony nieznośną sceną, prawie siłą pozbawiony, z wyrazem zakłopotania, zbyt widocznie malującego się na jego licach, spuścił oczy w ziemię, załamał ręce i rzucił się na estradę.

— O! ta nieszczęśliwy! — jęknął — nic... nic powiedzieć nie mogę.

Franciszek spodziewał się wyjaśnień, oczekiwał na nie z niecierpliwością.

— Mów... mów — prosił — słuchać będę, chociaż ci nie wierzę...

Lecz Stanisław nie odpowiadał.

Wtedy ów „człowiek porządny“, zimny, poważny, powszechnie szanowany, wpadł w rodzaj związłej

wściekłości, pieniał się, biegał po pracowni jak szalony, a z ust jego płynęły tysiączne obelgi, jedna od drugiej gwałtowniejsze, coraz bardziej szorstkie, dzikie i namiętne. To chwilami zatrzymywał się przed malarzem i błagał go ze łzami, aby wyznał prawdę, a on przebaczył, zapomniał... to żądał pojedynku amerykańskiego i układał surowo obostrzone warunki, to wreszcie głośno się spowiadał z dawniej odczutyh wrażeń, kiedy patrząc na poufałość Ludwini z Stasiem, przewidywał swoje dzisiejsze nieszczęście.

Artysta cierpiał i milczał.

Cierpiał niesłuchanie, straszniej niż kiedykolwiek, chociaż ledwie przed godziną zdawało mu się, że kielich pełen goryczy do dna wychylił, a oddawna już poznał wszystkie poniżenia i rozczarowania, jakie wyradza zwierzęce samolubstwo bliźnich.

Jako więc ludzka niesprawiedliwość i egoizm sięgają tak daleko!

Brat jego żony, człowiek uchodzący za wyższego od przeciętnego poziomu, który mu oddał rękę siostry, najbliższej sobie krwią istoty, i przez to przyjął do rodziny — świętego niegdyś ogniska miłości i wzajemnego zaufania, — dla którego Staś był przyjacielem wylanym i najszczerzym, przed którym nie miał myśli tajnej, a jeśli ukrywał swoją biedę to tylko przez delikatność, ten człowiek zdolny, inteligentny i w zwykłym znaczeniu wyrazu uczciwy, w pierwszym namiętnem rozdrażnieniu, w pierwszym starciu ze swoim samolubnem „ja“, stał się dlań obcym, gorzej niż obcym, wrogiem, katem, torturującym okropnie. Rozgoryczony posądzeniem, odzierał szwagra z czei i wiary, plugawił jego przeszłość, poniewierał charakterem, deptał jak nędznika z pogardą i nienawiścią. Nic nie uszanował, niczego nie przebaczył, nic nie usprawiedliwił. Wszystko

krytykował zapamiętałe najsurowszym — b
bnym — poglądem, obniżając sprawy ducha
zwierzęcych instynktów. W wybuchu, który g
który odchylił powijaki ogłady, poloru i wyk
zasłaniające istotę rzeczy, Franciszek przed
bohaterowi naszemu jako typ, uosabiający
stan serc i umysłów chwili bieżącej. Dla teg
cierpiał teraz więcej. Zawód ostatni — do
osobiście — należał również do najboleśniejs
czarowań szerszej, ogólniejszej natury, ten
zatem dolegał, udręczał, serce rozdzierał.

Modlił się w duszy o cierpliwość, bo br
chociaż w przekonaniu jego wewnętrznem pot
nie mógł być przezeń ani karcony, ani ukara
pnie ciężko było Stanisławowi na sercu, jakby
głaz grobowy przygniatał mu łono. Od czasu
podnosił rękę do czoła, bo zdawało mu się,
działne jakieś dłonie wtłaczają na nie koronę
wą, a ostre jej kolce wbijają się w skronie,
je i kaleczą. Czuł, że doszedł do szczytu cię
ralnych. Przebiegł myślą całe swoje życie. Z
nieczęsto stąpał po różach; a jednak, nawet w
stwie, nawet w Krasnosójkach, dręczony i ponie
przez ciotkę Weronikę, nie zniósł tyle co tera
towny szturm niedoli, uderzający o niego z tak
kłością, łamał go i druzgotał moralnie i fizyc
zmuszony sercem do kapitulowania, poddawał
chrześcianin w cyrku starożytnej Romy. Pochylił
cierpiał męki piekielne, a minuty wydawał
wiekami.

Rezygnacya i pozorny spokój Stanisława
się Franciszkowi czelnością podłą. Przyskoczy
wyciągając zaciśnięte pięści krzyczał:

— Słuchaj obwiesin, słuchaj rozpustniku, uwodzicielu.... powiesz ty mi prawdę, czy nie?... Chcesz może, abyś cię czynną obelgą zmusił do mówienia?... Nie doprowadzaj mnie do ostateczności, bo cię znieważę!

Piana toczyła mu się z ust drgających. Krew, uderzając do głowy, zaczerwieniła mu czoło purpurą, wroga, oczy wybiegły na wierzch, zęby zgrzytały.

Wtem ktoś dotknął jego ramienia drobną, delikatną rączką i głosem cichym, chociaż rozkazującym szepnął mu nad uchem:

— Na kolana przed nim.... Proś Stanisława o przebaczenie, bo jeśli on nie przebaczy i ja ci nie przebaczę nigdy.

Adwokat żywo się odwrócił.

Stała przy nim Ludwika, blada ale spokojna i dumna; za nią, w pewnej odległości w łzach tonęła Jania.

— A i pani tutaj.... Przychodzisz bronić nędznika — zawył niemal ironicznie, tak głos jego zachrypnięty o! wściekłego gniewu, dziki, zezwierzęcony, podobny był raczej do wycia psa niż do głosu ludzkiego. Szyderczych wyrażen jednak nie domówił, język bowiem jakby paraliżem ruszony zdrętwiał mu w ustach.

Nastała cisza.

Czy adwokata, siejące błyskawicami, spotkały się z jasnym spojrzeniem żony. Pod promieniami magnetycznymi, płynącymi z jej rzęs długich, ze źrenic błękitnych jak niebo, burza szalejąca w piersi Franciszka opadała, uspokajała się powoli. Gwałtownik wobec Ludwiki zamieniał się w baranka. Zawstydzony, zmieszany, pokonany potęgą i niewinnością jej wzroku, opuścił głowę na piersi i patrzył w ziemię.

— Na kolana — powtórzyła Ludwika.

Franciszek ukląkł posłusznie. Stracił wolę, pozbył się oporu, ostygł zupełnie. Z wewnętrzną, egoistyczną radością i wiarą, że skarbu swego nie utracił, jak automat poddawał się żonie.

— Proś o przebaczenie swego brata i najlepszego przyjaciela.

Staś ze wstrętem mimowolnym twarz odwrócił.

Jania, która to spostrzegła, usiadła obok męża na estradzie, objęła obu ramionami za szyję, tuląc blade czoło artysty do swego łona.

— Proś o przebaczenie — tonem stanowczym nalegała Ludwika na Franciszka.

— Przebacz mi Stanisławie — wyjąkał klęczący adwokat.

Nie zdawał sobie sprawy ze swego upokorzenia. Nie pojmował — w swoim samolubstwie bez granic — ogromu krzywdy, wyrządzonej szwagrowi. Już się wcale o Stasia nie troszczył. Cóż go mógł teraz „niewinny“ obchodzić?! Przecież on Franciszek, — człowiek zacny, szanowany, ze stanowiskiem i znaczeniem — odzyskał ukochaną „hrabiankę“. wolną od wszelkiej zmyzy! Ona go już nie opuści, a że żąda od niego poświęcenia z miłości własnej, dla czegoż — w rodzinnem kole — nie uledez kaprysowi uroczej kobiety. Tem lepiej. Przekona się raz nareszcie, jak on ją kocha. O swej zwierzęcej zazdrości zapomniał.. bo już nie wątpił, bo krew gniewem nie wrzała w jego żyłach.

Malarz nawet nie patrzył na Franciszka.

Ciągle milczał, zaabsorbowany smutnymi myślami, wybiegającymi po za ściany pracowni.

— Przebacz! — błagała Jania słodko.

— Przebaczam — wyszeptał Staś znużony.

— Jemu zawdzięczasz — mówiła Ludwika do męża — że nie jestem obecnie na dnie Wisły... Lekko-

myślna i nieostrożna dałam się wciągnąć kuzynkowi podstępnie do muzeum na schadzkę...

— Jakto Jerzy?!... — pytał Franciszek zdziwiony.

— Tak, Jerzy... Gdyby nie Staś, który jak anioł dobry, przyszedł mnie uwolnić, możebym się utopiła. O! pewno odebrałabym sobie życie!

Adwokat płakał jak dziecko i wypieszczone, arystokratyczne rączki żony całował.

— Czegoż nie mówił prawdy ten lekkoduch obrzydły... Żal mi mego uniesienia.. Uniosłem się, bo byłem bardzo nieszczęśliwy...

— I samolub — szepnęła cicho Ludwinia.

— Czyż samolubstwem jest ciebie kochać?

Są ludzie, którzy — kiedy o nich chodzi — nie nie widzą, nie nie rozumieją. O! jakże prawdziwymi są wyrazy ewangelii o zdźble w cku bliźniego i belce w swoim!

Po wrzawie, która niedawno rozlegała się w atelier, nastała cisza, przerywana kiedyniekiedy tylko głośniejszym szeptem godzących się małżonków. Od dość dawna, zupełnie niemal dla siebie obojętni, rozdzieleni interesami, namiętą żądzą adwokata podwojenia majątku, naraz — wśród okropnego wybuchu zazdrości — uczuli, jak mocno się kochają. Wprawdzie zachwycająca blondynka oburzona była na męża za jego niegodziwe obejście się ze Stasiem, za jego brutalne podejrzania, ale Franciszek tak czule przeproszał, tak gorącymi pocałunkami okrywał jej łapkę drobną, że Ludwinia, potrzebująca miłości jak kwiatek rosy a ptak powietrza, miękła, ułagadzała się, a z wyrazu jej twarzy łatwo odgadnąć można było, że kompromis niedaleki.

Stanisław — jakby się budził ze snu długiego, głębokiego, a nader przykrego — przecierał zaczerwienione oczy. Cała jego postać i lica blade wyrażały

zmęczenie. Wyczerpany torturą moralną, zdawał się wahać między szaleństwem a uspokojeniem. Duch jego przechodził straszną kryzys. Oddychał ciężko. Oddech ten tłumiony, przeciągły, nieregularny, można było wziąć za jęk lub wzdychanie.

Dzwonek w przedpokoju, szarpnięty nagle, zatętnił głośno.

Malarz zadrżał, przytulił się do Jani i z dziecinną niemal trwogą szepnął:

— Pewno nowe nieszczęście!

Tym razem jednakże myliło go przeczucie — nie było to nieszczęście.

Widocznie i niedola miewa niekiedy pomyślne przesilenia.

Do pracowni wszedł listonosz, a razem z nim Bolek i Julek.

Jania, przejęta także obawą, powstała z estrady. Nie zatrzymując się przy reporterach, których powitała skinieniem głowy, wyciągnęła drżącą rękę po list, wydobywany przez oficjalistę pocztowego ze skórzanej torby.

— Stasiu! od twego ojca! — krzyknęła radośnie.

Artysta zerwał się z twardego siedzenia, do którego zdawał się przed chwilą przykuty niemocą. Nie zważając na Franciszka i Ludwikę, gruchających duet miłości i pojednania, nie zważając na krytyków, zakłopotanych i nie wiedzących co począć ze swemi nieszczęśliwymi figurami, poskoczył naprzód, chwycił kopertę i rozdarł ją z gorączkowym pospiechem.

Jednym rzutem oka objął papier i wiersze nakreślone na nim, znanem mu dobrze pismem.

— Wraca!... Boże! powraca! — zawołał.

W krzyku jego odbiło się przesilenie choroby moralnej, zwycięstwo nadziei i wiary, nad rozpaczą i zwątpieniem.

Jania już była przy mężu. On ją objął i do serca przycisnął. Uścisk ten mówił więcej od tysiącznych wyrazów.

Czytali razem szeptem, którego nikt z obecnych słyszeć i rozumieć nie mógł.

„Kochany Stasiu! — pisał Karol — za trzy miesiące od daty dzisiejszej zobaczymy się i uściskamy w Warszawie. Czy warto pisać więcej? Ba! może i warto. Jestem bogaty, a co moje, to twoje Synowę całuję i proszę o wnuka do niej podobnego. Znam ją z jej i twoich listów, jak również z wiadomości, które mnie tu dochodziły drogą handlową. Nie donieśliście mi sami o waszych niepowodzeniach, a podobno źle się u was dzieje. Poradzimy na to. Nie odpisywałem na listy, bo zajęty byłem pracą, zapewnić mającą dobrobyt. Pewny jestem, że go ze mną podzielicie, chociaż majątek mój do Stasia tylko należy; — jego to kapitał wydał tak pomyślne owoce. Nie daję, lecz zwracam. Wiem, że nie jesteście egoistami jakim byłem. Piszę „byłem“, bo kto wie? może i ja już nim nie jestem — ale o tem potem.

„Do widzenia. Całuję Was dzieci drogie.“

Milczeli oboje. Tylko ramię, otaczające giętką kibić Jani, zacisnęło się silniej, jakby chciało ukochaną połówkę złączyć z drugą połową, w jedną całość wcielić, zjednoczyć na zawsze. Młoda kobieta, objęciem tem rozmarzona, rozumiejąca jego znaczenie, oczy — jeszcze nieoschłemi łzami zamglone, chociaż już promieniem dawno nieznanego szczęścia błyszczące — wzniosła w górę.

— Bogu niech będą dzięki! — wymówiła cicho. W głębi serca Stasia, echo duszy powtórzyć musiało to samo dziękczynienie.... Wzrok jego lśnił temi samemi blaskami co spojrzenie Jani.

Stali tak krótką chwilę w milczeniu, połączeni ramieniem i modlitwą, która jak harmonia weselnej ciszy płynęła tam, gdzie kończy się świat ziemski a zaczyna niebieski.

Pierwsza Jania ocknęła się z czarownego upojenia.

— Trzeba wynagrodzić posła dobrej nowiny — rzekła.

Całe cztery złote, jedyny swój fundusz, wsypała w dłoń listonosza.

Bolek i Julek skorzystali z chwili, aby się zbliżyć do Stasia.

— Druhu, czarnym podstępem kusiciela skrzywdzony, przebac — deklamował drugi.

— Nie gniewaj się kolego — wtórował pierwszy.

— Nie mam co przebaczać i o co się gniewać.

Mniemam, że, pisząc wasze recenzje, pisaliście to, co dyktowało wam przekonanie — odparł życzliwie Stanisław, bez cienia niechęci i żalu.

On już o krzywdach przez ludzi mu wyrządzonych zapomniał, już wszystkim — nawet Franciszkowi — przebaczył.

— No tak... istotnie... ale widzisz ten bestya Urban zaostrzył pociski....

— Przeklęty realisto, czyż nawet o nieboszczyku nie możesz się wyrazić estetyczniej!

— Więc umarł? — zapytał Staś smutnie.

— Wracamy z jego mieszkania, gdzie od Zawolskiego dowiedzieliśmy się o twoim szlachetnym postępku....

— Umarł! umarł! — powtarzał artysta zadumany, a wyrazom głośno wymawianym wtórowała w myśli prośba cicha o wieczny odpoczynek dla nieszczęśliwej duszy, która opuściła ciało jego zaciętego wroga.

— Ja ci jestem coś winien — jękał Julek niewyraźnie. — Dowiedziałem się, że straszna bieda cię gniecie... Istotnie pracownia twoja ogołocona, pusta... Co mam, to przynoszę...

Wsunął w rękę malarza parę banknotów.

Stanisława wzruszył ten dowód współczucia, serdecznie zatem uścisnął dłoń Juliusza.

— Dziękuję — rzekł — lecz zdaje mi się, że wkrótce potrzebować nie będę, a może już nawet nie potrzebuję.

— Czemużes nie powiedział tego wprzód?!

Wykrzyknik Julka był tak naiwnie szczery, że Staś mimowoli się uśmiechnął. Pierwszy to był uśmiech, jaki od dawna na ustach jego zagościł.

— Może zwrócić?

— Nie, nie. Oddaję ci ledwie dziesiątą część mego długu. Wiem, że jak będziesz mieć, pewno się ze mną podzielisz.

— Nie wątp o tem.

— Jużes się załatwił? — zapytał przysuwając się Bolesław, który podczas tego, co powyżej, oddalił się o parę kroków przez dyskrecyę.

— Już.

— To w drogę.

— A przebaczasz nam Rafaelu?

— Nie Rafaelu... Manecie?

— Powtarzam... nie mam co przebaczać.

Pożegnał ich przychylnie.

Na stronie, Franciszek, przyciskając arystokratyczne, długie paluszki żony do ust płomiennych, wy-

rzekał się raz, na zawsze swojej chciwości i żądzy bogactwa, Ludwinia zaś przysięgała, że pozbędzie się dumy, która nie pozwalała jej pojednać się wcześniej z mężem. Układali plan wyjazdu zagranicę, podróży dalekiej. Tonęli w swoim szczęściu.... Cóż ich inni obchodzić mogli?

Reporterzy, skłoniwszy się zgromadzonym, zdążali ku drzwiom. Ukazał się w nich Goldenkrantz, mijający się z listonoszem, wychodzącym na schody.

— Konduktory!... hi, hi, hi... Wy ośmielili się przyjść tutaj! No, tęgie z was zuchy.... Zaczekajcie na mnie na dole....

Bankier z rozkrzyżowanymi ramionami postępował naprzeciw Stanisława.

— Hi, hi, hi... Prawda, co my się na siebie nie gniewamy?

Malarz rzucił się w jego objęcia.

Jania zbliżyła się do nich.

— Panie Goldenkrantz - rzekła — Staś zawsze był i będzie twoim wdzięcznym przyjacielem.

— Ja wiem, ja wiem... to też mi było wstyd, com się murmusił, ale cóż?... hi, hi, hi... gdzie baba nie może, tam dyabła wsadzi... nie!.. gdzie nie może baba... tfu! z przysłowiem... Przeszedłem kupić „Fortunę“ jako mój obstalunek.... Oto należność.

Podał spory pakiet papierowych pieniędzy.

— Widzę, że mi pan daje za wiele.

— Źle widzisz panie Stanisław, to jeszcze za mało, bo twoje malowanie to arcydzieło... perspektywne i zajmujące. Rozmawia z głową i sercem jak rozumny człowiek... ba! jak kilku rozumnych ludzi. Miałem przyjść jutro, ale jak przeczytałem krytyki tych osłów... No! wiesz pan, moich konduktorów!... zaraz pomyślałem sobie... hi, hi, hi... trzeba iść dziś wieczór, żeby

artystę rublami przekonać, co oni kłamią jak prawdziwe dziennikarze.

Nareszcie Franciszek i Ludwika przysunęli się do grupy, w pośród której Goldenkrantz perorował, wynosząc pod niebiosa malarskie zalety.

Po chwili konwersacya zesłała na ogólniejsze tory i popłynęła po zdarzeniach dnia strumieniem spokojnym i czystym. Ten, coby wszedł teraz do pracowni nie domyślił by się pewnie, że przed kilku minutami bałwaniła się tu mętna fala, zbrudzona kałużą namiętności zwierzęcych.

W kilka lat potem, na jednej z ławek plantacyj krakowskich siedzieli: Karol — o białym włosie i mlecznej brodzie — Staś, siwiejący nad czołem i Jania, zawsze piękna, ale inną mniej dziecięcą i dziewczą pięknnością, chociaż niewinność anielska stanowiła jak dawniej główny urok jej wdzięku.

U nóg Jani bawił się chłopczyk jasnowłosy wołający na nią: mamó.

Karol doczekał się upragnionego wnuka. Oczy jego nie odrywały się od dziecka ani chwilę. W spojrzeniu dziadka nie dopatrzyłby już nikt cienia samolubstwa.

Stanisław powołany został z Warszawy na profesora Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. Talent jego i prace wydawały korzystne dla społeczeństwa owoce.

Hajnał z wieży maryackiej rozbrzmiewał w powietrzu.

Słońce złociło liście na wyniosłych lipach i kasztanach, kładąc zarazem na trawnikach i parterach kwiatów czerwonawe blaski zachodu. W naturze panowała cisza, w duszach spokój błogi.

Dobiegliśmy do kresu opowiadania, bo starość, w naszym przekonaniu nie kończy życia, lecz zaczyna inne — nowe.

Dzieje „Złotego Serca“ nie są zmyśleniem ani grą fantazyi i wyobraźni — nie są powieścią. To raczej życiorys, malowany barwami prawdy... tylko prawdy. Ztąd bierne lata dzieciństwa nakreśliliśmy w obrazkach oderwanych, młodość w przygodach, wiążących się z sobą nicią uczuć i wrażeń, a wiek dojrzały musieliśmy przedstawić w czynie i chaosie ludzkim, pozornie zasłaniającym bohatera, który jako podrzędna jednostka utonął w tłumie.

Cóż chcecie? .. to przecież biografia... i nic więcej.

K O N I E C.



Biblioteka WSP Kielce



0099051